

PRUSKI HUZAR

PRUSKI HUZAR

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ARTUR GRUSZECKI



PRUSKI HUZAR

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1904

Дозволено Цензурою
Варшава 10 Ноября 1903 г.



77011

I.

Po opłaceniu myta na drodze leśnej, młody, może dwudziestoletni parobek wiejski wskoczył na koziołek wozu napełnionego po drabiny polanami drzewa i świsnąwszy batem w powietrzu zawołał wesołym głosem:

— Wio siwy!... Ano, kara!

Dobrze utrzymane konie ruszyły i porwały się do klusa. Wstrzymał je młody furman w biegu, gdyż droga polowa, poryta kolejami, z licznymi wybojami nie nadawała się do szybkiej jazdy. Wóz długi kowany, posuwał się zwolna, przechylając się na tę i ową stronę.

Parobek puścił lejce wolno i przepatrując drogę rozejrzał się wokół.

Przed nim jak daleko oko sięgało rozłożyła się falista płaszczyna, spadająca łagodnie ku niebieskawej Odrze, błyszczącej w zachodzącem słońcu. Uprawne pola, to złociły się rżyskiem, zieleniły się runią wschodzącej oziminy, to znów ciągnęły się zagony kartofli, szare, ze zmęczoną nacią, lub grzedy kapusty głowiastej, stojącej

K-117/77/83362

sztynno, obojętnej na powiew wiatru, który od czasu do czasu wysuwał się z poza siniejących w oddali lasów i niósł ze sobą wiotkie nici pajęcze, strącał barwne liście z drzew, przynosił zapachy świeżo zoranej roli, poryki pasącego się bydła i urwane głosy dalekiej piosenki.

Z drogi polowej wjechał wóz na gościniec bity, obsadzony z jednej i drugiej strony drzewami. Z daleka wyglądały one jak olbrzymie bukiety zielone, przetykane złotymi, pomarańczowymi lub purpurowymi kwiatami. Od czasu do czasu z jarzębiny obwieszanej koralowemi jagodami porywało się żerujące ptastwo i z głośnym trzepotem, piskiem, frunęło dalej.

Z całej okolicy, od sinych lasów aż po Odre połyskującą w promieniach słońca, wiał słodki spokój ziemi odpoczywającej po trudach i pracy wiosny i lata. Wieczna pracownica, miłująca na równi wszystkie swe dzieci, układała się do zasłużonego snu zimowego, a oddawszy ludziom swe zboża i kwiaty, całą barwną swą suknię, okryła się złotemi rżyskami, srebrną przedzą pajęczą i purpurowymi liśćmi drzew.

Konie po gładkim gościńcu biegły lekkiego truchta.

Na ścieżce przydrożnej snującej się pomiędzy krzewami, dojrzał powożący parobczak idącą dziewczynę z koszykiem w ręku. Krótka, gęsto faldowana spodnica granatowa uwydatniała jej

figurę; z pod chusteczki na głowie splywał na plecy gruby warkocz ciemnych włosów.

Parobczak poznał idącą, bo uśmiechnął się radośnie, obciągnął ciemną kamizelę i spencer, smagnął biczem nad końmi, a podjechawszy bliżej zawołał wesolym głosem:

— Maryś! Maryś!... Zaczekajże!

Zawołana odwróciła się szybko, przystała i przyjaźnie skinęła mu głową.

— Ledwem cię dopędził, tak gnasz... i dokąd ci tak spieszo? — i w uśmiechu odsłonił białe, równe zęby.

— Zaś gdzie mam iść?... do domu — wskazała ręką przed siebie.

— Siadaj na wóz... podwoję cię.

— A nie będziesz zbyt kowal? — zawahała się.

— Gdzie mi to teraz w głowie, — westchnął.

Maryś przeskoczyła rów przydrożny, stanęła przy wozie i z pewną podejrzliwością spojrziała na parobczaka; lecz gdy na jego opalanej twarzy spostrzegła wyraz dobroci a w niebieskich oczach łagodność, podała mu swój koszyk i wdrapała się na koziołek.

— Zaś ty Jaśku z lasu? — spytała.

— Czy nie widzisz drew? — zaśmiał się.

— To prawda, — odparła lekko zmieszana, poprawiając jedwabną chusteczkę na głowie.

Jakiś czas jechali w milczeniu, wreszcie spytała:

— Jaśku, a kiedy do wojska?

— W poniedziałek mam się stawić w kolumnie opolskiej.

— O Jezu Przenajświętszy! to już pojutrze idziesz?

— Taki rozkaz, cóż mam robić? — westchnął.

— Jaśku... a czy ci żal rzucać swoich?

— Także pytanie!? — wrzucił ramionami — a cóżbym był za człowiek? Żal mi ojców, domu, gospodarstwa... i tej ziemi mi żal — wskazał biczem na pola — ale cóż ja poradzę?

— Ja nie wytrzymałabym, gdyby mnie tak gdzieś pognali.

— Wiedzą też o tem i dziewczek nie biorą do wojska, bo i co za pociecha byłaby z was? — zaśmiał się. — Wam tylko ubiory i tańce w głowie.

— Nie wierzę ja w twój żal, kiedy żarty trzymają się ciebie — rzekła nachmurzona.

— Iii, nie stałoby mi lez, gdybym raz wraz płakał... A wiesz Maryś kogo mi najbardziej żal? — spojrzał w oczy dziewczyny.

— Pewno gospodarstwa, bo macie urodzajny szmat ziemi i godną łakę.

— Ee, nie zgadłaś — uśmiechnął się — to już ci sam powiem. Żal mi ciebie Maryś, to już najwięcej — i lewą ręką starał się objąć dziewczynę.

— Niechaj mnie! — zawołała surowo, odsuwając jego rękę.

— Maryś nie gniewaj się, tyś dla mnie taka miła, że jakem cię zoczył na drodze, dech mi zaparło, a serce tak mi się tłukło, jakby kto cepem walił.

Udawiała, że go nie słucha, ale w ciemnych jej oczach zapaliły się błyski radości, na ustach zjawił się uśmiech i patrząc na chłopca z pod oka rzekła:

— Ale... ale... bałamucisz.

— Jak pragnę powrotu z wojska, tak prawdę mówię, tyś mi najmiłsza.

— O, a nie zbytowałeś z innemi, a nie dokuczaleś mi, zaś teraz zebrało ci się na miłość — udawiała poważną i rozsądną, ale w głosie czuć było, że rada wysłucha jego zaprzeczenia.

— Tak było, bom głupi był — uśmiechnął się — ale teraz, gdy mam rzucić Radonie i iść w świat na ciężką służbę, zrozumiałem, że już mi najciężej rozstać się z tobą.

— A cóż powie Kasia Bruzdówna? — zaśmiała się nieszczerze.

— Iii, co mi po Kasi?... Wiesz Maryś, skoro powrócę, zaraz poproszę twoich ojców o ciebie i pobierzemy się... oj słodkoż mi będzie.

— A co twoi na to powiedzą? Tyś bogatszy... na ciebie przypadnie dom, sześć morgów gruntu i kawalek łąki, a ja będę miała mało...

— Alboż my nie młodzi? czy się nie doro-

bimy?... Oj moja Maryś po łokcie urobię sobie ręce, aby ci na niczem nie zbywało... A zechcesz mnie?

— Cobym zaś nie miała chcieć — odpowiedziała cicho, zaploniona cała, i spuściła oczy.

Objął ją lewą ręką przycisnął do siebie i ucałował; nie bardzo mu się bronila, tylko wśród pocałunków oglądała się trwożliwie, szepcząc:

— Jaśku, opamiętaj się... jeszcze kto obaczy... będą plotki...

— Alboż nam nie wolno? czy my nie po słowie?

— Ale ludzie nie wiedzą o tem.

Wtem zabrzmiał dzwon na Anioł Pański. Jaśko puścił dziewczynę, zdjął czarny kapelusz i przeżegnawszy się, jęli oboje odmawiać modlitwę. Zaledwie skończyli, gdy dojechali do rozstajnej drogi przy której wznosiła się Męka Pańska, a ukrzyżowany Chrystus w promieniach zachodzącego słońca lśnił blaskami, jak gdyby otoczony był aureolą złota i purpury.

— To moja droga do Leszczyniec — szepnęła Marysia.

Chłopiec wstrzymał konie, zeskoczył z wozu, a gdy oboje stanęli obok siebie, przemówiła:

— Jaśku... pojutrze jedziesz...

— Tak... ale ja pamiętny i nigdy nie zapomnę ciebie.

— Tak się to mówi, ale jak obaczysz inne

kraje, innych ludzi... spodoba ci się inna, a o mnie zapomnisz.

— Nie taki ja odmieniec — zawołał — ożenię się tylko z tobą, moja Maryś.

— Obaczym to... obaczym, jak wrócisz.

Jaśko chwilę się namyślał i nagle wziął dziewczynę za rękę; podeszli do Męki Pańskiej, a on zdjawszy kapelusz, złożył ręce na pierśiach jak do modlitwy i mówił:

— Przed tym Panem Jezusem niewinnie ukrzyżowanym ślubuję, że skoro wrócę a będziesz mi wierną, ożenię się z tobą. Tak mi Panie Boże dopomóż!

— Amen! — dodała poważnie, i poczęła szeptać modlitwę.

I tak stali chwilę nieruchomo przed Męką Pańską, a promienie zachodzącego słońca kładły złote blaski na jego płowych włosach; na świeżej, ładnej twarzyczce dziewczyny, modlącej się żarliwie.

Gdy odeszli od krzyża spytał ją z uśmiechem:

— A teraz mi wierzysz, Maryś?

— Zaś nie miałabym wierzyć? — oburzyła się — przecież duszy nie zaprzepaścisz.

— Dajże mi się ucałować — prosił.

— Cóż ci tak pilnego — odsunęła się.

— Boś mi słodsza od miodu — i objawszy zaczął całować.

— Dosyć tego — wysunęła się z jego objęć — spóźnię się do domu.

— Wiesz Maryś, podwiozę cię.

— Ej nie, bo nałożysz drogi do Radoń.

— Nie wielka historia dwa kilometry — i przystąpiwszy do koni, skierował je z gościńca na boczną drogę.

Gdy już usiedli, dziewczyna zawołała:

— Jaśku, widzisz rektora? — i wskazała ręką na ciemną postać idącą pomiędzy zagonami z lewej strony.

— A, ten zatracony szwab! co też on nas namęczył — mruknął gniewnie.

— Oj nakatował on nas, nakatował — westchnęła Marysia.

— Ile razy go spotkam, zdaje mi się, że idzie ku mnie nieszczęście.

— Niech Pan Bóg broni — zawołała — jeszcze powiesz w złą godzinę... On teraz żadnego prawa do nas nie ma.

— Ee, ktoby tam dowierzał Niemcu, nie może inaczej, to milczkiem ugryzie. Wiesz Maryś, gdybym tak mógł, wszystkich Niemców powiesiłbym, albo potopił.

— Zawsze to ludzie — uspokajała go.

— Co za ludzie!? — zaśmiał się drwiąco — wszystko to lutry, zawzięte na nas, ani to wiary, ani sumienia.

— Jaśku mój, ale ty pilnuj się we wojsku,

z Niemcami, nie gadaj tak, bo i co dla nich twoje życie i zdrowie, a ja umarłabym bez ciebie.

— Ii, nie bój się, zjeść się nie dam, a ostrożny będę, to się wie.

Tymczasem nauczyciel zbliżał się do drogi, chwilę przystanął, rzucił szpiegujące spojrzenie na jadących i uśmiechnął się złośliwie.

— Byle nam drogi nie przeszedł — szepnęła Jaśko zacinając konie — bo sprowadzi nieszczęście ten Niemiec.

Zanim jednak wóz zdążył, już nauczyciel przekroczył drogę i wsparty na lasce przypatrywał się młodemu z drwiącym uśmiechem.

Marysia szybko się przeżegnała mówiąc:

— I chroń nas Panie od złego.

— Amen — dodał Jaśko, i oboje splunęli, by się ich urok nie czepił.

Po chwili rzekł Jaśko wesolo:

— A pamiętasz Maryś, jak wziąłem łapy za ciebie?

— Zaś nie zapomniałam — spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Bił psia para tego, pupuchły mi ręce jak pierogi... a wszystko za jedno słowo... niechnoby teraz zaczął — zaśmiał się.

— A pamiętasz jak Zośkę i Ludwika skatował?

— Ktoby tam zliczył tych, co pobił, taki psi syn lubuje się w biciu.

— To prawda, nic nas nie nauczył, a karał co niemiara... Czy ty Jaśku umiesz co po niemiecku?

— Precz mi wywietrzało z głowy, a teraz muszę sobie przypomnieć, bo we wojsku inaczej nie wolno.

— Nameczysz się biedaku — westchnęła.

— Ee, wytrzymam, bo ty na mnie poczekasz... Prawda?

— To się wie... ja zaś będę się modliła, aby ci lżej było. Nie wiesz, gdzie zapędzą ciebie?

— Będę w huzarach, ale gdzie, tego nie wiem. Napiszę do ciebie.

— Oj będę ja listu czekała... bo to w życiu mojem nie otrzymałam ani słówka z poczty.

— Jakże miałaś otrzymać — zaśmiał się — gdyś tu urodzona i wychowana a już najdalej byłaś w Opolu.

— To prawda, ale miałam dobrą znajomą, wiesz Tekla Marczakówna?

— Znam ją... gdzieś poszła na zarobki.

— Będzie temu rok, a może i więcej, jak wyszła z Leszczyńiec, obiecała pisać, ale i słówka nie otrzymałam do tej pory.

— Taka to i przyjaźń babska — zaśmiał się drwiąco — śnieg wiosenny trwa dłużej.

— Niby to chłop wierniejszy — odcięła — co z oczu, to i z serca.

— Jak który, ale przysięgłem, to dotrzymam, to ci szczerze powiadam.

— Zaś ja ci wierzę... Strzymaj konie, zleżę z wozu, bo na co nam ludzkie gadanie?

— Jeszcze chwilę — prosił.

— Nie... już widać domy... stań!

— Kiedyż my się obaczymy? — spytał wstrzymując konie.

— Jutro będę na sumie.

— A na nieszporych także?

— Nie wiem... może matusia mnie puszcza.

— Przyjdź Maryś... toż w poniedziałek jadę.

— Wiem i żal mi cię bardzo... pewno przyjdę i na nieszpory... Ano, dziękuję ci za podwiezienie... jedź z Bogiem!

— Zostań z Bogiem... a przyjdź!

— Nie zapomnę.

Ruszyły konie, a Jaśko raz wraz oglądał się, póki mu dziewczyny nie zasłoniły domy i ogrody w Leszczyńcach, w małej osadzie wiejskiej przynależącej do parafii i szkoły w Radoniach.

Wkrótce wjechał do wsi. Po jednej i drugiej stronie drogi ciągnęły się schludne, wybielone domy kryte gontami lub czerwoną dachówką. Przed frontowymi oknami, na małych grządkach, kwitły białe, czerwone, fioletowe astry, a wielkie krzaki georginii stały jakby na straży pomniejszych kwiatów.

W sadach za domami, na podwórzach bawily się dzieci nawołując i śmiejąc się głośno. Gospodarze, parobcy poili bydło, konie, zanosili

do porządnych, drewnianych stajen obroki, rozprawiając o pracy dzisiejszej, o zamiarach jutrzejszych. Gospodynie, dziewczęta, podpiąwszy spodnice spieszyły do wydoju. Przejeżdżającego Jaśka witano słowem bożem, a z jednej i drugiej strony zapytywano:

— A drogie drwa?

— Pięć marek za meter.

— O, draż z nas posiedziciele lasów — mruknął gospodarz.

— Ba, bo oni jedni las mają — dorzucił ktoś z innego podwórka.

— Już ci Jaśku nie pracować z nami — westchnął sąsiad.

— Rozkaz — odpowiedział — i waszemu chłopcu może się to przytrafić.

— Prawda.

— Jak wróci, będą mu lepiej smakowały Radonie — zaśmiał się inny.

— Byle szczęśliwie wrócił — westchnęła jedna z gospodyń, idąc ku stajni.

— Co nie mam wrócić? — zaśmiał się Jaśko niezszybczy — nie jadę między wilki i niedźwiedzie.

— Gorzej synku, gorzej — rzekł stary siedzący na przyzbie — bo między lutrów i Niemców.

Już dojeżdżał do swego domu, a ojciec jego, krępy, silny człowiek, z wygoloną twarzą, z lekko siwiejącymi włosami szybko otwierał bramę wjazdową, i zawołał:

— Spóźniłeś się Jaśku... dlaczego wracasz od Leszczyńce?

— Tak mi droga wypadła — odpowiedział lekko zmieszany — opowiem wam później tatuziu.

Stary spojrzal bacznie na syna, pokręcił głową, a zamykając wrota rozkazał:

— Zajedź pod szope... konie wyprzągaj i drwa trza nam złożyć.

Jaśko odpinał naszyjniki od dyszla, gdy ojciec przystąpił i pomagał mu odczepiać postronki z orczyków, a gdy konie były wolne od wozu rzekł:

— Prowadź do stajni, chomonta powieś na kołku, zaniesiesz je później do komory... a bacz, aby nie dorwały się jadła, bo zgoniłeś je setnie... Wracaj!

Po chwili znosił Jaśko do szopy drwa podawane mu z wozu przez ojca, a gdy już byli na ukończeniu ten spytał go:

— Dlaczego nałożyłeś drogi na Leszczyńce?

— Spotkałem Marysię Byliczanke, szła z ciężarem, to i podwozłem.

— A tobie co do niej? — zgromił go ojciec — dla głupiej dziewczuchy szły konie dwa kilometry... także rozum!

— Pożałowałem jej — usprawiedliwiał się.

— Kogo? — spytał surowo.

— Ano, Marysi.

— Cóż to nowego? Może były zrekowiny z nią? — zaśmiał się drwiąco.

— Zaś jakby mogły się odbyć bez was tatusiu! — zawołał zaczerwieniony, bo przypomniał sobie przysięgę pod Męką Pańską.

— To ci powiadam chłopcze, że choćbyś miał lata swoje, ja w pierw muszę wiedzieć i rozważyć...

Toczyli wóz pod dach, do wozowni, a ojciec dodał po chwili:

— Hm... ta Marysia Byliczanka niczego sobie... zdaje się że uczciwa i pracowita.

— I jaka tatusiu! — zawołał Jasiak — lepszej niema na świecie.

Ojciec spojrział badawczo, nieznaczny uśmiech przewinał mu się po wygolonych wargach i mruknął.

— Każda z nich taka przed ślubem... A może ty się z nią zmówiłeś?

— Gadaliśmy coniebądź... ale ona mówi, że dopiero jak z wojska wrócę.

— O, mądra dziewczucha — zaśmiał się — idź i oporządź konie, jak ostygły, napój i zarzuć im siana.

— Dobrze tatusiu.

— A przynieś uprząż do komory — zawołał za odchodzącym.

— Wiem... wiem!

Jeszcze gospodarz był zajęty opatrywaniem

wozu, gdy do wozowni weszła żona i od wejścia pytała:

— A gdzie tak Jasiak bawił?

— Gdzie?... Zaś zgonił konie, bo dziewczuchę odwoził.

— Opamiętaj się... co ty wygadujesz? — zawołała oburzona — takiemu dziecku to ani w głowie, ale jak posłyszysz co sam ojciec mówi, gotów się zmarnować.

— Hm... hm... czy mu w głowie Marysia Byliczanka, nie wiem, ale że nosi ją w sercu, sam wyznał.

— A, tegom się nigdy nie spodziewała! Zdało mi się, że to dobra, uczciwa dziewczyna... a ta zaleca się do chłopców.

— Iii, gadanie! — wzruszył ramionami — jużci że i ona winna krztynkę, ale i Jasiak się nie lenił.

— Myślisz, że on taki jak ty — odpowiedziała chmurna — ale to mój syn.

— Po połowie ze mną — zaśmiał się.

— Póki życia nie pozwolę na ślub — zawołała, zabierając się do odejścia.

— Matko!... Matko!

— Albo co?

— Miejże kobieto zastanowienie... Pojutrze idzie Jasiak do wojska, nie będzie go tutaj... wywierzaje mu z głowy dziewczucha.

— Hm... a jeśli się uprze? Czy nie lepiej wyrwać ten chwast zanim się rozrośnie?

— Chociażby i nie zapomniał w służbie wojskowej, i tak niema nic złego; bo zawsze ubezpieczony od Niemek, a przecież miłsza ci Marysia od nich, co?

— A nie daj Panie Boże tego... Chryste Panie, chyba do grobubym się położyła.

— Zaś daj mu spokój... do zrękowin i tak nie przyjdzie, a poco mu gorycz zalewać, kiedy i tak idzie między Niemców.

— Racya twoja... nic nie rzekę, ale to ci powiem, że nigdy nie spodziewałam się tego po Marysi... nigdy!

— Zaś co w tem dziwnego? Chłopak ładny, nie bez gruntu...

— Tego też jej się zachciewa.

— Albo i Jaśka — zaśmiał się.

— Lepiejbyś milczał — i nie oglądając się szła ku domowi.

Wkrótce zasiedli do wieczerzy, a prócz Jaśka były dwie siostry i brat mały. Matka nalewając Jaśkowi zacierkę z mlekiem, rzekła:

— Jedz... jedz!... Już ty nas wkrótce porzucisz — westchnęła.

— Nie po woli mojej, matusiu — odpowiedział zabierając się do jedzenia.

Matka stawiając kartofle okraszone słoniną, usiadła sama przy stole i spytała:

— A gdzie się Jaśku zabawileś?

— Straciłem kęs czasu, bom jechał na Leszczyńce.

— A to po co?

— Podwoziłem Marysię Byliczanę, bo szła z ciężarem.

— Cóż niosła? — spytała obojętnie.

— Co?... Nie wiem... nie pytałem.

— Hm... hm... o czymże mówiliście?

— Tak sobie, różności... spotkaliśmy też rektora... spojrzal na nas jak wilk, albo kot drapieżny.

— A nie drwił z was?

— Niechby się ośmielił dałbym mu... ale on nic, tylko uśmiechał się złośliwie, jako zwykle.

— I miał z czego — rzekła surowo, odkładając łyżkę z hałasem — widząc was oboje w pustem polu.

— Tak zaś pusto nie było, był i rektor i pastusi z bydłem...

— Hm... hm... odkasznął ojciec, nakładając fajkę — a dobrze ci odmierzyl w lesie?

— Akuratnie, pilnowałem tego... A wiecie tatusiu nasza pszenica zesza aż miło spojrzeć.

— Przygotowałem też rolę należycie.

I wszczęła się rozmowa gospodarska. Dopiero przy końcu wieczerzy odezwała się matka:

— Jaśku, a nie zapomnij raniutko zabiedz do dziadka i powiedz mu, że w poniedziałek



przed wyjazdem, ksiądz proboszcz odprawi Mszę świętą na twoją intencję.

— Dobrze matusiu.

— A możeby siadł na karą kobylę — zwróciła się do męża — zawsze to kawał drogi.

— Iii, młody jest... przebiegnie.

— Dwa kilometry do Leszczyniec, dwa z powrotem, to nie żadna droga — zaśmiał się syn.

— Byłeś się nie zabałamucił jak dziś — powiedziała z wymówką w głosie — bo spóźnisz się na sumę.

— Już ja się przypilnuję.

II.

Nazajutrz ledwo zaczynało szarzeć na wscho-
dzie, zerwał się Jaśko z pościeli i narzuciwszy
na siebie codzienne ubranie, poszedł oporządzić
konie, wyczyścić i dać im obroku. Zanim skoń-
czył, zrobił się jasny dzień i Jaśko przyszedłszy
z ciemnawej stajni rozejrzał się wokoło.

W lesie, na szczytach drzew wisiały jeszcze
opary skłębione, to poruszały się leniwo odsła-
niając wierzcholki drzew, to znów opadały ni-
żej, jednak wprawne oko Jaśka dostrzegło, że
wyższe warstwy oparów wznosiły się w górę
i rozpływały się w błękicie.

— Będzie pogoda — mruknął zadowolony.

Chwilę stał jeszcze, patrząc jak z pól i łąk
odrywały się lekkie powiewne opary, błędziły
chwilę to w tę, to w ową stronę i mknęły w górę.
Tylko Odra przesłonięta była mgłą białawą, nie-
ruchomą jeszcze i zasłaniającą dalszy widnokrąg.

Wszedł szybko do domu i jął przygotowy-
wać strój niedzielny. Wysokie buty tak wyglan-
cował, że świeciły się jak zwierciadło, oczyścił

ubranie i był już gotów, brakło mu tylko krawatki. Właśnie przeszukiwał swój kuferek, gdy weszła matka.

— A czego szukasz Jaśku?

— Krawatki matusiu... tej czerwonej w centki białe.

— A przecież dałeś mi do przechowania onegdaj.

— Dajcież matusiu.

Spojrzała na niego uważnie i rzekła głosem podejrzliwym:

— Cóż się tak wystroiłeś dzisiaj?

— Zaś idę do Leszczyniec... do dziadka.

— I dla niego ten strój?

— To moja ostatnia niedziela we wsi.

— Ostatnia przed wyjazdem powiedz... zaraz ci przyniosę.

Gdy wróciła i spostrzegła jak starannie związywał krawat, przyczesywał jasne włosy, pomyślała: stroi się tak do Marysi Byliczanki, a wmawia, że to dla dziadka, dla niedzieli; poczula niechęć do Marysi i powiedziała z przekąsem:

— Stroisz się jak na zrekowiny, nie przepominaj, że masz ojców.

— Iii, ktoby mnie chciał przed wojskiem — zaśmiał się — ano, idę do dziadka matusiu.

— Możebyś się kawy napił, zaraz będzie.

— Ej nie, dostanę u dziadka. Nie chcę spóźnić się na sumę.

Szedł szybko do Leszczyniec, rozmyślając w jaki sposób mógłby się spotkać z Marysią.

Zajść do Byliców tak rano nie wypada, pewno ubierają się dziewczęta... mogą przyjąć go kwaśno. Chyba chwilę zabawi u dziadka i na drodze w obocznym gaju wypatrzy Marysię idącą do kościoła, do Radoń.

Zastał dziadka przy śniadaniu. Przygarbiony, siwy, spojrzał na wchodzącego zblakłemi niebieskawemi oczyma, a po przywitaniu spytał:

— Zaś z czem przychodzisz Jaśku?

— Jutro idę do wojska, to i proszę was dziadziu o błogosławieństwo... matusia też mówili, że jutro raniutko jest Msza święta na moją intencję.

— Hm... hm... napij się wpierw kawy.

Druga żona dziadka Elżbieta postawiła przed Jaśkiem kubek kawy mówiąc:

— Jedz zdrowo, niech ci smakuje.

I wszczęła się rozmowa gospodarska o zasiewach, bydłe, cenach... Jaśko radby jak najprędzej wyjść od dziadka, paliło mu się pod nogami, bo a nuż Marysia pójdzie sama na sumę. Nie godziło mu się jednak zrywać i uciekać, czuł to dobrze, i kręcąc się w jasnej izbie na krześle spytał niespokojnie:

— Dziaduś pójdą dziś na sumę?

— Zaś chodzę zawsze, pójdę i dziś.

— Muszę i ja być na sumie przed wyjazdem... mówią że dziś Niemcy z »Maennerverein« przyjdą, aby śpiewać w kościele po niemiecku.

— Niech sobie przychodzą... nie poradzą naszym, bo nas kupa.

— Zawsze jednak zmacą nabożeństwo.

— Zaś zobaczymy.

— Dziadusiu, chyba pójdę.

— Pilno ci do swoich — uśmiechnął się — ja to rozumiem... hm... byłem i ja żołnierzem, służyłem w piechocie... ciężkie były to czasy — westchnął — a jednak przetrzymałem. Jedno ci mówię, strzeż swojej świętej wiary, nie daj się zniemczyć, bo zmarniejesz na wieki.

— Wiem o tem dziadusiu.

— I to ci powiem prawdziwie, nie wdawaj się z Niemkami, unikaj ich, bo zawsze rzetelny chłop ulegnie babie, i już ci ani wrócić do nas, ani zaznać spokoju.

— Ho, ho, ja ożenię się tylko ze swojaczką.

— Na ożenek jeszcze ci czas... Zaś względem wojska, bądź w zgodzie z kamratami, a podoficerów zjednaj sobie. Do tych przelożonych trafisz tylko piwem i poczęstunkiem... utraktuj ich gdy trzeba. Zaś abys miał za co, dam ci trzy talary.

Jasiek wstał i ucałował rękę starego mrużąc słowa podziękowania.

— Pamiętaj, nie trać tych talarów na swoje przyjemności i hulanki, użyjesz ich tylko w potrzebie dla podoficerów.

— Dobrze dziadusiu — znów ucałował rękę.

— Błogosławię cię mój wnuku na te ciężkie lata próby... pamiętaj sobie, byś dochował wiary świętej i nie trzymał kompanii z Niemcami.

— Dziękuję wam dziadusiu za wasze dobre słowo, błogosławieństwo, podarunek i naukę. I tak mi daj Panie Boże wrócić szczęśliwie do Radoń, że będę wam posłuszny.

— Amen — rzekł stary pochylając głowę — a teraz idź wnuku do domu, ucieszysz matusię i powiedz jej, że jutro będę na Mszy świętej.

— Dziękuję wam pokornie dziadusiu.

Pożegnawszy się wyszedł. Jeszcze brzmiały mu słowa dziadka: »idź do domu, ucieszysz matusię,« i posłuszny pierwszemu wrażeniu skierował się ku Radoniom. Czuł że ucieszy matkę, wróciwszy wcześniej do domu, i to sprawiało mu przyjemność. Już wchodził na drogę polową, puస్తą, do Radoń i rzucił okiem na Leszczyńce rozrzucone na łagodnem wzgórzu. Dojrzał dom Byliców. I zdawało mu się, że w pokoiku górnym, szczytowym, błysnęło coś białego.

A może to Marysia?

Ogarnęła go wielka tęsknota za nią, do spojżenia w jej wielkie, ciemne oczy; do posłyszania jej dźwięcznego głosu; do uścisku jej ręki.

Zawahał się i przystanął.

Wrócić? nie wrócić?

Może zabawi pół godziny... może godzinę? Dla matysi rzecz obojętna, i tak jest on zawsze w domu; ale nie obaczy Marysi tylko na nabożeństwie, gdzie ani się rozmówić, ani spojrzeć dobrze w oczy.

Zawrócił się i szedł już prosto do domu Byliców. W pobliżu cofnął się, zdjęła go obawa, bo i jak wytlómaczy swoje odwiedziny?

Spojrzał na zegarek, była dziewiąta, a dopiero o jedenastej rozpoczyna się suma. Chyba zaczeka gdzieś na ustroniu i podpatrzy, gdy Bylicowie wybiorą się do Radoń, na nabożeństwo.

Nieopodal na polu była dąbrowa, podszedł i usiadł pod wielką, nadwiślańską topolą, która swem potężnem rozgałęzieniem królowała nad gajem. Wpatrywał się bacznie w dom Byliców, zważając na każdy ruch w podwórzu. Widział jak stary Bylica zamykał starannie stodołę, spichrz, jak obchodził całe obejście, poprawiając to i owo. Wyszła też z domu gospodyni, niosąc z Bronką, młodszą siostrą Marysi ceber do karmnika, słyszał kwik nierogacizny; nawoływania kur i gęsi; naszczekiwanie psa łaciatego, który spostrzegł skradającego się kota.

I wszystko ucichło w obejściu Byliców, pewno wybierają się do kościoła.

Gdzieś z pól dalekich odezwały się przecią-

głe tony fujarki, dziwnie tęskne i smutne. Zasluchał się w znanej melodii, a gdy nagle się urwała posłyszał cichy szelest liści padających z drzew na ziemię. Barwiły się żywymi kolorami, ale były to chorobliwe blaski zwarzonych mrozem, skazanych na śmierć liści urodzonych w słońcu, wykołyszanych w promieniach, odżywianych rosą. Na oplotkach, odgraniczających drogę od pól ornych usiadła sroka i głośnym skrzykiem oznajmiła swą obecność.

— Będą goście — mruknął, i spojrzał na domostwo Byliców.

Właśnie przez otwartą furtkę wychodziła na drogę Marysia, Bronka i ich matka.

Porwał się z miejsca, obciągnął spencer, poprawił kapelusz i na przelaj szedł ku nim.

Na jego widok Marysia sponsowała aż po białka, co nie uszło uwagi matki, a gdy on pozdrowszy ich słowem bożem stanął bezradny i spuścił oczy, odezwała się Bylicowa, patrząc nań podejrzliwie:

— A ty Jaśku, co robisz o tej porze w Leszczyńcach?

— Byłem u dziadka po błogosławieństwo, bo jutro do wojska.

— Już jutro?... Ciężkie będziesz miał życie — westchnęła — i dobrze zrobileś, że wzięłeś błogosławieństwo dziadka. Cóż ci powiedział? — spytała idąc dalej drogą.

— Zaś pobłogosławił i dał trzy talary na złą godzinę.

— O, godnie zrobił, a ty szanuj ten pieniądz... Cóż u was słyhać?

— Chwalić Pana Boga wszystko w zdrowiu i na polu dobrze... A u was?

— Panu Bogu dziękować, także nieźle.

Wtem nadeszły inne sąsiadki, wszczęły rozmowę, a dziewczęta poszły przodem. Do nich przyłączył się Jaśko i tak zręcznie się uwinął, że zbliżył się do Marysi i mówił przyciszonym głosem:

— Wiesz Maryś, dla ciebie przyszedłem.

— Zaś nie byłeś u dziadka? — spytała zdziwiona.

— Byłem chwilę, ale z gaju wypatrywałem tylko ciebie... a tak mnie coś ciągnie, tak rwie do ciebie, że rady sobie dać nie mogę.

— Gadasz — uśmiechnęła się zadowolona — cóż ci tak pilno? Trzy lata w służbie musisz wytrzymać.

— Chyba nie ździerzę... każdy rok będzie mi wiekiem bez ciebie. Ucieknę z wojska, albo co?

— Jaśku opamiętaj się — szepnęła z gorącą prośbą w głosie — uciekniesz, to złapią cię, zakują w kajdany, ukarzą srogo... i nigdy się nie pobierzemy.

— Zaś masz rację — odpowiedział spokoj-

niej po namyśle — ale kiedy mi okrutnie ciężko.

— A myślisz, że dla mnie te trzy lata będą lekkie? krótkie?... Ofiarowałam się pościć każdej soboty do Najświętszej Pani, na intencję szczęśliwego twego powrotu; a ty sam chcesz zgubić nasze kochanie. Ej Jaśku, opamiętaj się!

Rozczuliły Jaśka te słowa i mówił wzruszony:

— Oj Maryś, tyś strasznie dobra i miłościwa... Już nie zrobię żadnego głupstwa, przecierpię, przeboleję a przetrzymam te trzy lata... ale będziesz moją?

— Już ci raz powiedziałam, poco pytasz?

— Zaś tak mi słodko posłuchać ciebie.

— Ano, kiedyś taki uparty — uśmiechnęła się z dobrocią — to ci powtórzę, że jak wrócisz, zastaniesz mnie wolną.

— I będziesz moją?

— To zależy od Pana Boga i od ojców.

— Moi pozwolą napewno — zaśmiał się. — Wczoraj tatuś mój mówili: ta Marysia Byliczanka uczciwa i pracowita.

— I naprawdę tak powiedzieli? — zawołała ucieszona.

— Sam słyszałem, a ja nie kłamię... Widzisz Maryś moi ojcowie pozwolą... ale twoja matusia coś krzywo na mnie patrzy.

— Taka jej natura... ostrożna jest, ale już ja ją przerobię na lepsze.

Zajęci rozmową i sobą odłączyli się od reszty młodzieży, a dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać z pary idącej przodem. Spostrzegła to Bylicowa i zawołała głosem gniewnym:

— Maryś!... Maryś!

— Co matusiu? — odpowiedziała zaczerwieniona, widząc że szła sam na sam z Jaśkiem.

— Idź z Bronią i innemi, poco wrywasz się przodem?

— Dobrze matusiu — i połączyła się z resztą dziewcząt mówiąc do nich: zagadałam się z Jaśkiem o wojsku.

Zaśmiały się głośno, a Paulinka, która nie bardzo lubiła Marysię, przycięła:

— Cóż, ładnie mu będzie w mundurze?

— Ty lepiej znasz się na tem, bo dłużej żyjesz — odpowiedziała, robiąc przytyk do jej lat.

— Ale żaden chłopiec nie woził mnie z miasta.

Zaczerwieniła się Marysia, bo ani się spodziewała, że już wiedzą ludzie o wczorajszem spotkaniu z Jaśkiem, więc umilkła a następnie zagadała do Broni, swej siostry o pogodzie dzisiejszej.

Gdy weszły do wsi i miały iść w prawo do kościoła z czerwoną, spiczastą wierzyczką; Jaśiek niskim ukłonem i zdjęciem kapelusza pożegnał dziewczęta i poszedł w stronę swego domu.

— Fein chłopiec — zaśmiała się Kasia,

zwana grubą dla swej figury, a która napróżno wyglądała starającego się.

— Ee, taki młokos — dorzuciła Franka, piętnastoletnia, wzruszając ramionami.

— Dojrzeje on we wojsku, a może i przejrzeje — rzekła Paulinka z uśmiechem złośliwym.

— Do tańca on dobry, ale nie na męża — dodała Jadwiga, szatynka szesnastoletnia.

Wtem podeszli inni chłopcy z Radoń i rozmowa o Jaśku urwała się.

Jeszcze przed rozpoczęciem sumy zauważyli Ślązacy, że Niemcy należący do parafii w Radoniach zgromadzili się tłumnie i weszli kupą do kościoła roztrącając zgromadzonych. Widząc to najście domyślili się Ślązacy, że Niemcy postanowili śpiewać po swojemu. Jaki taki począł się odgrażać i dawały się słyszeć głosy:

— Nasz kościół od wieków!... Nie pozwolimy go sromocić niemieckim szwargotem!

Co starsi uspokajali gorętszych, mówiąc:

— Uszanujcież miejsce święte!... Miejsce też pomiarkowanie!... To nie karczma, ale przybytek Boski!

— Jakże to być może, aby takie przybłedy niemieckie panoszyły się w naszym kościele!?...

— Wyrzucić tych pludraków! — wołali młodszy, ściskając pięści.

W tej chwili nadszedł jeden z niemieckich

kolonistów, człowiek stary, pochyłony, szedł ociężale, suwając płytkimi ciżmami.

— A ty tu poco? — zakrzyknęto.

Zdziwiony przystanął na chwilę i idąc dalej zawołał głośno:

— Idę do mego kościoła.

— Do kirchy idź niemiecka wiaro!

— Wara ci od naszego kościoła!

— Cóż to, gwałt czynicie? — spytał, a widząc ściśnięte półkole przed wejściem do kościoła, począł się cofać mówiąc: — pójdę do a m t m a n n a, do rejencyi ze skargą, tam ukarzą waszą śląską butę.

— A idź do samego dyabła, tylko wara od kościoła naszego — odkrzyknęto.

Chłopcy, niedorostki, porwali grudki ziemi i nuż ciskać za Niemcem, który przyspieszając kroku ciągle kłął i wygrażał. Rozważniejsi i starsi jakoś uspokoili rozgorączkowane umysły, przyrzekając, iż pójdą do księdza proboszcza i uproszą, by nie dozwolił na niemieckie śpiewy. Trzech co najpoważniejszych, poszło do zakrystyi, a inni szanując przybytek Pański, zwolną wchodzili do kościoła.

Zabrział dzwonek, znak rozpoczęcia nabożeństwa. Wrócili delegaci, i szeptem rozeszła się wiadomość, że sam ksiądz proboszcz zaintonuje pieśń polską.

Na twarzach Ślązaków widać było zadowo-

lenie, modlili się też żarliwie nie dbając o Niemców, którzy rozparli się w głównej nawie.

Gdy ksiądz klękawszy na stopniach ołtarza miał zaintonować pieśń, nagle chór niemiecki począł śpiewać po niemiecku. Ksiądz wstał i ręką dał znak organiście by zagrał, a tem samem zmieszał melodyę śpiewu niemieckiego. Wkrótce też pieśń chóralna umilkła mimo usiłowań niektórych śpiewaków, by ją podtrzymać. Korzystał z tej chwili proboszcz i zaintonował pieśń polską, a organy jej wtórowały.

Ślężacy i Ślężaczki silili się na śpiew głośny, dosadny, i zdawało się, że cała świątynia jest tylko jednym głosem, jedną pieśnią...

Po skończonej sumie, gdy wierni opuszczali kościół, o kilka kroków od bramy spostrzegli dwóch żandarmów w towarzystwie starego Niemca, którego nie dopuszczono do kościoła.

Stary z ustami zaciętymi, z błyszczącymi oczyma wymieniał i wskazywał palcem tych, którzy wzbraniali mu przystępu; a żandarmi zatrzymywali wskazanych, spisując ich nazwiska.

Podeszli i inni Niemcy z kościoła, uskarżając się głośno przed żandarmami na krzywdę i upokorzenie doznane od proboszcza.

Oburzeni Ślężacy otoczyli kołem żandarmów, i widać było posępne i zdecydowane twarze; padały groźne słowa, przekleństwa.

Jeden z żandarmów ładując karabin zawołał.

— Rozejdźcie się, bo strzele!

— Spróbuj, nas tu więcej! — zadrwiono.

W tej groźnej chwili, gdy lada potrącenie, lada gorętsze słowo mogło wywołać zatarg krwawy, ksiądz proboszcz rozpychając tłum stanął przed żandarmami, i zwracając się do zebranych rzekł po śląsku:

— Rozejdźcie się w spokoju moi najmilsi bracia... Proszę was usilnie, usłuchajcie mnie... Żadnej krzywdy nie pozwolę wam zrobić, ale władzę należy uszanować...

Przemowa ukochanego proboszcza podziałała kojąco, i Ślązacy, wprawdzie z pomrukiem i odgrózkami, ale rozeszli się do domów.

Przed kościołem pozostał proboszcz, Ammann, czyli wójt, i pięciu obwinionych, a pomiędzy nimi i Jaśko.

Krewni, przyjaciele przytrzymanych, stali w pewnem oddaleniu, wyczekując niespokojnie końca sprawy. Pomędzy nimi był dziadek Jaśka z medalem wojskowym, przypiętym na lewej stronie piersi; byli rodzice; a w głębi stała Marysia zastraszona o Jaśka, głucha na rozkazy i prośby swej matki, by wracała do Leszczyniec.

— Zaś jak mam iść — odpowiedziała zacierwieniona z oburzenia — naszym dzieje się krzywda, a ja mam jeść obiad spokojnie.

— Cóż ty głupia pomożesz? — gromiła ją matka.

— Będę świadczyła w potrzebie.

Jaśko stał spokojnie, z uśmiechem na ustach i rozglądał się wokół. Dziadkowi i rodzicom skinął głową, lecz gdy zoczył Marysię, rozjaśniła mu się twarz i miał oczy już tylko dla niej. Matka jego spojrziała śladem jego wzroku, dostrzegła dziewczynę i nachmurzona odwróciła się szybko, unikając przywitania.

Tymczasem żandarmi zażądali od wójta, by spisał protokół z tego zajścia przed kościołem.

— Jeśli mamy pisać — mówił wójt — więc chodźmy do urzędu.

— Panie wachmistrzu — odezwał się proboszcz — plebania blisko, a papier, atrament i poczęstunek znajdzie się u mnie.

— Hm... nie będzie to ściśle według wymagań prawa — odpowiedział wachmistrz gładząc wąsy sumiaste — ale zrobię to dla księdza proboszcza.

Wszyscy ruszyli w kierunku plebanii, a inni postępowali za nimi w pewnem oddaleniu, tylko dziadek Jaśka przystąpił do żandarmów i wskazując na medal rzekł:

— Służyłem królowi i cesarzowi wiernie, ot dowód... Należę do kółka weteranów... byłem świadkiem zajścia i mój głos, jako wojskowego powinien mieć swoją wagę.

Znaczenie i szacunek dla wojska i jego przedstawicieli tak usilnie wpaja rząd pruski w swoją ludność, że wachmistrz odpowiedział bez namysłu:

— Żołnierz, a jeszcze weteran, ma zawsze pierwszeństwo przed cywilnymi... prosimy ze sobą.

Obwinieni pod strażą żandarma pozostali w sieni, a do pokoju jadalnego, umeblowanego skromnie weszli: proboszcz, wójt, wachmistrz i dziadek Jaśka. Zasiedli za stołem, a po rozpoczęciu przemówił proboszcz:

— Zajście ze starym Augustem, jest godne nagany... ale nie stała mu się żadna krzywda.

— Należy go przywołać — i wachmistrz otworzywszy drzwi poprosił Augusta i rzekł: — opowiedzcie spokojnie, jak to było.

— Ano, idę do kościoła, a tu stoi tłum śląskiego bydła i nie chce mnie puścić... wymyśla mi od niemieckiej wiary... i gdym się powołał na władzę, kpil, a nawet chciał mnie ukamienować.

Przemówienie proboszcza i wójta podziało o tyle, że August przedstawił sprawę w świetle łagodniejszym.

— Hm... znów tak wielkiego przestępstwa nie widzę — rzekł wachmistrz.

— Nie widzi pan? — zadrwił stary — ależ

to lekceważenie władzy, nas Niemców, to jawny opór, to śląska buta! Pójdę do samej rejencyi ze skargą, jeśli nie znajdę sprawiedliwości!

— Postawcie świadków — odezwał się dziadek Jaśka — a winni będą ukarani.

— Tak, tak, świadków nam trzeba — potakiwał wachmistrz.

Zamilkł stary August i opierając ciężko na łasce swą postać zgarbioną, rzekł po dobrej chwili:

— Panie wachmistrzu i wy wójcie, czy to pierwszy raz macie do czynienia ze Ślązaki? — uśmiechnął się drwiąco — czy znaleźliście kiedykolwiek pomiędzy nimi świadków, gdy skrzywdzą Niemca?... Byli sami Ślązacy, każdy wyprze się w żywe oczy... zważcie, że jeśli Niemiec mówi, zawsze powie prawdę, to też jako Niemiec, którego sponiewierali Ślązacy i uciśkają na każdym kroku, wnoszę zażalenie i żądam sądu na aresztowanych.

Wśród milczenia odezwał się dziadek Jaśka:

— Naszą rzeczą nie jest sądenie, ale protokół, i poświadczam, że aresztowany Jan Szczygieł, nie był wmieszany w to zajście, stał obok mnie i nie odezwał się słowem.

— Tak mówicie, bo to wasz wnuk — zaśmiał się August — ale ja dobrze widziałem, że on stał w szeregu opornych.

— To on wasz wnuk? — spytał wachmistrz.

— Tak jest.

— Hm... nie możecie świadczyć, jako krewny.

— Prawdę każdy może powiedzieć — odrzekł stary surowo.

— Panowie! — zabrał wójt głos: — Poczete swary?... spiszemy protokół, a niech władza wyższa rozstrzyga.

— Wójt ma rację — rzekł wachmistrz.

Przysunął do siebie arkusz papieru, spisał zeznanie Augusta, oskarżającego pięciu Ślązaków, jako podżegaczy zajścia. Gdy z kolei wymienił Jaśka Szczygła, zawołał jego dziadek:

— Jakże możecie mówić o nim, kiedy świadczę, że i słowa nie przemówił?!

— Wasze słowa, jako żołnierza dawnego, mają swe znaczenie... ale to rzecz sądu.

Następnie wezwano oskarżonych, wachmistrz odczytał im zrobiony protokół i polecił, by żaden z nich nie wydalal się ze wsi bez pozwolenia wójta.

— Jan Szczygiel jutro ma się stawić do służby wojskowej — powiedział wójt.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnął się wachmistrz — znajdziemy go.

I następnie uwolnił obwinionych z pod straży żandarma.

Jaśka oczekiwali rodzice, a Marysia widząc go wolnym, skinęła mu głową przyjaźnie i poszła ku Leszczyńcom.

Zaledwie kilka słów powiedział Jasiek o przebiegu protokołu, a widząc zbliżającego się dziadka dodał szybko:

— Dziadus najlepiej wam powiedzą... idę, bo chciałbym się z kimś obaczyć — i nie czekając odpowiedzi szybko poszedł wiejską drogą.

— Zaś ten gdzie tak gna? — rzekła nachmurzona matka.

— Zwyczajnie za dziewczuchą — zaśmiał się mąż.

— To być nie może... nie tędy droga do Leszczyńca.

— Ano, myli tropy, kluczy jak zając — śmiał się ojciec, wskazując ręką na Jaśka, który pomiędzy opłotkami przedzierał się na drogę ku Leszczyńcom.

— Czary jakież! — splunęła — rzuciła urok, czy co?

— Zaś byliśmy inni? — mrugnął okiem do żony.

— Stary zbereźnik — i odwróciła się od niego.

Wtem podszedł dziadek i jał długo rozpowiadać o protokóle, Auguście, wachmistrz...
Tymczasem Jaśko, jak słusznie przewidywał

ojciec, szedł szybko na przelaj do drogi Leszczyńckiej, aby dopaść powracającą Marysię. I nie tylko, że ją spotkał, ale wyprzedził dość znacznie Marysię, jej matkę i Bronkę.

Na jego widok spochmurniała Bylicowa, za-

uważała bowiem niechętnie spojrzenia jego matki, i przemówiła szorstkim głosem:

— Zaś twój obowiązek iść do ojców, a nie włóczyć się po drogach.

— Chciałem wam opowiedzieć co było na plebanii, bo możecie ciekawi — odparł zmieszany.

— Wiedzieć, to chcę, bo o nas wszystkich idzie... gadajże i wracaj.

Mówił zwolna, idąc z niemi ku Leszczyńcom, o protokóle, o Auguście i dziadku, nie bardzo i składnie, bo co chwila spoglądał na Marysię, która uśmiechając się z jego pomyłek, miała na twarzyczce wyraz dobroci, zadowolenia i współczucia.

Gdy matka z Bronią wszczęły rozmowę o niemieckim śpiewie w kościele, przysunął się Jasiak nieznacznie do Marysi i szepnął:

— Będiesz na niesporach?

— Przyjdę.

Matka uważna na wszystko spytała:

— A co tam szepczecie?

— Pytałem czy Marysia nie zapomniała tańców — uśmiechnął się.

— Alboż dziś zabawa? — spytała Bronia z żywością.

— I jaka jeszcze! Nas ośmiu, idziemy jutro z Radoń i Leszczyniec do wojska, tamci do piechoty, a tylko ja do huzarów — odpowiedział

nie bez dumy — i dziś wyprawiają nam zabawę... na pożegnanie, bo kto wie czy wrócimy?

— Tak? — przemówiła Bylicowa — jest ci między rekrutami i mój chrzestniak, Wicek Balanda, dziwno mi nawet, że nie zaszedł do mnie.

— A może i był, tylko nie zastał was.

— Może...

— Matusiu, pozwólcie nam potańczyć — prosiła Bronia, ulubienica matki — niedługo już i adwent... aż mi serce skacze do tańca.

— Zachciewa ci się także — uśmiechnęła się — co ci po tem?

— A wy matusiu nie lubiliście tańczyć w moim wieku? — zaśmiała się.

— Inne to były czasy... inni chłopcy, stateczni, gospodarni, porządni...

— Co mi chłopcy... ja chcę tylko tańczyć! — zawołała wesoło — wszystko mi jedno z chłopcem, z kotkiem czy z workiem, byle tańczyć.

— Oj głupia! głupia! — uśmiechnęła się matka pobłaźliwie — a gdzie? i kiedy? — zwróciła się do Jaśka.

— Zaś u Srokacza pod gołębiem... zaraz po niesporach.

— Pójdziem matusiu! Pójdziem! — klasnęła w dłonie Bronia.

— Hm... poradzę się z ojcem, nie wiem czy pozwoli?

— Ho, ho, wasza wola w domu — zaśmiała

się — to i pójdziemy!... Maryś, a ty się nie cieszysz?

— Zaś mam swoje lata i rozwagę.

— Nie odleciałaś znów tak daleko ode mnie, ledwie że na dwa roki, a już stroisz miny, aby cię Jaśko podziwiał — rzekła z przekąsem.

— Cicho smarkata! — zawołała matka — Maryś dobrze mówi, bo i w tańcu należy mieć pomiarkowanie... Hej, Jaśku już połowa drogi, wracaj do dom, a pokłoń się ojcom ode mnie.

— Dziękuję wam pokornie, pani matko — odpowiedział i ucałował ją w rękę.

Co widząc i słysząc Marysia okrutnie się zaczerwieniła, a Bronia w głos się roześmiała i rzekła:

— Czy ty Jaśku zięć, że szukasz łaski naszej matusi?

— A cicho niepoprawna pleciugo — zaśmiała się matka — nie bierz tego Jaśku do serca... ot głupie to i gada bez pomiarkowania.

— Czasem Pan Bóg daje, że głupia ma więcej przenikliwości, aniżeli rozumna — uśmiechnął się Jaśko.

Matka spojrzała na niego dość niechętnie i rzekła:

— Zaś głupia, nie znaczy to samo co głupawa... i ona ma swój rozum, lepszy aniżeli wodzi się komu — i z miłością spojrzała na Bronię.

— Czy ja głupia, czy mądra, wszystko mi

jedno, abym się tylko dziś natańcowała i ubawiła — zaśmiała się wesoło.

— Czy przyjdziecie pani matko z córkami? — spytał Jasiek.

— Chyba że przyjdę... niech się bawią, póki są młode... a teraz, czas na ciebie!

Znów ucałował jej rękę, a dziewczętom skłonił się nisko i odszedł.

— Maryś! — odezwała się matka — ty sobie głowy nim nie zawracaj, bo nic z tego nie będzie... młode to, idzie do wojska... a może i z Niemką się ożeni.

— O, on nie taki! Słazak z niego sprawiedliwy.

— Ktoby chłopom wierzył? — wzruszyła ramionami — jednej przysięga, a za drugą pa-trzy... To ja ci powiadam, uważaj na siebie.

— Zaś co wam w głowie matusiu — zawołała ze śmiechem — lubię go i tyle, bo brał za mnie lapy w szkole.

— Wiem ja, że on dobry i dziecko z niego posłuszne, tem ci bardziej pilnuj się.

— Co mam się pilnować, kiedy mi nic nie grozi? Mam ja przecież swój rozum.

— Rozum u ciebie, jak u kury... ty słuchaj się matki.

— Dobrze matusiu... tylko niech mi Bronka nie wykluwa oczu Jaśkiem, jeszcze kto posłysz i zaraz plotki.

— Zaś co racya, to racya... Hej, Bronia — zawołała na idącą przodem — ani mi się waź doskwierać Marysi Jaśkiem przy ludziach... zanim powiesz, wpierw pomyśl.

— Matusiu, alboż tylko ja sama widzę, że oni mają się ku sobie?

— A co, słyszycie matusiu!? — rzekła zaczerwieniona Marysia.

— Zaś nie głucham... a ty Broniu słuchaj mnie: że Jasiek zabiega około Marysi, to nic dziwnego, ale ani mi się waź mówić o tem, bo póki ojcowie jego nie oświadczą go, my nic o tych zalecankach nie wiemy. Czy zrozumiałaś?

— Zaś tak... no, a Marysia także nie będzie nic o tem wiedziała?

— Gadajże do niej — gniewała się matka — to nie twój interes, ty pilnuj się, byś przed ludźmi nie plotła trzy po trzy o Marysi.

— Hm... jeśli nie, to nie... już i gęby nie otworzę, chociażby mnie sama Marysia prosiła.

Tego samego dnia w gospodzie »pod gołębiem« było gwarno i rojno, a pierwszeństwo trzymali poborowi, bo dla nich był ten wieczór, dla nich zabawa przed rozstaniem się ze wsią i swoimi.

W pierwszej izbie, gdzie stał szynkwaz zgromadzili się starsi, poważniejsi, pili piwo, rozmawiali o gospodarstwie, o cenach zboża i bydła, o niedawnych wyborach do rady państwa, w któ-

rych zwyciężyli Słazacy, przeprowadziwszy na posła swego kandydata, i nasłuchiwali muzyki złożonej ze skrzypców, bębena i basu, grającej w obocznej, większej izbie.

Z trudem przesunęła się matka Jaśka przez ciżbę, stojącą w drzwiach by przyjrzeć się bliżej tańczącym. W izbie, oświetlonej trzema ścienkami lampami, w jednym rogu grała muzyka walca, a na środku kręciło się z piętnaście par.

Dziewczęta zaczerwienione, chłopcy podnieceni, tańczyli bez opamiętania, jak gdyby dzisiejszy wieczór miał być ostatnim odbłyskiem radości i wesela. Już od dwóch godzin trwała zabawa, a w dusznym pokoju mimo otwartych okien było gorąco, żar bił od zmęczonych tancerzy. Napróżno matki wstrzymywały dziewczęta; ze śmiechem, żartami, porywali je chłopcy i taniec trwał dalej. Dopiero zmęczeni muzykanci odłożywszy instrumenta, przerwali tańce.

Zwiększył się gwar w gospodzie, gospodarz z pomocnikiem ledwie mogli nadażyć zażądaniom.

Dostrzegła też matka Jaśka, jak on nie odstępował Marysi i jej rodziny, a wraz z Wikiem popisowym, chrzestniakiem Bylicowej na wyścigi ugaszczali dziewczęta. Stała opodal, a gdy Jaśko przechodził, zawołała go do siebie:

— Czekamy na ciebie z wieczerzą, jest dziadek i wujek twój, chodź do domu.

— Zaraz matusiu, zaraz!

— Umyślnie przyszedłam po ciebie.

— Już idę, tylko pozwólcie, bym zatańczył jeszcze raz.

— I tak ledwie dyszysz... chodź!

— Ostatni taniec — prosił.

— Dobrze... tu zaczekam.

Przyniósł Jasiek jeszcze piwa Marysi, sam podszedł do muzyki, dał coś grosza, i wkrótce muzycanci nastroiwszy instrumenta, poczęli grać stary, ulubiony taniec śląski zwany »żydkiem«, coś pośredniego pomiędzy oberkiem i krakowiakiem.

Ruszyły pary, ale urodą i wzrostem przewyższali wszystkich Jasiek z Marysią.

W drzwiach od pierwszej izby tłoczyli się widzowie, a i ci w salce, powstali z miejsca, przypatrując się z lubością tańczącym, nucąc z cicha melodyę lub przytupując w takt nogą.

Czekano z niecierpliwością kto pierwszy zacznie przyśpiewkę przed muzyką, w której brał udział chór z obecnych śpiewając: »Oj żyd! żyd! żyd! żyd!«

Ogół tancerzy patrzył na Jaśka, jako prowadzącego, wreszcie niektórzy zniecierpliwieni poczęli wołać:

— Jasiek!... Jasiek!... Zaś poczynaj!

Stał wołany przed muzyką, a ujawszy prawą ręką w pas Marysię prześpiewał:

»Sprzedałem serce, sprzedałem ci duszę,
Niechże nie znoszę długiej katuszy«.

A tuż wpadł chór wołając w takt wesoło:

— »Oj żyd! żyd! żyd!« — i klaskano w dłonie.

Bardzo podobała się wszystkim ta przyśpiewka, tylko matka Jaśka wysłuchiwała ją obojętnie.

Teraz powinna była odśpiewać dziewczyna, i Jaśko okrzyknąwszy z Marysią izbę stanął znów przed muzyką. Nastąpiła cisza, wszyscy nasłuchiwali co mu odpowie Marysia, a ta zaśpiewała głosem czystym i dźwięcznym:

»Zaś nie targowałam, anim kupowałam,
Sameś się wpraszał, abym cię zabrała«.

Wraz z wesołym chórem rozległy się klaskania, śmiechy i w głos wołano:

— Dobrze mu powiedziała!... Wiwat Maryś!

A Bylicowa poczerwieniała z radości i dumy, patrząc śmiało na matkę Jaśka.

Poczęli i inni śpiewać, ale żadne przyśpiewki tak się nie podobały jako pierwszej pary, i z różnych kątów wołano:

— Jaśku! jeszcze raz! Spróbuj!

Podnieciło to jego ambicyę i znów stanął przed muzyką:

»Jadę między Niemce, pomiędzy odmienie,
Zachowajże dla mnie serce i rumieńce«.

Określił około izby, a Marysia mu odpowiedziała:

»Wrócisz ty Ślązakiem w te nasze strony,
Od żadnej Ślązaczki nie będziesz wzgardzony«.

Pochwałom i wesołości nie było już miary, wszyscy zaczęli śpiewać to słowa Jaśka, znów odpowiedź Marysi, a starsi i stateczniejsi winiszowali Bylicowej takiej córki, a Szczygłowej syna.

— Dobrana z nich para! — wołano w głos, a co starsze kobiety, obliczały już jaki majątek będzie miał Jasiek, a ile posagu Marysia.

Nawet nachmurzona matka Jaśka, widząc jego powodzenie poweselała, pierwsza zbliżyła się do Bylicowej mówiąc:

— Młodzi oboje, to się i bawią.

— Byle grzecznie, a pod okiem i z pozwoleniem rodziców — odpowiedziała uprzejmie.

— Święte wasze słowa — potwierdziła matka Jaśka — bo bez przyzwolenia rodziców niema błogosławieństwa.

— Ja to zawsze powtarzam Marysi — dodała Bylicowa — a ona usłuchana córka.

— O, i Jasiek patrzy nam tylko w oczy, czego my chcemy.

— Tak i być powinno... Zaś dość tych tańców, zabieram dziewczęta — i poczęła wołać na nie.

— A ja po Jaśka. Familia zebrała się u nas na wieczerzę — rzekła nie bez dumy.

— Zaś zwykła to rzecz, że odjeżdżającego żegnają — odpowiedziała uprzejmie.

Podeszła Marysia a widząc matkę Jaśka skłoniła się głęboko.

— Dobrześ odśpiewała — pochwaliła ją — o, sprytna z ciebie dziewczucha.

— Bardzo wam dziękuję za dobre słowo — odpowiedziała z ukłonem.

— Co się komu patrzy, to i mówię — a zwracając się do Jaśka: — chodźże do domu, czekają na ciebie.

— Już idę matusiu — pocałował w rękę Bylicową, co nie tylko jej się podobało, ale zrobiło wielkie wrażenie na innych, i starsze kobiety poczęły głośno szeptać, że Jasiek jest już po słowie z Marysią.

Bylicowa, ujęta szacunkiem Jaśka, rzekła rozczulona.

— Daj ci Panie Boże wrócić szczęśliwie.

— Dziękuję wam pokornie... a ty Maryś co mi powiesz?

— Ja? — odpowiedziała zmieszana — ja, nie przepomnę tej zabawy.

— To i dobrze, bo Ślązakiem wróć —
uśmiechnął się do niej.

Pociągnęła go matka za rękaw, mówiąc:

— Chodźmy Jaśku!

— Już idę.

A gdy byli na drodze do domu rzekła:

— Jeszcze ci wąs nie urósł, a już się kwapiasz do dziewcząt.

— Czy mam czekać siwizny? — zaśmiał się.

— Nie to mówię... ale co ty sobie upatrzyłeś w tej Marysi Byliczance.

— Okrutnie przypadła mi do serca.

— Hm... pogadamy o tem, jak wrócisz do nas z wojska.

— Dobrze matusiu, ale nie bądźcie jej krzywi.

— Nie bój się, nie zrobiła mi ona nic złego.

III.

Prawie o świtaniu odprawił ksiądz proboszcz mszę świętą na intencję popisowych, a gdy od ołtarza przemówił do zebranych, słyhać było najpierw głębokie westchnienia, a potem wybuchnęły kobiety wielkim płaczem i szlochem, że niemal przygluszyły słowa księdza.

Po skończeniu mszy świętej, gdy wyszli wszyscy przed kościół i zabierali się do odjazdu, rzekła matka Jaśka do męża:

— Nie wytrzymam, mówię ci po sprawiedliwości, muszę z nim jechać choć do Opola.

— Zaś mój pomiarkowanie kobieto — tłómaczył spokojnie — trzeba mieć oko na gospodarstwo, opatrzyć bydło... nie można na Jagusię spuścić wszystkiego, bo jeszcze smarkata.

— Ii, da ona sobie radę, — a zwracając się do trzynastoletniej blondynki: — Hej, Jaguś, pilnuj domu, daj żreć gadzinie, krowom i wieprzom.

— Dobrze matusiu! — zawołała zaczerwioniona z zadowolenia i dumy.

— Jednak matko, nie można tak — próbował mąż.

— Co mi tam wszystko — rzekła dość pośpiesznie — on mój pierworodny, kto wie, kiedy go obaczę. Zaś mnie nie wstrzymuj, bo pieczęcią pobiegnę.

— Ano, co prawda, matka jesteś... to już siadaj na wóz... a ty Jaguś bacz pilnie na wszystko, a przypilnujesz, to dostaniesz gościńca.

— A jakiego, tatusiu? — spytała z żywością.

— Obaczysz... tylko pilnuj, a zdarzy się co-niebądź, idź w te pędy do Marcelli, już ona ci poradzi.

— Dobrze tatusiu... a nie zapomnijcie o moim gościńcu.

— Zaś nie bój się... nie przepomnę — i siadłszy na wóz, zaciął konie, że z miejsca ruszyły dobrym klusem.

Przed komendą wojskową, zbudowaną niedaleko dawnego zamku Piastów, był niezwykle ruch ludzi i mnóstwo furmanek z okolicy.

Wójci szeregowali popisowych, narzekając i klnąc spóźniających się. Jednym z pierwszych, który miał wszystkich poborowych, był wójt z Radoń, i wiódł ich w obmurowany plac do komendy wojskowej.

Po zameldowaniu przybyłych, zaraz wziął ich pod nadzór podoficer, wielki, rozrosły Nie

miec, który grubym głosem kazał im się ustawić w szeregu, i wzięwszy spis nazwisk od wójta, począł czytać, a każdy zawołany odpowiadał po niemiecku:

— Tutaj!

Gdy przyszła kolej na Jaśka, zaciął się podoficer, nie mogąc odczytać nazwiska Szczygieł.

— Sz...c..., nie... S...c..., do stu dyabłów... Johann... Ziegel... hm... można język połamać z temi bydlęciami nazwiskami, — i zwracając się do wójta: — jak się to wymawia? — wskazał na wpisane nazwisko.

— To... Szczygieł... po niemiecku będzie Stiglitz.

— A tak to rozumiem... więc Johann Stiglitz.

Jaśko milczał, a podoficer, powtórzywszy zniemczone nazwisko, zawołał ostro:

— Hej, odezwij się osłe!

Gdy i teraz panowało w szeregu milczenie, podoficer zaczerwieniony miał po raz trzeci wywołać nazwisko, lecz wmieszał się wójt i krzyknął:

— Jaśko Szczygieł!

— Tutaj! — odpowiedział wywołany.

— Dlaczego nie odzywałeś się? — spytał surowo podoficer.

— Bo mnie nie wołano.

— Milcz, ty śląska małpo... już ty się nauczysz pokory.

Na obmurowany plac weszli popisowi z innej gminy, i podoficer przeszedł do nich. Zbliżył się do Jaśka wójt, mówiąc:

— Ty z nim nie zadzieraj — wskazał na podoficera.

— Zaś jakim prawem zmienia mi rodowe nazwisko?

— On tu pan.

— Są jednak więksi od niego.

— Ej, pilnuj się! — ostrzegwał.

— Prawo za mną — mruknął Jaśko.

Gdy już wszyscy popisowi stanęli na placu, zameldował o tem podoficer w kancelaryi i przed szereg nowozaciężnych wyszedł sztywny, ścisnięty w pasie oficer.

Znów odczytywał podoficer nazwiska, a oficer trzymając w ręku kopię, spojrzal od czasu do czasu na wywołanego. Przyszła kolej na Jaśka i podoficer, po daremnem wysileniu wymówienia »Szczygieł«, zawołał:

— Johann Stiglitz!

Nikt nie odpowiedział.

— Co to jest? — syknął oficer — takiego nazwiska niema u mnie.

— Panie poruczniku — salutował podoficer — to śląskie nazwisko brzmi po naszymu »Stiglitz!«

— A to dobre — zaśmiał się porucznik — masz rację, niech będzie i tak... hej! Johann Stiglitz!

Wśród milezenia odezwał się podoficer, wskazując na Jaśka:

— To ten, panie poruczniku.

— Hej, ty, słuchaj! Od dzisiaj nazywasz się we wojsku »Stiglitz!«

— Powiedz: »tutaj!« — dorzucił podoficer.

— Tutaj! — bąknął Jaśko.

— Głośniej! — krzyknął podoficer.

Jaśko podniósł głos.

Następnie oficer podzielił rekrutów na poszczególne partye, z których każda pod dozorem podoficera wyznaczonego miała odjechać koleją na miejsce wskazane.

Jasiek został przeznaczony do partyi jadącej do Alzacyi, gdyż pułk ósmy huzarów, do którego został wcielony, stał obecnie w prowincyi Westfalii i o szóstej godzinie po południu odchodził z Opolą pociąg w tę stronę.

Po zrobionym przeglądzie zapowiedziano rekrutom, że nie wolno im wychodzić za obręb murów komendy.

Jednak wkrótce ci i owi, którzy umieli sobie zaskarbić łaskę dyżurującego podoficera, wyszli na miasto.

Jaśkowi było dziwnie smutno i przykro w tem otoczeniu. Czuł ciężar nowego życia i przesiąkł goryczą. Nie tylko że go wyrwano z domu, od kochających go rodziców i blizkich, ale narzucano mu obce imię i nazwisko.

»Stiglitz«, »Stiglitz«, powtarzał sobie, czy to naprawdę ja? Zawsze Jaśkiem mnie zwali, tylko rektor w szkole wołał na niego »Johann«, ale jakim prawem przezwano go »Stiglitz«?

Gdy dojrzał wychodzących na miasto, porwała go okrutna tęsknota do zobaczenia ojców, poskarżenia się za doznaną krzywdę. Chciał iść i nie śmiał, tak srogim wydał mu się podoficer stojący przy bramie.

Wtem dojrzał, jak jego matusia wszczęła rozmowę z podoficerem, dobyła z węzélka pieniądze i wsunęła w dłoń dozorcey, a wkrótce potem skinęła na niego, aby się zbliżył. Podoficer przemówił z miną władcy:

— Oto matka prosi za tobą, pozwałam ci wyjść na miasto, lecz wójt musi poręczyć, że wrócisz na piątą godzinę. Inaczej nie puszczę.

Matka wyszukała szybko wójta, a gdy ten poręczył, Jaśko został uwolniony.

Zaraz za bramą spotkali ojca i wszyscy troje szli w milczeniu ku miastu. Pierwsza odezwała się matka:

— Jaśku, a jakże tobie?

— Ja już nie wasz — rzekł z goryczą — ani ja Jaśko, ani Szczygiel.

— Co ty mówisz? — zawołał ojciec — opamiętaj się chłopcze.

— Zaś wiem, co powiadam... Nazwali mnie »Johann Stiglitz!...« Słyszeliście tatusiu?... Prze-

mienili mi nie tylko imię, ale nazwisko rodowe... Już ja nie wasz — kończył z żalem.

— Gadanie i tyle — wzruszył ojciec ramionami — nijakiego prawa na zmianę rodu nie mają.

— A jednak zmienili.

— Chryste Panie! Co ty wygadujesz?

— Zaś prawdę matusiu.

— Nie może być, przecież jest sprawiedliwość na świecie! — zawołała matka.

— Ano, niemiecka, to tyle, co żadna — uśmiechnął się gorzko. — »Stiglitzem« nazwał mnie podoficer, a starszy roześmiał się i potwierdził.

— Oj biednyż ty, biedny! — rzekła przez łzy.

— Hm... przecierpieć musisz, na to nijakiej rady niema... I co ci tam, czy pies wyje albo szczeka, co ci tam? Nazwali cię psi »Stiglitz«, a niechaj ich, uporem nic nie zrobisz — przemówił ojciec łagodnie, chociaż głos drżał mu z gniewu i oburzenia.

— Zaś to wiem tatusiu, ale mi źle.

— Czy tobie jednemu? — wzruszył ramionami — a mało nam dokuczają?... Nie te rodowe nazwiska, ale nasze odwieczne miasta niemieczą, to i cóż?... Kiedy ci w drogę i w jaką?

— Przydzielono mnie do ósmego pułku huzarów, kwateruje w Westfalii, a z Opolą naszego jadę o szóstej wieczorem.

— Mówił podoficer, abys się stawil na godzinę piątą — rzekła matka.

— Wiem i będę.

— Teraz godzina jedenasta — przemówil ojciec — pójdziemy do gospody, trzeba się coniebaż posilić.

Wielce się ucieszyli, spotkawszy zaraz na wstępie wielu znajomych z Radoń i Leszczyniec. Usiedli pod oknem wychodzącem na ulicę i kazali podać sobie jedzenie i piwo.

Żywo rozmawiano o wojsku, gospodarstwie, kłopotach i w tym gwarze znajomych zapomniał Jaśko na chwilę o swej przykrości.

Już skończyli jedzenie, gdy nagle zdawało się Jaśkowi, iż ulicą przeszła Marysia, porwał się od stołu, mówiąc:

— Tatusiu, zaraz wróćę, pozwólcie mi wyjść na chwilę.

— Hm... a co za interes?

— O, bardzo ważny.

— To już idź... i wracaj żywo.

Jasiek przebiegł jedną ulicę, drugą, nigdzie nie mógł jej wypatrzyć, już zamierzał wrócić do ojców, gdy dostrzegł ją pod murem okalającym kościół. Przyspieszył kroku i zawołał z radością:

— Maryś moja! Maryś!

— Zaś szukałam ciebie — odpowiedziała zarumieniona.

— O ty moja słodka... i aż do Opola przyjechałaś?!

— Zabrałam się z tatusiem... Dam ci medalik — wyciągnęła rękę — poświęcony w samej Częstochowie przed cudownym obrazem Przenajświętszej Pani, aby cię nie kusilo do złego w twojej ciężkiej służbie.

— Niechże ci Pan Bóg tysiąckrotnie nagrodzi za twoją dobroć — mówił rozczulony.

— Zaś będę kontentna, byleś nie uciekał z wojska i przetrzymał służbę.

— Teraz zniosę wszystko — uśmiechnął się, chowając starannie medalik — ale cóż ja dam tobie na pamiątkę?

— Nie frasuj się, ja zostaję u ojców, co mi będzie?

Przechodzili obok wystawy złotnika. Jaśko przytrzymał ją za rękę, mówiąc:

— Postój chwilkę... zaraz wróćę.

Ona, widząc go wchodzącego do sklepu, zawołała tonem wyrzutu:

— Jaśku!... Jaśku!

On ani się obejrzał i wkrótce powrócił z pierścionkiem, oddał mówiąc:

— Weź Maryś, to na zrzękowiny.

Spojrzała na złoty pierścionek, ozdobiony turkusem, i chociaż na twarzy widać było radość, powiedziała z wymówką w głosie:

— Zaś ty rozrzutny... czy ci nie żal pieniędzy?

— Maryś... toż ozłociłbym cię całą, takaś mi miła.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej z radości, patrząc na niego rozkochanemi oczyma.

Jakiś czas szli w milczeniu, przerwała je Marysia:

— Kiedy jedziesz i gdzie?

— Do Westfalii, bo tam mój pułk huzarów... dziś o szóstej na kolej.

— A gdzie ojcowie?

— W gospodzie czekają.

— Idźże Jaśku do nich i tak zbałamuciles kęs czasu.

— Idę... a ciebie już nie obaczę?

— Chyba nie, bo z południa jadę — przystanęła i podając mu rękę: — niech cię Pan Jezus i Przenajświętsza Paniienka powrócą do nas szczęśliwie.

— Bywaj zdrowa Maryś... Pamiętaj o mnie.

— Zaś bądź o tem przekonany... a pisz do mnie...

— To się wie.

Jeszcze jeden uścisk ręki i rozstali się, a więcej mówiły ich oczy, aniżeli usta zdołały wypowiedzieć.

Wrócił Jasiek do restauracyi i usiadł w milczeniu za stołem.

— Załatwiłeś interes? — spytał ojciec.

— Tak jest, tatusiu.

Matka jednak, która umiała czytać w jego twarzy, odezwała się łagodnie:

— Jasiek, cóżes taki smutny?

— Alboż nie mam być czego? Oto pędzą mnie na kraj świata... Kiedyż ja was obaczę?

— Zaś daj spokój — wmieszał się ojciec — poco matce dodawać żalości?... Wyrosłeś jak dragał, wás ci się puszcza, a czepiasz się spodnicy matczynej niby jaki dzieciak.

— Pewno minie to tatusiu, tylko zrazu kraje się serce człowiekowi.

— Zaś zduś w sobie; ani ja, ani matka nie pójdziem za ciebie.

— Ja to wiem — westchnął.

— Poco swarzysz na dziecko — odezwała się opryskliwie — czy za to, że nam serce pokazuje? Już te chlopy są zawsze twarde i nieużyte... Ja ciebie mój synku okrutnie żałuję, ale miejmy ufność w Panu Bogu, że przejdzie to szczęśliwie... tylu wróciło, wrócisz i ty Jaśku, tylko nie trać serca... a na czarną godzinę weź te moje oszczędzone talary — rozwiązała węzelek i położyła przed nim pięć talarów — niech ci one osłodzą służbę.

— A ty skąd uskladałaś tyle? — spytał mąż zdziwiony.

— Zaś byłeś głuchy i ślepy — uśmiechnęła

się — a myślisz, że moje gospodarstwo babskie nie warte feniga?... Schowaj synku i użyj w czarnej godzinie.

— Dziękuję wam matusiu z pełnego serca — pocałował jej rękę — i wam tatusiu także dziękuję, żeście mnie oboje odkarmili i nauczyli.

Okrutnie rozczuliło to oboje rodziców, a ojciec wyjął sakiewkę, obejrzał każdy talar i kładąc pięć sztuk przed synem, rzekł rozczulony:

— Dobre i posłuszne dziecko z ciebie... niech cię nagrodzi Pan Bóg Najwyższy... byś nie krzywdował na nas i zaś nie cierpiał we wojsku, daję ci pięć talarów, ale bacz dobrze, ciężki to pieniądz i użyj tylko na ciężką potrzebę... To ja ci mówię, jako twój ojciec.

Sklonił się Jaśko do kolan ucałował ręce rodziców, mówiąc:

— Strasznie dobrzy i pamiętni jesteście, ale Pan Bóg da, i ja wam wstydu nie przyniosę.

— Pilnuj tylko twej świętej, katolickiej wiary — upomniała matka.

— Ja to wiem tatusiu — uśmiechnął się — toż czytam naszą Opolankę.

Spojrzał na niego ojciec bacznie i przestrzegł:

— Zaś rozum swój miej, ale między Niemcy idziesz... bądźże chytry i nie pokazuj wszystkiego po sobie.

— Dobrze tatusiu.

— O Jezu! — zawołała matka — toż by-

łabym zapomniała kupić ci szczotki, igieł i nici, bo sam biedaku musisz naprawiać — wstała z krzesła — kąsek czasu posiedźcie — migiem wrócę.

Po jej wyjściu milczeli czas jakiś, wreszcie rzekł ojciec:

— Cnotliwości masz matkę, dbała i pamiętna na wszystko.

— Wiem o tem.

— Bywa że ofuknie, ale to z dobrego serca.

— Ani zważam na to, bo matką jest.

— Hm... to i dobrze... A jakoś już wojskowy, wypal cygaro przy mnie.

— Dziękuję wam tatusiu, ale...

— Ej, widziałem, żeś kurzył, — uśmiechnął się — ale nie patrzałem na to... a teraz pozwalam.

Zadzzwonił i kazał podać cygara. Ucieszył się Jaśko nie tyle z przyzwolenia, ale jako poczuł się równym z innymi chłopami, co mieli żony i dzieci.

Przysiedli się do nich znajomi i na gawędzie czas upływał szybko. Już było blisko piątej, gdy przyszła zmęczona matka, przynosząc kilka paczek ze sobą.

— Zaś masz Jaśku chustki do nosa, a tu skarpetki, abyś miał czyste na zmianę... Tu lusterko i grzebień... Schowaj to synku, przyda ci się to we wojsku.

— Dobra wy matusiu — całował jej rękę — nie pomyślałem, żeście tacy zabiegliwi.

— Alboż ty nie mój syn rodzony?... Nie pożałuję dla ciebie i krwi serdecznej.

— Daj Bóg, abym się wam odwdzieczył!

— Wróć mi tylko, a już mnie wynagrodzisz.

Usiedli znów, a matka, widząc Jaśka z cygarem, zawołała zdziwiona:

— Jasiek!... Ty przy tatusiu kurzysz?!

— Dałem pozwolenie — powiedział mąż poważnie — wojskowy jest, ma prawo.

— Oj psujesz go, boś za powolny dla niego — mówiła z łagodnym wyrzutem.

— Zaś ja ci wymawiam wydatki — wskazał na paczki sklepowe — to i ty już nie swarz.

— To wszystko rzeczy potrzebne — usprawiedliwiała się.

— Nie zaszkodzi też jedna niepotrzebna — zaśmiał się.

Przystąpili znajomi i poczęli żegnać się z Jaśkiem, jako wkrótce miała być piąta godzina.

Rodzice odprowadzili go do zamkniętego podwórza komendantury, obiecując być jeszcze na kolei przed odjazdem pociągu w stronę Westfalii.

Partya rekrutów, przeznaczona na wyjazd wieczornym pociągiem, uszeregowana w czwórki, pod przewodnictwem podoficera i pod dozorem

sześciu uzbrojonych żołnierzy, ruszyła z podwórza komendantury.

Ubrani w stroje miejskie i wiejskie różnego kroju i odcieni, z kuferkami podręcznymi w rękach, szli nierównym krokiem przez most na Odrze, ulicami miasta do dworca kolei żelaznej a towarzyszyli poborowym krewni i rodzice skupionemi gromadkami.

Na peronie dworca uszeregował podoficer w jedną długą linię i policzywszy ich, podzielił na dziesiątki, a sam poszedł obejrzeć przygotowane wagony.

Rekruci, postawiwszy kuferki na ziemi, oglądali się za krewnymi i znajomymi, pozdrawiali ukłonem, rzucając słowa pożegnania.

I Jaśko dostrzegł rodziców wspartych na ogrodzeniu dworca. Dojrzał smutek ojca i lzy matki. I nagle taki żal ścisnął mu serce, że poczuł lzy cisnące mu się do oczu. Zawstydzil się swej słabości, bał się drwin towarzyszków, i aby żal zdławić wyjął cygaro otrzymane od ojca i zapalił drżącemi rękami.

Właśnie powracał podoficer, spostrzegł Jaśka z cygarem w ustach, przyspieszył kroku, stanął tuż przed nim i wymierzył mu silny policzek, wołając:

— Precz to z gęby!

Cygaro poleciało kilka kroków dalej, a po

chwilowem oszołomieniu Janek zrobił ruch, jak gdyby miał zamiar rzucić się na podoficera.

Ten cofnął się o krok i zawołał:

— Stój, bo każę cię związać!

Co bliżsi sąsiedzi, nastraszeni tą niespodziewaną surowością, zaszepotali:

— Stój! Stój!

Jasiek stał wyprostowany i patrzył z wściekłością na podoficera, który z uśmiechem drwiącym nauczał:

— Stać mi w szeregu, ani mruknąć... już wy nie cywilni, ale żołnierze... posłuszeństwo na skinienie, a nie, to was lepiej nauczę, aniżeli tego draba — wskazał na Jaśka. — Cygaro pali w szeregu — zaśmiał się sucho — dam ja ci cygaro!

W tej chwili od ogrodzenia doleciał uszu Jaśka stłumiony jęk kobiecy... poznał, to matka jego. Chciał się odwrócić popatrzeć, ale surowy wzrok podoficera unieruchomił go. I stał wyprężony z blyszczącymi oczyma, a na swym policzku czuł palące ślady dłoni i pięciu palców podoficera, który z miną surowego władcy szedł zwolna wzdułuż szeregu rzucając rozkazy:

— Równaj się!... Ręce przy sobie!... Głowa do góry!

Wreszcie zakomenderował:

— Spocząć!

Rekruci przybrali wygodniejszą postawę, jedni oglądali się za znajomymi, inni szeptali:

— Ho, ho, ten nie lubi żartować!

— Uderzył, aż odgłos poszedł!

— Głupi chłop — zadrwil ubrany po mejsku, — w szeregu palil!

— Jakże ci wojsko smakuje? — spytał sąsiad Jaśka.

Ten zmierzył go pogardliwym wzrokiem, i spojrzal w stronę rodziców. Ojciec skinął mu głową, a matka odejmując chusteczkę od oczu, dała mu nią znak, że go widzi i żegna.

Zbliżył się pociąg z loskotem, gwizdem, sapaniem parowozu.

— Bacność! — zawołał podoficer i wskazując wagon trzeciej klasy: — Pierwsza dziesiątka... marsz!

A gdy ulokował jednych, zakomenderował:

— Druga dziesiątka... marsz!

Do niej należał Jaśko i szedł szybko, machinalnie za innymi, nie śmiąc się obejrzeć, aby nie być potrąconym.

sołego Jaśka, a ten tutaj inny, nawet nazwisko zmienił.

W tej chwili wszedł do wagonu podoficer z listą w rękę i czytał nazwiska rekrutów, z których każdy odpowiadał powstając z miejsca:

— Tutaj!

— »Johann Stiglitz«.

— Tutaj! — odpowiedział wstając automatycznie.

— Ach, to ty z cygarem — zaśmiał się grubo przełożony — no, teraz możesz zapalić, jeśli masz.

Jaśko usiadł w milezeniu.

— Wstań, bydlę! — wrzasnął podoficer — jeśli ja tę łaskę ci robię, że żartuję i pozwalam palić, powinienesz osłe podziękować.

— Rozumiem — bąknął.

— Żle, głupcze jakiś!... Odpowiada się: Według rozkazu pana podoficera! Powtórz, gamoniu jeden!

Usłuchał rozkazu, wymawiając słowa złym niemieckim akcentem.

— Kluski masz w gębie, czy co takiego? Powiedz wyraźnie!

Jaśko powtórzył tak samo jak poprzednio.

— A ty świnię śląską — gniewał się przełożony — tobie w chlewie siedzieć, — zaśmiał się ze swego dowcipu — no, już ty się wyczysz po niemiecku, albo zdechniesz w wojsku.

IV.

W wagonie, prócz pierwszej dziesiątki, zastał rekrutów zabranych na innych stacyach. Wolne miejsca były tylko przy oknach wychodzących na tor kolejowy, okna od peronu były wszystkie zajęte.

Usiadł w kącie, nie próbując spojrzeć raz jeszcze na rodziców, na Opole, zgnębiony, spowiewierany, upokorzony w swej dumie i utonął w gorzkich rozmyślaniach.

Pociąg ruszył.

I zdawało się Jaśkowi, że dzieje się z nim coś nadzwyczajnego. Oto nastąpił przełom w jego życiu i oddziela się od niego ten Jaśko z Radoń, pieśczonego przez matkę, kochany przez Marysię i każdy ruch koła, każde wstrząśnienie wagonu dusi go, dławi, miażdży; a tu w wagonie siedzi jakiś inny, obcy człowiek, zelżony, skrepowany, nieszczęśliwy.

Staral się uprzytomnić sobie dom, obejście, gospodarstwo... tam widział tylko dawnego, we-

Inni rekruci, chcąc przypodobać się srogiemu władcy, śmiali się głośno z dowcipu, mruzcili groźnie przy surowych naukach, patrzyli z pogardą i lekceważąco na gromionego.

Podoficer począł czytać:

— Michel Meyer!

— Tutaj — wstał szczupły rekrut.

Jaśko, sądząc się zwolnionym, usiadł na ławce. Poskoczył do niego podoficer i kulakiem uderzył go w bok, krzyząc:

— Stój małpo, póki nie pozwolę ci usiąść! Rozumiesz?

Jaśko powtórzył wyuczony frazes:

— Według rozkazu pana podoficera.

— Osił piękniej ryczy, aniżeli ty mówisz — zaśmiał się, a wtórowali mu inni — siadaj wole głupi!

— Według rozkazu pana podoficera — rzekł z głuchą rozpaczą w głosie.

— Hej rekruci! — zawołał podoficer na odchodnym: — żeby mi żaden z was nie ważył się wychodzić z wagonu bez mego pozwolenia!... Rozumiecie?

— Według rozkazu pana podoficera! — odpowiedziano mu chórem.

Po jego wyjściu poczęli popisowi żartować, opowiadać sobie przygody, niektórzy dobyli flaszek, ci z wódką, inni z piwem lub z winem;

zjawiły się wędliny, ser, bułki. Częstowano się wzajemnie, a że w napełnionym wagonie mimo otwartych okien było duszno, wypity alkohol działał szybko.

W czasie tej zabawy zapomniano o Jaśku, który wpatrzony szklanemi oczami w mknący krajobraz, widziany z powodu zapadającej nocy ledwie w rozplywających się konturach, rozmyślał nad swym losem.

To zaledwie pierwszy dzień we wojsku, jeszcze nawet nie w służbie, nie w mundurze... a już czuł palące uderzenie w twarz, szturchaniec w boku, i dzwoniły mu w uszach obelżywe wyzwiska podoficera.

Jeśli taki początek, cóż będzie dalej? Chyba nie wytrzyma, ucieknie, utopi się...

Wtem poczul na ramieniu rękę. Wzdrygnął się. Przed nim stał młody, w jego wieku poborowy, ubrany z miejska, i nachyliwszy się do ucha, szepnął:

— Furda, miły bracie, nie frasuj się!

Aż poczerwieniał z radości usłyszawszy polskie słowa i zawołał:

— Tyś swojak, siadaj obok — zrobił mu miejsce — skądś się wziął?

— Ja sam z Księstwa, ale pracowałem w Bytomiu, a teraz jadę do Strasburga, do artylerii fortecznej... A ty skąd bracie?

— Z pod Opola, z Radoń, pomagałem ojcu w gospodarstwie.

— Toś ty chłop, a ja robotnik fabryczny. Gdzie jedziesz?

— Do Paderbornu, do ósmego pułku huzarów.

— To na trzy lata i służba zrazu ciężka...

A co się ten pies pruski tak wyzwierał na ciebie?

— Zapaliłem cygaro w szeregu i lunął mnie w twarz, a już potem sam slyszaleś.

— Hm... ano, głupio zrobiłeś z tem cygarem.

— Alboż wiedziałem?... I co ja zrobię, jak mi zaczną tak doskwierać do żywej krwi? — spytał smutnym głosem, w którym drgały łzy.

— Iii, nie taki dyabeł straszny, jak go malują — uśmiechnął się — temu Prusakowi zdaje się, że jest generałem i wymyśla, gnębi, zbyt-kuje... ale na miejscu inne są porządki.

— Skądże ty wiesz?

— Czy to jeden kamrat służył we wojsku? Opowiadali, to się nasłuchałem.

— Zaś powiadasz, że będzie lepiej?

— To się wie, bo i któżby wytrzymał czas dłuższy z takim utrapieńcem, jak ten podoficer?

— Prawda, bo też on szelma dokuczliwy.

Inni rekruci podnieceni trunkiem poczęli śpiewać: „*Deutschland, Deutschland über alles...*“ pieśń patriotyczną.

Jeden z popisowych zauważył, że Jaśko

i jego towarzyszy nie biorą udziału w śpiewie. Potrącając innych zbliżył się i zawołał na cały głos:

— A wy, psy śląskie, dlaczego nie śpiewacie?

— Idźże małpo niemiecka, bo cię lunę — zawołał robotnik po niemiecku.

— Hej, kamraci — wrzeszczał Niemiec — ci dwaj nas obrażają. To obcokrajowcy... hurra na nich.

Robotnik nie czekał uderzenia, lecz pchnął ręką w pierś napastnika, że ten się zatoczył i padł na kolana siedzących, jęcząc:

— Zabił mnie! zabił!

Porwali się inni z miejsc swoich i z krzykiem, przekleństwami rzucili się na robotnika i Jaśka, którzy nie szczydzili kulaków; a że byli oparci o ścianę wagonu, odpierali z łatwością ataki półpijanych. Wzmagał się krzyk, próżne butelki zaczęły latać, wtem pociąg stanął na stacyi.

Do hałaśliwego wagonu wpadło dwóch podoficerów. Jeden artylerzysta, prowadzący rekrutów z pod Bytomia i drugi, piechur z Opola.

Obaj wrzasnęli niemal równocześnie:

— Co to jest? Cicho!

Na razie gwar się uciszył, lecz po chwili wszyscy zaczęli się skarżyć wskazując na robotnika i Jaśka.

— Cicho! — krzyknął piechur — zaraz zro-

bię tu porządek. Jak się nazywasz? — spytał robotnika.

— Floryan Burka, przeznaczony do artylerii fortecznej w Strasburgu.

— Więc to ty bójkę rozpocząłeś?... nauczę ciebie lajdaku!

— Panie kolego — przemówił z ukłonem artylerzysta — ten rekrut do mnie należy. Czy on winien, ja rozsądze.

— Ależ on tu wlaźł z innego przedziału... pobił moich ludzi... on musi być ukarany.

— Ta sprawa do mnie należy — rzekł wyniośle artylerzysta. — Hej, Floryan Burka, chodź tutaj... Zdaje mi się, że ten wysoki drab — wskazał na Jaśka — wszczął bójkę, tego powinien pan kolega ukarać.

— To zależy od mego uznania — zawołał gniewnym głosem — każdy powinien pilnować porządku u siebie.

— Moi ludzie nie bili się.

— Ani też moi — i zwróciwszy się do rekrutów, lajał: A wy bydło pijane, hołota cywilna, świniopasy! Jeszcze jedna kłótnia, a ja was nauczę. Jutro rozpatrzę sprawę, a teraz cicho, i spać. I pamiętajcie, do drugiego przedziału nie wolno chodzić... tam panuje bezkarność.

Podobny rozkaz wydał artylerzysta i obydwaj wyszli.

W mrocznym wagonie, oświetlonym dwoma

chwiejnymi płomykami lamp, nastąpiła względna cisza. Gorąco, zapach alkoholów, dym złych cygar, wyziewy potniejących ciał, stwarzały duszną atmosferę, w której tylko tak młode, silne organizmy, jak rekrutów, mogły bezkarnie przebywać.

Wkrótce z tych i owych kątów rozległy się głośnie chrapania, jakieś przeciągłe, charczące, nosowe odgłosy, i jedni wsparci o ściany, inni o poręczę, tamci ze zwieszoną głową, usnęli snem twardym.

I Jaśko, zmęczony wrażeniami dnia, usnął przytulony do ściany wagonu. Pociągnięty silnie za ramię, zbudził się, przetarł oczy, nie mogąc zdać sobie na razie sprawy gdzie jest, co tu robi. Wreszcie dojrzał robotnika, który szeptał:

— Bracie, a masz co groszy?

— Hm... a na co? — spojrzał podejrzliwie i ręką macał portmonetkę.

— Głupiś, ja nie potrzebuję — zaśmiał się wesoło, widząc jego minę i ruch — jutro musisz podoficera poprosić na śniadanie, na kawę...

— Jakże to zrobię?

— Prosty sposobem — uśmiechnął się — powiesz mu na ten przykład: panie podoficerze, dopraszam się tej łaski, aby pan zjadł ze mną śniadanie.

— Zaś dlaczego?

— Czy zapomniałeś, żeśmy potłukli tych

szwabów? — wskazał na śpiących — ty weź swego podoficera, ja swego i dobrze będzie. Zrozumiałeś?

— Niech i tak będzie — westchnął.

— Oj, widzę, żeś nieobyty i nie masz cywilizacyi, zwyczajnie, jak ze wsi; ciężko ci też będzie w służbie.

— Ii, dam sobie radę. Sam mówiłeś, że na miejscu inne porządki.

— No tak, ale zawsze trzeba mieć głowę.

— Mam ja swój rozum — odparł podrażniony.

— No, no, zobaczymy... a teraz śpij, tyle twego szczęścia.

Myśl, że on ma zaprosić na śniadanie podoficera, który go dwukrotnie uderzył, nie dawała mu spokoju i nie pozwalała usnąć.

Ile razy się zdrzemnął, budził się z uczuciem przerażenia i strachu, co i jak powie surowemu przełożonemu? w jaki sposób on przyjmie te zaprosiny?

A możeby wcale nie prosić? Szkoda pieniędzy. Obliczył, że ma przy sobie dwadzieścia talarów, czyli sześćdziesiąt marek, wprawdzie suma to wielka, ale też musi mu wystarczyć na całe trzy lata służby.

Chyba, że nie zaprosi...

Jednak z drugiej strony podoficer zapowiedział, iż rano zbada przyczynę bójki w wago-

nie. Niemcy potrafią się wyjęzyczyć, wygadać, i cała wina spadnie na niego... Kto wie, czy podoficer nie każe go związać, jak groził poprzednio... I Floryan Burka radził, by poprosić podoficera na śniadanie... Ale jak on mu powie po niemiecku? Począł silić się na przypomnienie sobie potrzebnych wyrazów niemieckich, niektóre przypominał sobie, ale nie umiał skleić frazesu.

Już szarzało, zbliżał się czas śniadania. Jaśko wstał i ostrożnie przeszedł do drugiego przedziału, obudził robotnika, mówiąc:

— Zaś jak mam prosić podoficera?

— Już ci mówiłem — odpowiedział ziewając — daj mi spać.

— Po naszymu wiem, ale po niemiecku.

To zaufanie Jaśka pochlebilo robotnikowi i wyuczyl go formułki zaproszenia po niemiecku.

Zaledwie Jaśko usiadł na swem miejscu, gdy wszedł podoficer mówiąc:

— Wszyscy żyją?

Ci i owi zaczęli się dopiero przeciągać, ziewać... Jaśko wstał, podszedł do podoficera i wypowiedział dość gładko zaproszenie. Przełożony uśmiechnął się laskawie, poklepał Jaśka po ramieniu:

— No, no, z ciebie może być z czasem niezły żołnierz... Dobrze, dobrze, zrobię ci ten zaszczyt i zjem śniadanie.

— Wedle rozkazu pana podoficera — zawołał Jaśko.

— Siądź teraz, na następnej stacyi zawołam ciebie.

Wkrótce dojechali do większej stacyi i podoficer, otworzywszy drzwi zawołał:

— Johann Stiglitz!

Weszli do poczekalni trzeciej klasy, a Jaśko patrząc w oczy podoficera, powtarzał nieśmiało jedno słowo niemieckie:

— Proszę... proszę...

— Ja lubię po żołniersku — zaśmiał się zaproszony. — Hej, dwa koniaki! — po wypiciu: jeszcze dwa, bo tamte były małe... Teraz kielbaski parowe... dwa kufle piwa... jeszcze kielbaski, bom jakoś zgłodniał... jeszcze piwa... a teraz kawa i dobre cygaro.

Zasiedli przy stole, mając kawę przed sobą, a gdy usługujący podał cygara w pudełku, podoficer wziął na zapas pięć sztuk i radził:

— Weź i ty, w drodze się przydadzą.

— Dziękuję panu podoficerowi — i jakkolwiek miał własne, wziął pięć sztuk.

— Ty przeznaczony do huzarów?

— Tak jest.

— W Paderebornie będziemy o szóstej, tam was kilku zostawię, a z innymi pojedę do Alzacyi.

— To nas kilku jedzie do huzarów?

— W twoim wagonie trzech, a w drugim dziewięciu pod moją komendą... dosyć tej zabawy, zapłać i marsz do wagonu.

— Wedle rozkazu pana podoficera — wstał i podszedł do lady.

Według obliczenia gospodarza, musiał Jaśko zapłacić trzy marki pięćdziesiąt fenigów. Omal, że nie zaklął głośno usłyszawszy tak wielką sumę, chciał sprawdzić rachunek, ale posłyszał rozkaz:

— Johann Stiglitz do wagonu, marsz!

Szybko zapłacił, a wchodzącego do wagonu, inni rekruci przywitali śmiechem i drwinami:

— Cóż, nachlepałeś się żuru?

— Takie śląskie bydłę trawę zjada — zaśmiał się inny.

Jasiek spojrział na nich nienawistnie i zaciąwszy zęby podszedł do swego miejsca. Zajął je w czasie jego nieobecności, rosły, gruby, ryżawy rekrut, i pokazując w uśmiechu wielkie, żółte zęby, rzekł:

— Twoje miejsce ze świniami śląskimi, nie między ludźmi.

— Ten mu dosolił!... Prawdę powiedział... Hoch Wilhelm! — wołano i śmiano się dokoła.

Jaśko drżący z gniewu wybelkotał:

— To moje miejsce! Moje miejsce!

— Kłamiesz! — śmiał się ryży Wilhelm Krug.

Już Jaśko podniósł rękę, gdy do wagonu wszedł podoficer i zawołał:

— Co to jest? Co za krzyki?

— Moje miejsce! — rzekł Jaśko, wskazując na Wilhelma siedzącego.

— Prawda!... Hej, ty tam, wstań! — a gdy Wilhelm zbliżył się z grymasem niechęci, spytał: — Dlaczego tam usiadłeś?

— Melduję pokornie, panie podoficerze, że ten Ślązak tak śmierdzi gnojem, iż nas wszystkich dusi w gardle.

— Ha, ha, ha, to dobry dowcip, to mój dowcip — i śmiał się, a wraz z nim inni. — Hm... ale i ty przecież Ślązak?

— Ja!? — zawołał z dumą — ja Niemiec, urodzony na niemieckim Śląsku.

— Będziecie wy obaj gnojem śmierdzieli, bo idziecie do huzarów — zaśmiał się.

— Jakże to?... Ten... ten wół śląski będzie w huzarach? — Spojrzenia Jaśka i Wilhelma skrzyżowały się wrogo.

— Rekrut Johann Stiglitz ma prawo siedzieć na swem miejscu... i spokój, bo źle będzie.

Po wyjściu podoficera rzekł Wilhelm Krug do swych towarzyszków:

— Bić tego bydłęcia nie będę... szkoda mi ręki... ale ja go nauczę pokory.

— Że też wy ścierpicie ich obok siebie — zdziwił się inny.

— Wydusiliśmy to galgaństwo aż do Opolą — zaśmiał się Wilhelm — wydusimy i resztę, daj Panie Boże.

— Ho, ho, daleko do tego — zawołał Jaśko, uniósłszy się gniewem i zaufany w protekcję przełożonego — jeszcze my was podusimy na naszej ziemi.

— Obraża nas wszystkich — krzyknął Wilhelm — nas Niemców! Czy wy to zniesiecie od podłego Ślązaka?

— Precz z nim!... Wyrzucić!... Ubić! — wołali rozgorączkowani, gdyż rozżaleni rozstaniem się z rodziną, podrażnieni całonocną jazdą, rozgoroczeni i podnieceni własnym smutkiem, pragnęli wyrzucić na kimś swój gniew, żal i ból.

Już powstali z miejsc, by rzucić się na Jaśka, gdy jakiś doświadczeńszy wstrzymał ich rozkrzyżowawszy ręce i wołając w głos:

— Nie poczynajcie bezmyślnie, lecz według prawa... do sądu z tym bluźniercą! Do podoficera z tym niewolnikiem!

— Tak, tak, ma rację!... Do podoficera!... musi odszczekać!

I na najbliższej stacyi podnieśli taki hałas, że przyszedł podoficer.

Przedstawiono mu całe zajście, a Jaśka jako tego, który grozi Niemcom śmiercią i musi wiedzieć o spisku.

Wysłuchawszy skargi, podoficer z miną bar-

dzo uroczystą oświadczył, że sprawa nadaje się tylko do sądu i że stosowny raport złoży w Paderbornie.

— Będiesz się pocil lajdaku! — zawołał uradowany Wilhelm.

— Podłe, chytre plemie! — krzyczał inny — wszystkim kazalbym wywieszać.

— To wdzięczność za naszą dobroć i kulturę — narzekał drugi.

— Wszystkich Ślązaków wyrznać, a kobiety i dziewczęta oddać nam w niewolę — radził jakiś rekrut.

— To byłoby dobrze!... Dopiero byłby spokój!... Trzeba podać do gazet.

Jaśko, któremu przypomniła się matka, Marysia i Jagusia jego siostra, rzekł półgłosem:

— A niedoczekanie wasze, psie syny!

— Co on powiedział? — spytał Wilhelm sąsiada Jaśka.

— Coś zaszczekał po śląsku... może jakieś zaklęcie!?

Wśród chwilowej ciszy, przy turkocie wozu, odezwał się Wilhelm:

— Wicie kamraci, to bardzo możliwe, ci podli Ślązacy znają zaklęcia... może nam przytrafić się co złego... wagon wyleci ze szyn... parowóz się zepsuje... oni znają się na czarach, ja mieszkam niedaleko tych psich synów...

— O Jezu, co ty mówisz?... Czy być może.. a to poganie! — zawołano dokoła.

Wtem pociąg stanął w szczerem polu, wychylono się z okien, dopytując się przyczyny.

— Zaklęcie!... Czary!... — zaszeptano i z pewnym zabobonnym strachem spojrzano na Jaśka, który ani się domyślał podejrzeń.

Pociąg po otrzymaniu sygnału ruszył dalej ale wrażenie zostało, i już zaprzestano drwić i wyśmiewać się z milczącego Jaśka, tylko jeden Wilhelm, rzucał od czasu do czasu wzgardliwe spojrzenia na Jaśka i nie szczędził wyzwisk na wrogów państwa niemieckiego.

Ze znacznem opóźnieniem przyjechał pociąg do Paderbornu, a podoficerowie dozoruujący rekrutów w drodze, oddali ich według list porządkowych wachmistrzowi huzarów, który oczekiwał nowozaciężnych na dworcu.

Po odebraniu raportu, przeliczeniu rekrutów i odczytaniu nazwisk, ustawiono ich w czwórki i zaprowadzono do koszar. W izbie obszernej, przeznaczonej na spanie, przemówił wachmistrz do stojących w szeregu rekrutów:

— Dziś do godziny dziewiątej możecie się posilić w kantynie koszarowej, potem spać, a o piątej do roboty!

nazwisk i polecił wejść im na salę, gdzie ich oczekiwał cyrulik z pomocnikami. Obcięto włosy wszystkim niemal przy samej skórze; następnie zaprowadzono ich do kąpieli.

Gdy ostrzyżeni i wykąpani stanęli w szeregu na podwórzu, kazano im iść do magazynów wojskowych. Tam wachmistrz rachunkowy z listą w ręku oddawał poszczególnym rekrutom: mundur, spodnie, buty, płaszcz i inne drobniejsze rzeczy.

Przebierali się na miejscu, zostawiając swe cywilne ubrania, znaczone numerem, w magazynie pułkowym.

Po złożeniu w szafach zbędnych na razie rzeczy, jak płaszcza, stajennego ubrania, bielizny i t. d. już ubranych w mundury ustawiono w szeregu, czekając przybycia pułkownika. Po przeglądzie odezwał się wachmistrz do starszego podoficera:

— Okropna hołota — wskazał na rekrutów, — wątpię, czy będą z nich huzarzy.

— I ja tak myślę — pospieszył usłużny podwładny.

Nadszedł porucznik, młody człowiek, z wąsikami w górę podniesionymi i poprawiając wysoki kołnierz wysłuchał wachmistrza:

— Melduję panu porucznikowi sześćdziesięciu pięciu rekrutów.

— Dobrze — i z miną obojętną, lekcewa-

V.

O godzinie piątej zagrał trębacz na podwórzu koszar pobudkę.

Podoficer wpadł z hałasem do mrocznej, wielkiej izby, słabo oświetlonej chwiejącym się płomieniem lampki, i począł krzyżeć:

Wstawać!... Wstawać!

Z jednych ściągał kołdry, rodzaj koców, innych potrzasał, tamtych uderzał, wołając nieustannie:

— Wstawać! Wstawać!

Rekruci poczęli się podnosić z twardych sienników, przecierać oczy, ziewać, wielu kłęło głośno.

Cicho!... Wstawać i myć się!

Jaśko, który spał twardo po nieprzespanej nocy, dostał kulakiem w bok, a poprawił sąsiad Wilhelm Krug, wołając:

— Rusz się świnio z legowiska!

Po umyciu się i po kawie czarnej z chlebem podoficer ustawił rekrutów w jednym szeregu. Obejrzał ich wachmistrz, kazał odczytać listę

żącą przeszedł przed wyciągniętym szeregiem nowozaciecznych.

Wszedł na podwórze podpułkownik, któremu porucznik salutując meldował:

— Sześćdziesięciu pięciu nowozaciecznych do trzeciego i czwartego szwadronu.

Podpułkownik nie ruszając się z miejsca, obejrzał stojących i wydał wargi wzgardliwie:

— Straszna hołota, co z nich będzie?

— Pan podpułkownik ma rację, co z nimi począć? Wszystko, to niezgrabne, brzydkie... — i wyprostował swą wysnurowaną postać.

Wreszcie zjawił się sam pułkownik, mocno szpakowaty, udający młodego w ruchach i w poczernionych wąsach, sięgających aż pod oczy, a wysłuchawszy raportu podpułkownika, zrobił grymas obrzydzenia na widok rekrutów:

— Same wybiórki, nędza... ha, niech sobie radzi z nimi trzeci i czwarty szwadron.

— Nasze szczęście, że nie potrzebujemy zajmować się tą hołotą — uśmiechnął się podpułkownik.

— To sprawa Schellenburga, zobaczymy co zrobi — i przybierając ton i minę dowódcy: — Panie podpułkowniku, z tych rekrutów, trzydziestu pięciu przeznaczy pan do trzeciego szwadronu, a trzydziestu do czwartego. Dziś odesłać na miejsce, niech nam nie zanieczyszczają koszar.

— Wedle rozkazu pana pułkownika — za-salutował i z otrzymanym rozkazem zwrócił się do podwładnego oficera, ten do niższego ranga, wreszcie wachmistrz otrzymał surowy rozkaz natychmiastowego podziału rekrutów i wyeksperymentowania jednej części do trzeciego szwadronu do Langendorf, drugiej do czwartego szwadronu do Zitterau.

Gdy wachmistrz rozdzielał rekrutów na dwie części, pułkownik, człowiek niski, z kabląkowatymi nogami, z twarzą pomarszczoną, zużytą, przemówił do podpułkownika i rotmistrza:

— Każdego roku przysyłają nam coraz gorszych rekrutów... ludność się wyradza, marnieje.

— Istotnie panie pułkowniku... za moich młodych lat inni byli żołnierze.

— A wiecie panowie dlaczego? — mówił pułkownik z miną odkrywcy. — Oto dawniej rodzice pilnowali i odkarmiali dzieci, a dziś zajmują się polityką, wyborami, socjalizmem...

— Tak, tak, za dużo wolności — westchnął rotmistrz.

— To nie wolność, lecz swawola — nachmurył brwi groźnie pułkownik.

— Oto określenie prawdziwe — zachwycił się podpułkownik.

— Raz należy kres położyć temu rozwydrzeniu i dziwi mnie, że rząd zwleka, bo im dalej, tem gorszego kontyngensu rekrutów do-

starcza ta ludność... spojrzycie tylko na nich panowie! — wskazał na rekrutów.

Nowozacięźni w zielonych mundurach z białymi wypustkami i szamerowaniem, włożywszy po raz pierwszy ten strój czuli się skępowanymi, nie umieli się ruszać, stać, trzymać korpusu prosto, rąk przy sobie. Gniotły ich buty, więziły wążki spodnie, dokuczał mundur, ciężył kołpak, a w dodatku mieszały ich i odbierały wszelką swobodę: komenda wachmistrza, ostre nagany i widok oficerów w błyszczących mundurach, patrzących pogardliwie na nich jak na stado dzikich zwierząt zamkniętych w klatce.

— No, rozchorować się można, patrząc na te bydłeta, — zawołał pułkownik i zwrócił się ku wyjściu.

Za nim poszli inni oficerowie, rozmawiając ze śmiechem i wesoło o przygodach wczorajszej zabawy.

Na wielkim podwórzu koszar został jeden młody oficer, który rzuciwszy rozkaz:

— Wachmistrzu zrób porządek! — począł się przechadzać, to oglądając swe świecące buty i ostrogi, znów czyścił paznokcie, pogwizdywał jakąś aryę, wreszcie zapalił cygaro i obserwował kota skradającego się na dachu koszar do wróbli.

Tymczasem wachmistrz przy pomocy dwóch podoficerów ustawiał rekrutów w jednej linii

stosownie do ich wzrostu, od najroslejszego do niskiego.

Przy tej sposobności nie szczędził przekleństw, a gdy nowozacięźny nie dość szybko zrozumiał rozkaz i nie zorientował się natychmiast, uderzeniem w bok, kopnięciem nogą, pochwą szabli, naprowadzał na oznaczone miejsce, co podoficerowie wiernie naśladowali.

Wreszcie ustawił ich w linię wyciągniętą i meldował:

— Panie podporuczniku, rekruci stoją według wzrostu.

Oficer zbliżył się do oddziału krokiem wolnym i zawołał tonem pogardy.

— Jak stoją te chamy!

— Równaj się! — wrzasnął wachmistrz.

Nowozacięźni prostując się, łamali równą linię, mimo starań podoficerów, co widząc oficer machnął ręką i rzekł zniechęconym głosem:

— Zostawcie to bydło... wachmistrzu! Zaczynaj od jednego. Parzyste numeru do trzeciego, nieparzyste do czwartego szwadronu. Licz!

Wachmistrz idąc wzdłuż szeregu dotykał palcem każdego rekruta, wymieniając cyfrę: jeden, dwa, trzy i t. d.

Po skończeniu stanął kilka kroków przed środkiem szeregu, komenderując:

— Parzyste liczby dwa kroki naprzód!

Nowozacięźni, bici, potrącani, zahukani, nie-

przystosowani do mundurów, ostróg, nieprzyzwyczajeni do rozkazów, ruszyli tłumem wszyscy.

Krzyczał oficer, wachmistrz, podoficerowie na różne tony, to ich jeszcze bardziej mieszało i stanęli bezradni.

— Wachmistrzu! Ustawić ich w szereg! — rozkazał oficer.

Gdy linia została wyciągnięta rozporządził oficer:

— Wachmistrzu! Parzyste liczby stoją, nieparzyste pchnąć w tył!

Spełnił ten rozkaz dosłownie, nie żałując siły pięści.

I chociaż dzień jesienny był chłodny i od czasu do czasu wiatr zimny powiewał, rekruci pocili się, jak wśród najgorętszego lata, wpatrując się przerażeniami oczyma tylko w swych przełożonych.

Nareszcie ustawiono rekrutów w dwa szeregi, odpowiednio do liczb parzystych i nieparzystych, a oficer rozkazał:

— Wachmistrzu! Spisać nazwiska jednych i drugich, przysłać mi wykaz do kancelaryi pułkowej. Podoficer Kolb — wskazał ręką, — odwiezie i zda trzeciemu szwadronowi parzystych... pociąg lokalny odchodzi do Langendorf o jedenastej, — spojrzal na zegarek — jest jeszcze godzina czasu... Podoficer Kreuz odwiezie do Zitterau i odda czwartemu szwadronowi nie-

parzystych... Pociąg o szóstej wieczorem. Zrozumiano?

— Wedle rozkazu, panie podporuczniku!

Do parzystych przeznaczonych do trzeciego szwadronu w Langendorf należał Jaśko i Wilhelm Krug, nieprzyjazny towarzysz podróży do Paderbornu.

W milczeniu, automatycznie posłuszni, z przyborami umundurowania w rękę, szli ulicami Paderbornu, nie widząc domów, ludzi, sklepów; patrzyli tylko na podoficera, który pobrzękując szabłą o bruk, spoglądał na idących za nim groźnie i rozkazująco.

W czasie tych przygotowań odesłania rekrutów do szwadronów, stojących w pobliżu miasta, nieprzyjaźń pomiędzy Jaśkiem a Wilhelmem ucichła, groza komendy, obecność przełożonych, obawa kary, zmusiły Wilhelma do milczenia. Lecz gdy usiedli w wagonie i trochę odpoczęli po wrażeniach, zadrwił Wilhelm:

— Ten wół śląski, ledwie bokami robi i to w pierwszym dniu, wkrótce ściągną z ciebie skórę śląską.

Jaśko zbył go pogardliwym spojrzeniem, natomiast inny rekrut dodał:

— Przyda nam się ta skóra, bo teraz świńska droga.

— Będzie na siodła! — zaśmiał się drugi.

Jaśko rzekł z drwinami:

— Ośle skóry są tanie.

Przez krótką chwilę milczeli, wreszcie Wilhelm krzyknął:

— Do kogo mówiłeś Ślązaku?

— A ty do kogo? — spytał go Jaśko, patrząc mu w zielonkawę oczy.

— Ja mówiłem do ciebie.

— I ja także — uśmiechnął się Jaśko.

— Tak?... No nauczę ja ciebie lajdaku.

— Zobaczymy, kto kogo!

Umilkli i widać było po Wilhelmie, że dławi go złość, patrzył to na Jaśka, znów na podoficera, miarkując, czy może bezkarnie wszczęć bójkę. Zastanowienie wzięło górę nad złością, odetchnął głęboko i przemówił:

— Ten podły Ślązak obraził nas wszystkich, wszyscy powinniśmy się zemścić, czy nie tak?

— Hm... ty pierwszy zacząłeś — odpowiedział mu szczupły blondyn — i on do ciebie mówił, nie do nas.

— Tak mówisz, bo nie znasz tego psiego nasienia, ale ja siedzę obok nich, zbadalem ich. Taki pies powiedział ośle skóry, a miał na myśli wszystkich Niemców.

— Nieprawda — mruknęli ci i owi, a szczupły blondyn zwrócił się do Jaśka:

— Powiedz, o kim myślałeś, mówiąc ośle skóry?

— O tych, którzy mnie niesprawiedliwie zaczepiają i lżą mój naród.

— Narodu twego niema — zaśmiał się blondyn. — Jest tylko jeden naród niemiecki.

— A co słyszeliście? — tryumfował Wilhelm — on nie uznaje Niemców i czy my źle robimy, dusząc to nienawistne plemię?

— Słusznie!... Słusznie!... — mruknęli ci i owi, spoglądając niechętnie na Jaśka.

Po chwili spytał Wilhelma jeden z rekrutów:

— Wytlómacz mi, co to za plemię — wskazał na Jaśka — bo ja z Hanoweru.

— Każdy z nich, to wróg Niemiec — zawołał tak głośno, że drzemiący podoficer podniósł głowę i nasłuchiwał. — Mówią innym językiem, przysięgają po katolickich kościołach, że nas zgnebią, utrzymują konszachty z Rosją... to nasi nieubłagani nieprzyjaciele, za to, że my przygarnęliśmy ich do siebie. Oto takie jest plemię śląskie, i ten co tu siedzi między nami.

Obecni wydali pomruk niezadowolenia i niechęci, a podoficer zawołał surowo:

— Cicho... Wojsko nie zna żadnej innej narodowości, tylko niemiecką... Cesarz i Bóg, oto wasza wiara, a to — wskazał na odznakę podoficerską, — wasz ojciec, matka, dziadek... Milczeć i słuchać to wasz obowiązek.

W milczeniu dojechali do małej stacyjki Langendorf i wysiedli.

O jakie pół kilometra od budynków stacyjnych, na wielkiej płaszczyźnie, przez którą przepływała rzeka Lippe, rozsiane były niewielkie wioski, a najbliższą była Langendorf, osada protestancka, widoczna po zabudowaniach koszarowych, długich, nagich, jednopiętrowych kamienicach, z poza których wznosiła się smukła, czerwoną dachówką kryta, wieżyczka kościoła.

Nagie, jesienne pola, przetrźnięte prostymi drogami, widnemi po obsadzonych, bezlistnych drzewach, robiły w tym dniu pochmurnym przykre wrażenie.

Zdawało się, że wraz z mgłami przewala się po polach smutek i tęsknota, snuje się po wilgotnych rżyskach, czepia się oślizłych wilgocią nagich gałęzi drzew, i płynie ku koszarowym budynkom w Langendorf.

Ci i owi posmutnieli, a Jaśko ciężko westchnął, przypomniawszy sobie ów pogodny dzień, gdy Marysię podwoził do Leszczyniec.

Jakże dalekiem wydało mu się to wspomnienie! Tam było słońce jasne, ukochana dziewczyna, wesołość i radość życia... a teraz idzie w krępującym mundurze, ostrogi dzwonią u nóg jak kajdany, wszyscy go nie lubią, Wilhelm nienawidzi, i on sam inny, ze zmienionem nazwiskiem. Napęliła go gorycz, żal, gniew na ludzi.

Pierwszy dzień w mundurze, a tyle prze-

szedł, tyle przecierpiał, że i przez cały rok okrągły nie doznał w domu nawet części takiej przykrości, i co to będzie dalej?

Wtem podoficer krzyknął:

— Baczność!

I już całą jego uwagę pochłonęło staranie się, by uniknąć napomnienia słownego lub czynnego.

Weszli na zamknięty plac przed koszarami, a podoficer, ustawivszy ich w szeregu wyciągniętym, poszedł do koszar zameldować ich przybycie.

W oknach budynku, tak dolnych jak i górnych, pokazały się postacie huzarów, patrzących ciekawie na nowoprzybyłych.

— Hej, wy ostrzyżone barany, będzie wam ciepło! — zawołał jeden z huzarów.

— Przytrą wam cywilnych rogów — śmiał się inny.

— Musicie się wkupić do budy — krzyknęto z okna parterowego.

— Mama pewno dała synalkowi marki z pończochy!

— Hej, wy zmokłe pudle! Łeb do góry!

Rekruci udali, że nie słyszą zaczepek, tylko od czasu do czasu mruknęli przekleństwo.

Wtem z koszar wyszedł wachmistrz, niski, krępy, ubrany z przesadną błyskotliwością białych guzików, szabli, ostróg. Spojrzał na przy-

byłych złemi oczyma z pod brwi krzaczastych i zakomenderował:

— Baczość!

Przeszedł, klnąc od dyablów przed szeregiem, a następnie wyciągnawszy listę zawołał:

— Hej, wy ścierwa rekruckie, odpowiadajcie, gdy przeczytam wasze głupie nazwiska.

Zaledwie skończył listę, gdy przyszedł podporucznik, spojrzal wzgardliwie na nowozaciecznych, mówiąc:

— Wachmistrz! Jest wszystko?

— Tak jest, panie podporuczniku.

— Zaprowadzisz tych dzikich do koszar. Miejsca na legowiska wyznaczyć. Po obiedzie wziąć ich ostro do roboty.

— Według rozkazu pana podporucznika.

A gdy oficer odszedł, zakomenderował:

— Zwrot na prawo!... Dwójkami marsz!

Rekruci wykonali obrót źle, a jeszcze gorzej drugą część komendy.

Wachmistrz pienił się z gniewu, a z okien otwartych dochodziły drwiny i śmiechy żołnierzy.

— Już ja was lajdaki, draby, nauczę słuchać rozkazu! — wrzeszczał wachmistrz. — Hej, równaj się! W linię!

Przez cały kwadrans trwała nauka, a gdy uszykowali się względnie dobrze, poprowadził

rekrutów do koszar i przy pomocy podoficerów naznaczał im łóżka.

Jaśko, a obok niego Wilhelm Krug i ośmiu innych, zostali umieszczeni w sali sypialnej na parterze, a wachmistrz, wskazawszy im łóżka żelazne ze siennikami, zawołał:

— Hej, dozorca sali!

I tuż stanął wyprężony gefrajter, huzar, brunet z małymi wąsikami:

— Według rozkazu pana wachmistrza!

— Oddaję ci dziesięciu rekrutów... naucz tych durniów porządku... odpowiadasz za nich!

— Według rozkazu pana wachmistrza!

Zanim gefrajter uporał się z innymi rekrutami, miał Jaśko czas przyjrzeć się sali sypialnej. Był to obszerny pokój oświetlony dwoma oknami umieszczonemi w ścianie wprost drzwi wejściowych; z widokiem na pusty plac i szare mury stajni końskich. W jednym rogu pokoju szafy były tak ustawione, że tworzyły oddzielny niby pokój, gdzie sypiał gefrajter, dozorca sali. Dalszą część pokoju wypełniało dziesięć podwójnych łóżek na sposób okrętowy, jedno na ziemi, drugie umocowane nad niem. W głębi pokoju stały szafy, każdy bowiem żołnierz posiada oddzielną szafę na swe rzeczy. Wielki stół i umywalnia dopełniały reszty umeblowania.

I jak żołnierze są ubrani w jednostajny zielony mundur, z białemi wypustkami i szamero-

waniem, tak i łóżka, i szafy, i złożone w nich rzeczy, zawieszane obok szable, uderzały swą jednostajnością. Żadnych śladów indywidualności, potrzeb, zamiłowań, wszystko według litery przepisanego systemu i porządku.

Dozorca sali podrażniony poprzednią nauką dawaną rekrutom, przystąpił do Jaśka i zawołał z gniewem:

— Nie słyszałeś bałwanie, co mówiłem innym? Dlaczego stoisz, jak kolek w płocie?

— On taki zuchwały — mruknął dość głośno Wilhelm, układając rzeczy.

— Tak?... Zaraz cię oduczę! Gadaj mi, od czego masz uszy?

— Od... od słuchania — bąknął Jaśko.

— To słuchaj ośle... natężaj uszy — i pochwycił Jaśka za ucho, pokręcając mocno.

Po chwili puścił zaczerwienione ucho, mówiąc ze śmiechem:

— Nie będziesz słuchał, ponaciągam ci twoje ośle uszy do sufitu.

— O, ten zasługuje na to — rzekł Wilhelm z uśmiechem zadowolenia.

— Milcz, rudy psie! — huknął dozorca sali — zaraz przyjdę do ciebie.

I Jaśkowi pokazał, jak zwija się koc, na którym miejscu wieszają się i w jaki sposób ubranie od parady, ubranie od pochodu, ubranie do stajni, a gdzie szabla.

Jeszcze nie skończył tej nauki ze wszystkimi rekrutami, gdy wpadł podoficer do sali, wołając:

— Hej, bydło rekruckie!... Dalej do cebra!... zarcie gotowe!... Prędko!

Szybko wzięli naczynia, zwane menażkami, łyżkę i widelec, a że byli zgłodniałi, pobiegli kurytarzem do kuchni, w której podoficer dyżurny dzielił na stolnicy dymiące, zgotowane mięso, wrzucając do menażki część przeznaczoną dla żołnierza, a kucharz, huzar w białym fartuchu, nalewał warzęchwią zupę z wielkiego kotła.

Drugą potrawę stanowiła kasza jaglana, okraszona sadłem.

Po wymyciu menażek, gdy rekruci wrócili do sal sypialnych, zabrzmiała trąbka do apelu, a tuż wpadł podoficer krzycząc:

— Rekruci na plac! Marsz!

Z westchnieniami, ze strachem i obawą poszli na plac przed koszarami, a towarzyszyły im drwiące śmiechy i słowa huzarów:

— Rozgrzejecie się szczeniaki!... Pilnujcie zębów, bo wam wylecą!... Wygarbują wam skórę!

Stanęli w szeregu wyciągniętym, pilnowani przez trzech podoficerów, a wachmistrz, stanawszy przed frontem, zawołał:

— Słuchać ścierwa rekruckie!... Baczność

i uważać! Głupcy nie umiecie chodzić... Żołnierz musi się nauczyć maszerować! Przedewszystkiem musi umieć stać.

Mówiąc to, stanął w pozycji wojskowej i kazał naśladować siebie. Następnie przeszedł przed frontem. Rekruta źle trzymającego głowę uderzył pod brodę tak silnie, że zadźwięczały zęby, innemu obcasem nacisnął palce u nogi, by zmniejszyć kąt rozszerzenia; tego pchnął w brzuch wystający; pałaszem uderzał po zgiętych kolanach, po piszczelach; kręcąc uchem, ustawiał głowę do przepisanego frontu...

Nie było rekruta bez chybu, żadnego nie ominęło czynne napomnienie; a gdy który z ukaranych skrzywił się, syknął z bólu lub zatoczył się po uderzeniu, wachmistrz i podoficerowie wybuchali głośnym, wesołym śmiechem i zazwyczaj poprawiał uderzenie, mówiąc:

— Oduczę cię małego od grymasów!

Wreszcie wachmistrz zakomenderował:

— Ruszcie się! — co oznacza, że żołnierze w szeregu mogą przybrać postawę mniej nąteżoną.

Wkrótce zabrzmiało znów:

— Bacność! Stać!

I nowa nauka, nowe wskazówki.

Po kwadransie tej nauki, wachmistrz stanął przed frontem i rzekł:

— Uważajcie bałwany!... Żołnierski krok ma

ośmdziesiąt centymetrów, a maszeruje się tak. Lewą nogę zgina się lekko, wysuwa się ją naprzód, nie dotykając ziemi szpicą buta, stopa trochę w dół i na zewnątrz, korpus ledwie się pochyla naprzód i lewa noga płasko i lekko stawia się na ziemi... Podnoście lewą nogę!

Rekruci wykonali rozkaz tak niezdarnie, że wachmistrz wrzasnął:

— Łotry, podle cywile, przeklęte osły, stajcie bydłeta!

Z gniewem i pasją rozdzielili trzydziestu rekrutów na trzy równe części, każdy oddział powierzył podoficerowi, mówiąc:

— Uczcie to bydło! Nie żałujcie rąk! Zdrowie straćie z tą hołotą.

Wyznaczył osobne miejsce dla każdego oddziału, a sam przechadzał się od jednego do drugiego miejsca i zachęcał uczących podoficerów:

— Popraw go!... Gdzie on stoi?!... Jak trzyma łeb, ten gwiazdy liczy!

Czasami brał osobiście udział w nauce, a miał twarde, muskularne ręce.

Do szóstej godziny trwała nauka, aż wreszcie zmęczonych, spotniałych, obitych puszczono do koszar.

W sali, po krótkim odpoczynku, rozpoczął naukę porządku dozorca sypialni. Jednemu rozrucił umyślnie rzeczy, drugiemu zmiotł łóżko

i rekruci dla nauki musieli porządkować, co starszych, obytych ze służbą huzarów pobudzało do śmiechu i żartów.

Na wieczerzę każdy mógł kupić ze żołdu okrasę do chleba czarnego, a o godzinie dziewiątej w obszernej sali migotała tylko lampka. Rozległy się chrapania huzarów, tylko z łóżek rekrutów na razie dochodziły ciężkie westchnienia, lecz i nowozaciężnych ogarnął twardy sen, słodki dobroczyńca zmęczonych.

VI.

Już tydzień trwała nauka.

Wczesnymi rankami i wieczorami uczono rekrutów obchodzenia się z końmi, czyszczenia, dawania obroków, pojenia, kielznanania, siodłania; a resztę czasu trawili na nauce pieszej.

Przy pomocy pięści i komendy uczono ich maszerować, robić zwroty, obroty, ustawiać się w linię, w dwójki, w czwórki, i spełniać różne przepisane ruchy.

Jednego popołudnia, młody podporucznik, blondyn z wysznurowaniem wcięciem, został przez rotmistrza posłany na inspekcję rekrutów.

Zły i chmurny, gdyż to polecenie przeszkodziło mu w zamierzonej wycieczce, wszedł na plac mustry podciągając w górę ledwie widoczne wąsiki.

Wachmistrz widząc z daleka podporucznika ustawił rekrutów w szereg i przy zbliżeniu się jego, komenderował:

— Bacność! Oczy w lewo! — następnie podszedł do oficera:

— Melduję pokornie, trzydziestu rekrutów!
Podporucznik skinął głową i zawołał:

— W prawo zwrot!... Dwójkami marsz!

Zaledwie zrobili kilka kroków krzyknął gniewnie:

— Stój!... Równaj się!

Zwolna przeszedł przed frontem, i ściągnąwszy brwi gniewnie, gromił:

— Wachmistrz! Co to znaczy? Jaka to nauka!?... Stoją jak wierzby pokręcone! Idą jak cielne krowy! Obracają się jak krokodyle!... Uczycie ich zbyt łagodnie, a żołnierz, zwłaszcza huzar, musi być ostro trzymany, aby był zwinny jak baletnica, lekki jak piórko, a silny jak lew!... Zrozumiano?

— Według rozkazu pana podporucznika!

— I jak oni wyglądają!? — skrzywił usta wzgardliwie — smutni, chmurni, głupi... a huzar musi być wesoly! Z oczu powinna tryskać radość, duma że jest huzarem!

— Według rozkazu pana podporucznika!

— Wachmistrz! Za kilka dni znów przyjdę... moje rozkazy muszą być spełnione dokładnie i ściśle.

Wachmistrz w odpowiedzi wyrecytował formułkę.

— Zobaczę kilka ruchów... Wachmistrz komenda!

Mimo usilnych starań rekrutów i cichych

prostowań podoficerów, podporucznik był bardzo niezadowolony i rzekł wkońcu:

— Wszystko źle!... Psy lepiej maszerują!

Po jego odejściu wachmistrz swój zły humor i doznana przykrość, spędził w pierwszym rzędzie na podoficerów nie szczedząc im wymówek ostrych, a następnie wszyscy przełożeni odemścili się na rekrutach.

Poprzednie dni nauki wydawały się lekimi, w porównaniu z dzisiejszem popołudniem. Sypały się klątwy, wyzwiska, uderzenia, męczące mustry... lecz i to minęło.

Z całego oddziału trzydziestu rekrutów, odznaczyło się dwóch: Johann Stiglitz, który najszybciej i najdokładniej przyswajał sobie naukę... i Michel Hoppe, wielki, gruby, niezgrabny Meklemburczyk, który ani stać, ani maszerować, ani do konia wziąć się nie umiał.

Stał się on pośmiewiskiem i kopciuszkiem całego szwadronu. Ostrzyli na nim swój wątpliwy dowcip przełożeni, huzarzy i rekruci.

— Głupi Michel! — wołano, a wielki, zaspiany chłop, wytrzeszczał przerażone niebieskie oczy, oczekując nieochybnego żartu słownego lub czynnego, w rodzaju uderzenia, pokręcenia uszu, kopnięcia nogą.

A był to łagodny, cichy, zahukany parobek wiejski, wiecznie spocony i przepelniony strachem, jak zając.

Czasem, ale to bardzo rzadko, pochwalono nadzwyczaj miernie Jaśka, natomiast Michel był ganiony, potrącany, łzony od wczesnego ranka do późnego wieczora.

Gdy po dwóch tygodniach nauki zjawił się na placu mustry podporucznik, zepsuł Michel szyk szeregów i zwrotu oddziału.

Znów wachmistrz usłyszał surowe napomnienia, groźne wymówki...

Podoficer, który uczył Michela, stanął przed zagniewanym wachmistrzem:

— Panie wachmistrz! Melduję pokornie, że z rekrutem Michele Hoppe, nic poradzić nie mogę.

— Co to znaczy? — krzyknął wachmistrz.

— Panie wachmistrz! Zdechłe ciało zrozumiałoby lepiej komendę, aniżeli Michel Hoppe.

— Hm... Zobaczymy przy parolu... będzie ukarany... a teraz wziąć go samego na naukę... i nie żałować lajdaka.

I gdy inni rekruci złączeni razem, wykonywali przepisane ćwiczenia, w drugim końcu placu mustrowano Michela, a do uszu rekrutów wpadały co chwila klątwy i odgróźki..

Nowozaciężni spoglądali z przerażeniem na przełożonych, na siebie, na nieszczęśliwego Michela, który od czasu do czasu jęknął, jak pies kopany i bity. Strach przed wachmistrzem zdu-

sił wszelkie współczucie, i obojętnie, siłąc się na uśmiech przechodzili obok Michela.

W końcu mustry, gdy rekruci mieli chwilę wypoczynku, podoficer wraz z Michele stanął przed wachmistrzem.

— Melduję pokornie, rekrut ten nie może się niczego nauczyć.

Wachmistrz spojrział groźnie na ogłupiałą twarz rekruta. Pod nosem, za uszami widać było zakrzepłą krew, która ściekając czerniła się na mundurze i białych potrzebach.

— Skąd ta krew? — spytał wachmistrz.

— Przy komendzie »nieder,« ta kanalia rozbił sobie nos... On jest niemożliwy.

— Co zrobić z tem ścierwem? — mruknął półgłosem.

— Może kuracya wodna — uśmiechnął się złośliwie podoficer — i mustra w pokoju.

— Dobrze, spróbować! — zawołał wachmistrz wesoło.

Rekruci nie rozumiejąc o co rzecz idzie, uśmiechnęli się również, jedni by przypochlebić się wachmistrzowi, inni z naśladownictwa.

Jeszcze tego samego wieczoru, poprowadzono Michela do łaźni chłodnej nieopalonej i oblano zimną wodą.

Od tego dnia, rano i wieczorem słyszeli rekruci jęki i prośby Michela, którego kształtowano na dzielnego huzara przy pomocy zimnej

wody, ku ucieście podoficerów i obytych ze służbą huzarów.

Strach padł na nowozaciężnych, ustały wszelkie swary i niechęci. Jękliwe wrzaski Michela przypominały grozę wiszącą nad wszystkimi.

Po dziesięciu dniach kuracyi zimną wodą, Michel, chory na zapalenie płuc, został odesłany do szpitala pułkowego w Paderbornie.

Nauka rekrutów nie ustawała. Równocześnie z pieszą rozpoczęła się konna. Jeździli tylko na derkach, z licami lub bez, następnie na siodłach. Upadek z koni, uderzenia batem jeźdźca, gdy koń był nieposłuszny, albo się narowił były na porządku dziennym.

Po czterech miesiącach nauki, po względnie dobrym przeglądzie wobec rotmistrza, jakkolwiek byli uważani za rekrutów, jednak w swem mniemaniu i pod względem pełnienia służby różnili się mało od innych, starszych huzarów.

Służba, przy ćwiczeniu, stawała się lżejszą, a przystosowanie się do warunków zostawiało im dość czasu swobodnego, by z tłumu umundurowanego mogły się wyłonić indywidualne cechy.

Powodzenie Jaśka w ćwiczeniach wojskowych kształcących rekruta na żołnierza, zadawało jego dumę i ambycję. To nie był już ów chłopak trwożliwy, zahukany, nabral pewności

i często widział siebie w przyszłości z odznaką podoficera wśród huzarów.

To samo jednak powodzenie obudziło zazdrość innych, zwłaszcza Wilhelma, i nienawiść przysgasła pod wspólnym bolesnym batem, obudziła się na nowo.

Równo z pobudką ranną zrywał się Jaśko z łóżka jeden z pierwszych, a kończył ubieranie się jeden z ostatnich, tak starannie mył się i czesał, tak dbał o czystość munduru, krawatki z białą obszewką, błyszczące guziki i buty.

— Stroi się ta małpa śląska, jak dziewczka na tańce — zadrwił Wilhelm, który tyle dbał o swój strój, o ile było koniecznością.

— A małpa, małpą zostanie — zaśmiał się inny towarzysz.

— Małpa to za szlachetne stworzenie — dogadywał Wilhelm — on był i będzie świnią śląską, bo maciora go urodziła.

— Milcz psi synu — zawołał Jaśko z błyszczącymi gniewem oczyma — bo leć ci rozwałę.

— Spróbuj tylko mnie dotknąć — rzekł Wilhelm zbliżając się do Jaśka z pięściami zaciśniętymi — i jeszcze raz wobec wszystkich kamratów powtarzam, że jesteś świnią śląską.

To wyczerpało cierpliwość Jaśka, i podniecony gniewem pchnął w piersi Wilhelma tak silnie, że ten się zatoczył i byłby padł na ziemię gdyby go nie podtrzymali towarzysze.

— Teraz cię nauczę — wrzasnął Wilhelm prostując się, lecz w tej chwili wszedł dozorca sali, a tuż za nim podoficer wołając:

— Spokój! Spokój!... Ubierać się draby, nasienie rekruckie!

Wilhelm chciał się poskarżyć, lecz podoficer wrzasnął:

— Milczeć!... bo zamelduję wachmistrzowi.

W sali zrobiła się cisza, żołnierze pospiesznie kończyli ubieranie się, ale po chwili tu i owdzie odezwały się półsłówka i śmiechy.

— Dał mu jednak!... Odkoczył jak piłka... Zdawało się że silny... Zwycięzył Ślązak...

— Już ja go nauczę — mruknął Wilhelm, a widząc tryumfującą minę Jaśka: — połamię ci kości psie śląski!

— A ja oberwę ci osłe uszy — odciął się Jaśko, a słowa te wywołały wybuch śmiechu, gdyż istotnie Wilhelm miał wielkie, odstające uszy.

Wtem zagrała trąbka do apelu i wszyscy wyszli pospiesznie.

Cały ustrój życia i kształcenie żołnierza polega na systematyczności i jednostajności, i skoro się przeszło pierwsze wykształcenie, następna nauka polega na powtarzaniu w kółko tych samych rzeczy, a każde odstępianie od formułki jest jeśli już nie zbrodnią, to przestępstwem. I podobnie jak w nauce, jest i w życiu żołnie-

rza. Wszyscy wstają w porze oznaczonej, ubierają się w jednostajne mundury, wykonują wspólnie jednostajne ruchy, jedzą z jednostajnych naczyń, układają rzeczy w jednostajny sposób, kładą się w łózkach jednostajnie zasłanych, jednostajnie długich i szerokich.

I jeden dzień, równałby się drugiemu jak dwa przystające trójkąty, gdyby od czasu do czasu nie wychyliła się indywidualność człowieka z pod równającego strychnulca.

Taka przerwa nużącej jednostajności jest jedną z wielkich przyjemności w życiu koszarowym żołnierzy.

To też czynny wybuch nieprzyjaźni Wilhelma i Jaśka był przedmiotem ciekawości i rozmowy, nie tylko sali czwartej, gdzie spali dwaj nieprzyjaciele, ale i po innych salach rozeszła się wieść, że Wilhelm Krug zaprzysiągł zemstę Ślązakowi.

W czasie wspólnego obiadu musiał Wilhelm z powodu obecności dyżurnego podoficera poprzestać na krótkich odgrózkach, a Jaśko na pogardliwym uśmiechu.

To lekceważące zachowanie się Jaśka doprowadzało jego przeciwnika do pasji, a mając w menażce kość pozostałą z mięsa rzucił nią w Jaśka, plamiąc tłuszczem świeżo wypraną drelichową bluzę, używaną do stajni.

To splamienie wywołało wybuch wesołości towarzyszków.

Jaśko zaklął ze śląska i skórką chleba począł wycierać płamę.

— Czochra się świnia śląska — zadrwił Wilhelm.

— Różgą od mamy dostanie za płamę — zaśmiał się inny.

— Psie wściekły! — zawołał Jaśko.

— Już ja cię pokąsam — śmiał się Wilhelm.

Wszyscy przeszli do sali na odpoczynek, a gdy obaczyli, że Wilhelm stanął z wyzywającą miną obok łóżka Jaśka, wyglądali ciekawie co robi Ślązak. Niektórzy chcąc mieć widowisko bezpłatne mówili do Wilhelma:

— Ustąp, bo cię zwali!... Dał ci rano, da i teraz..

I znów do wchodzącego Jaśka:

— Wracaj, bo Krug stoi!... Uciekaj przed panem śląskim!... Nie strzymasz!

Jaśko błądzą z gniewu i oburzenia szedł równym krokiem. Obaj zmierzyli się nienawistnym spojrzeniem, ale widać było po zaciśnięciu ust, po konwulsyjnym ściskaniu pięści, że do walki przyjąć musi.

Wszyscy w nich się wpatrywali z rosnącą ciekawością, gdyż obaj przeciwnicy byli niemal równego wzrostu, tylko Wilhelm był pleczysty, tęgi, a Jaśko szczuplejszy, nie miał bar szero- kich i grubych rąk, natomiast był zwinniejszy.

Jedyną troską innych żołnierzy była obawa, aby wejście podoficera nie przerwało zabawy.

Już Jaśko był tuż przy Wilhelmie i rzekł głosem zdławionym:

— Ustąp!

— Do chlewa, nie tu świnio śląska!

I w tej chwili rozległ się odgłos silnego po- liczka i słowa Jaśka:

— To za świnie śląską!

Zachwiał się na mgnienie oka Wilhelm, i tuż rzucił się na Jaśka, chcąc go objąć rękami, przycisnąć do siebie i ubezwładnić.

Jaśko uskoczył i pochwyił ręce przeciwnika. Zaczęli się zmagać, widać było po mięśniach na twarzy, po konwulsyjnie wygiętych ciałach, po oparciu nóg, wielki wysiłek walczących. Wilhelm poczuł swoją przewagę i przez zaciśnięte zęby syknął:

— Uduśzę cię szczenię śląskie!

Jaśko z czerwonego zrobił się błądzą; niena- wiść, wstyd przed towarzyszami podniecały go.

Wilhelm wyszarpywał swe ręce z uścisku palców przeciwnika...

Nagle Jaśko puścił obie ręce Wilhelma, i z całą siłą uderzył pięściami swego przeciwnika poni- żej klatki piersiowej.

Wilhelm zatoczył się, padł w tył, zawadza- jąc głową o ostry kant łóżka, a następnie o twardą podłogę.

— Dał mu radę!... Silny chłop!... — chwalili ci i owi. — Ktoby się spodziewał! — nie znali bowiem tego sposobu, używanego na Śląsku w ręcznych zapasach, iż mocne uderzenie w tak zwany dołek powala z nóg najsilniejszego.

Wilhelm, po dwurazowym uderzeniu głową o łóżko i podłogę, leżał omdlały, a ze zranionej głowy płynęła krew obficie.

Przerazili się niektórzy tego wyniku walki, a już najbardziej zwycięski Jaśko, i sam pierwszy począł cucić Wilhelma. Pomogli mu i inni towarzysze, zlano wodą twarz, ocucił się, podniesiono go i ułożono na łóżku.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł dyżurny podoficer.

— Co to jest? Co się stało? — zawołał widząc gromadkę żołnierzy przy łóżku.

— Upadł Krug i rozciął głowę — odpowiedział mu któryś z huzarów.

Podoficer przystąpił do łóżka, ujrzał bladą, skrwawioną twarz Wilhelma i zwrócił się do otaczających:

— Jakim sposobem?

— Bili się... Krug ze Stiglitzem.

— To ty zbójku śląski! — wrzasnął przelony i wymierzył Jaśkowi silny policzek.

— Nie ja zaczynałem — mruknął Jaśko.

— Milcz psie śląski! Jutro do kary!

W sali zrobiła się cisza. Wilhelm jęknął i rzekł:

— Zabił mnie!

— Dobrze! Zbójku! Zginiesz w kajdanach — krzyczał podoficer.

Wieść o wypadku w sali czwartej rozeszła się szybko po koszarach. Dowiedział się o niej i wachmistrz. Przyszedł, spojrzął na Wilhelma słuchając raportu podoficera, przystąpił do łóżka, obejrzał rozcięcie i zawyrokował:

— Tylko skóra zdarta... wstań Krug i na ćwiczenia.

— Panie wachmistrzu głowa boli — stęknął Wilhelm.

— Kiedy każę ci wstać, wstań chociażby z grobu! — zawołał surowym głosem.

Wilhelm podniósł się z łóżka, a wachmistrz zwrócił się do stojącego Jaśka — ty skrytobójco jutro usłyszysz karę, a na dzisiejsze ćwiczenia wyjdiesz w umundurowaniu do marszu.

Była to kara dość surowa, gdyż w umundurowaniu do marszu, żołnierz prócz płaszcza i worka z chlebem, dźwiga wszystkie przybory przepisane na wypadek długich ćwiczeń, dalekich marszów.

Na drugi dzień, o godzinie pierwszej, przy ogłoszeniu parolu stanęli w obszernym kurytarzu przed wachmistrzem zameldowani żołnierze.

Niespodziewanie nadszedł rotmistrz, wysoki szczupły, z twarzą długą, wygoloną, żółtawą a wachmistrz komenderując:

— Baczość! — meldował rotmistrzowi ilość ludzi.

Rotmistrza żółtawa twarz, skrzywiła się do zgryźliwego uśmiechu, skinął głową i podszedł do stojącego w szeregu na prawem skrzydle.

— O co? — spytał krótko.

Huzar jednym tchem wypowiedział swą prośbę.

— Dobrze — skinął głową.

W samym lewem skrzydle szeregu stał Wilhelm Krug z obwiązaną głową, Jaśko, i dwóch świadków zajścia wybranych przez wachmistrza.

Gdy z kolei rotmistrz podszedł do Kruga, ten rzekł:

— Melduję się pokornie słabym.

— Co to jest? — spytał chmurząc się.

— Huzar Johann Stiglitz rozbił mi wczoraj głowę.

Rotmistrz spojrział surowo na wachmistrza, który salutując meldował:

— Rekruci Wilhelm Krug i Johann Stiglitz wszczęły wczoraj w południe bójkę w sali czwartej. Wilhelm Krug upadł i zranił się.

Rotmistrz spojrział na Kruga i rozkazał:

— Mów!

— Stałem przy łóżku, przyszedł Johann Stiglitz, podły Słazak...

— Schowaj dla siebie takie słowa — zawołał rotmistrz surowo — opowiadaj!

— Uderzył mnie w twarz, pechnął a padając rozbiłem głowę.

— Hm... Johann Stiglitz — spojrział chmurny na Jaśka — mów!

— Wilhelm Krug zaczepia mnie od dawna, wyzywa mnie od ostatnich słów, powalał mi kurtkę drelichową...

— Krócej! — krzyknął zniecierpliwiony.

— Przychodzę do sali czwartej po obiedzie, Krug stoi przy mojem łóżku, zagradza mi drogę, mówię mu ustąp, a ten mnie zwymyślał...

— Dosyć! Za długo mówisz, jesteś winny... świadkowie?

Wachmistrz wskazał na dwóch huzarów.

— Kto zaczął? — spytał pierwszego.

— Obydwaj!

— Czy Stiglitz popechnął Kruga? — zwrócił się do drugiego.

— Tak jest.

Rotmistrz spojrział na wachmistrza i zawyrokował.

— Johann Stiglitz tydzień aresztu średniego, obostrzonego co drugi dzień surowem więzieniem...

Parol skończony!

Wilhelm tryumfował. Opowiedział fakt krótko, dowodem była obwiązana głowa. Wyrok zapadł.

Dotyychczas niemal jedyną przyjemnością Ja-

śka, było opuszczenie w chwilach wolnych sali dusznej, przesiąkniętej wyziewami ludzkimi, potem i gnojem końskim. Szedł w pole, oddychał szerokim powiewem płaszczyzny, porównywał krajobraz i rolę z niezapomnianymi wrażeniami Radoń i Leszczyniec. Często zachodził też pomiędzy osady kolonistów, przyglądał się gospodarstwu, oceniał dla własnej przyjemności mleczność krów, wygląd wołów i koni.

Teraz bezpośredni jego przełożeni umieli tak go zając w godzinach wolnych czyszczeniem broni, glansowaniem guzików, ćwiczeniami po mustrze, że nie miał czasu wyjść za próg koszar z wyjątkiem chwili, gdy wraz z innymi szedł na ćwiczenia. To go zasmucało i ze wstrętem patrzył na salę sypialną, z okratowanymi oknami, przez które widać było pusty plac i szare mury stajenne.

Oczekiwał go jednak areszt średni i celkowe więzienie, bał się jednego i drugiego, a zarazem był ciekaw, co to jest, jak wygląda, gdyż z opowiadań towarzyszyków nie mógł przyjść do jasnego wyobrażenia, jakiego rodzaju jest ta kara.

Równo w tydzień po bójce, a było to we środę, zjawił się dyżurujący podoficer na czwartej sali i zawołał:

— Johann Stiglitz, do celkowego więzienia!... Ubranie stajenne i płaszcz.

Jaśko, który był w mundurze do ćwiczeń,

zaczął się szybko przebierać, naglony przez stojącego podoficera.

Wilhelm usłyszawszy rozkaz zaśmiał się głośno, mówiąc:

— Do chlewa!... Do chlewa Ślązaku!

Podoficer poprowadził Jaśka kurytarzami do części koszar mieszczących więzienie i oddał go dozorey t. z. ojcu, wysłużonemu, szpakowatemu podoficerowi, który odebrał rozkaz na piśmie, odczytał i rzekł z uśmiechem złośliwym:

— Celka na dwadzieścia cztery godzin, bardzo dobrze... chodź ptaszku, spokorniejesz, odechce ci się bójek.

Podzwaniając pękiem kluczy poszedł w sam koniec ciemnawego kurytarza, otworzył kluczem celkę i mówił:

— Oto klatka twoja... rozejrzyj się teraz, abyś się nie potłukł — zaśmiał się sucho.

Jaśko zajrzał. Była to wązka cela, przy jednej ścianie stał tapczan bez siennika, z deszczułką lekko podniesioną w miejsce poduszki. Po drugiej stronie kubel i dzbanek cynowy z wodą. Z celi wiał chłód i zgniłe, wilgotne powietrze piwniczne. Jaśko cofnął się z odrazą.

Dozorca wziął go za rękę i rzekł z dobroduszną ironią:

— Wejźdź kotku, nie bój się... za sześć godzin coś ci przyniosę.

Popchnął go z lekka i zamknął drzwi na

klucz. Jasiek namacał tapczan i usiadł. Ani jeden promyk nie dobywał się z zewnątrz. Noc gęsta, czarna otoczyła go.

Pierwszą jego myślą była gorycz i żal na niesprawiedliwy wyrok. Osądzono go nie wysłuchawszy wcale, skazano bez przyczyny, cierpi niewinnie.

Tak długo znosił cierpliwie urągania i drwiny Wilhelma, a gdy go tamten zmusił do walki i on go zmógł, został ukarany srogo.

I dlaczego?

Począł doszukiwać przyczyn. Te i owe brał pod rozwagę, wreszcie w głębi duszy poczęło kielkować poczucie narodowości.

Wilhelm i wszyscy przełożeni, to Niemcy, a on Ślązak — i oto przyczyna jego nieszczęść.

Przebiegając w myśli krótkie swe życie doszukiwał się powodów tej niechęci, nienawiści, do wszystkiego co śląskie.

Wszak Ślązacy, jak jego ojciec, jak sąsiedzi z Radoń, znajomi z Leszczyniec pracują na roli, płacą podatki, oddają synów do wojska, jak jego... bili się za państwo, ginęli, postawiono im nawet pomniki po miastach na Śląsku... a jednak Niemcy ich gnębią, poniewierają, nienawidzą.

W szkole biją za śląskie słowa, z kościoła wypędzają śląskie pieśni, w sądzie karzą za śląskie zeznania, a w wojsku nawet za urodzenie się Ślązakiem.

I dlaczego?

Napróżno się silił nad rozwiązaniem tej zagadki, wreszcie doszedł do przekonania, że Niemcy są niesumienni i niesprawiedliwi. A chcąc się zemścić za te ich nieprawości, dokuczyć im do żywego, należy zostać na zawsze Ślązakiem i trzymać się twardo śląskiego języka.

Ta możliwość zemsty pocieszyła go cokolwiek w jego strapieniu i rzekł głośno po śląsku:

— Na złość wam jestem i będę Ślązakiem!

Wymówione słowa odbiły się głuchem echem w pustej celi. Przeląkł się i zapierając dech nasłuchiwał.

Słyszał szelest spadających i toczących się kropeł po murach, a po chwili cichutki tupot na podłodze, tapczanie, i poczuł że coś wylazi na rękaw. Porwał to coś wolną ręką, poczuł sierść miękką i rzucił o ścianę. Rozległ się pisk, upadło coś ciężkiego na podłogę... poznał, to były szczury.

Wzdrygnął się i zaczął przechadzać się po małej celce z hałasem, by odstraszyć szczury.

Gwizdał, śpiewał, stukał butami; wreszcie zmęczył się i umilkł.

W tem poczuciu osamotnienia i doznanej krzywdy, myśl jego uleciała w stronę domu rodzinnego. Od czasu wyjazdu swego miał od rodziców jeden list, a od Marysi nie dostał żadnej odpowiedzi.

Czuł potrzebę współczucia, dobroci, troskliwości i przed oczy przywołał obraz matki. Jak ona dbała o niego, pieściła, pocieszała w różnych strapieniach szkolnych, zasłaniała przed gniewem ojca...

Wieczorami uczyła czytać po śląsku, modlić się, śpiewać pobożne pieśni...

Ogarniało go coraz większe rozczulenie i począł modlić się żarliwie, aby go Pan Bóg wyprowadził szczęśliwie z tej niewoli niemieckiej, a będzie najlepszym synem, odwdzięczy się ojcu i matce, będzie ich kochał, szanował...

I zdawało mu się, że cęła się rozświetliła, bo oto weszła Marysia.

Cała promienna, jasna, piękna jak słońce wschodzące... a w oczach tyle serdecznej dobroci, że rozczulony szepnął półgłosem:

— Maryś, moja Maryś!

Przypomnił sobie dany mu przez nią medalik poświęcony, poszukał go na piersi, i ucałował z uniesieniem.

Modlitwa, przypomnienie stron rodzinnych i kochających go osób podziaływały uspokajająco na niego.

— Minie złe i będzie dobrze — mruknął z uśmiechem.

Posłyszał szelest biegających szczurów... Iii, każde stworzenie potrzebuje żyć, pomyślał, sobie, i szczur chce żyć, kiedy go Pan Bóg stworzył.

I już bez odrazy myślał o szczurach, wma-
wiając w siebie, że przecież nic złego mu nie
zrobią.

Otworzyły się drzwi z łoskotem, światło la-
tarni oślepiło Jaśka, i tuż wszedł dozorca i spytał:

— A co, dobrze ci teraz?

Jasiek wstał, przeciągnął się i odpowiedział
wesolo:

— Dobrze mi panie dozorczo, tytkom głodny.

— Z ciebie przyjemny więzien — uśmiechnął
się — nie klniesz, nie wrzeszczysz, podobasz mi
się... Zaraz chleb przyniosę, a podziel się ze
szczurami, bo i to stworzenie boskie.

— Dam im, byle mnie nie zagryzły.

— Ee, nie bój się, twardy jesteś, kiedy zmo-
głeś wielkiego Wilhelma.

— Czasem się uda, bo też siłę mam, chwala
Panu Bogu.

— Hm... młody jesteś... zmarzniesz w tej dziu-
rze... dam ci już derkę.

— Dziękuję panie dozorczo.

Wkrótce przyniósł koc, bochenek chleba i nie
nie mówiąc zatrzasnął drzwi za sobą.

Towarzysze czwartej sali spodziewali się, że
Jaśko z ciemnego, celkowego więzienia i are-
sztu wróci zgnębiony, upokorzony, a Wilhelm
naprzód się cieszył już widokiem zmęczonego
i skruszonego wroga.

Tymczasem Jaśko wrócił z jasnym czołem,

z uśmiechem na ustach, i jak gdyby nic nie zaszło pełnił dalej swe obowiązki.

To ich dziwiło i napępniało szacunkiem.

— Jakże tam? Cóż celka i areszt? — dopytywali się niedoświadczeni.

— Hm... celka, to zwykle więzienie, tylko że ciemne i śpi się na gołych deskach.

— No, a jaki areszt średni?

— Nie straszny, przetrzymać można.

— Ho, ho, ten wytrzymały... Taki się nie boi... Nie poradzą z nim! — odzywali się z pochwałami.

Wszyscy na czwartej sali wiedzieli, że Jaśko został niewinnie skazany i ukarany. Jego spokój, rezygnacya w znoszeniu niesprawiedliwości, a zwłaszcza okazana siła w bójce z Wilhelmem zaimponowały innym.

Żołnierze poczęli z nim sympatyzować i jak to bywa pomiędzy towarzyszami pomagali mu w tem i owem, i przestrzegali przed popełnieniem jakiejś nieformalności.

Wilhelm poczuł swe odosobnienie, stroniono od niego. Zacząć znów zatargi z Jaśkiem uznał za niebezpieczne, bo nie tylko miałby przeciw sobie Jaśka, którego siłę poznał, ale inni towarzysze zwróciliby się przeciw niemu.

Jednak chęć zemsty gorzała w nim tem silniej, że nie mógł jej na razie zaspokoić. Nienawistnem okiem śledził każdy ruch, każdą czyn-

ność Jaśka, a gniew jego wzrósł jeszcze, gdy Jaśko wracał z więzienia wesoly i wypoczęty.

Dozorca bowiem, powodowany współczuciem i dzieląc wraz z huzarami przekonanie o niesprawiedliwości wyroku, dawał Jaśkowi lepszą celę, karmił dobrze i przynosił koc wieczorem.

Wilhelm prawie zaprzestał zaczepiać Jaśka, a przed kolegami głośno i gorzko się uskarżał, że rodzice nie przysyłają mu żądanych pieniędzy, i kończył:

— Niech tylko dostanę, już ja pokażę, co to zaczepiać Wilhelma Kruga.

cieszyli się naprzód długim marszem przez pola i lasy... cieszyli się pulkową rewią wiosenną.

Podoficerowie z rozkazu rotmistrza zajęli się wycuczeniem śpiewów tradycyjnych, które w marszu miał szwadron śpiewać.

Jaškowi pieśń dawna

«*Morgenroth, Morgenroth,
Du leuchtest mir zum frühen Todt...*»¹⁾

podobała się najbardziej. Była w niej rzewna nuta żalu, za słońcem, ziemią, radością życia... tęsknota za szczęściem, cicha rezygnacya śmierci.

Większość jednak huzarów kochała się w pieśni śpiewanej na nutę starodawnego walca:

»*Sei ruhig Luise, wisch ab dein Gesicht;
Eine jede Kugel die trifft ja nit...*»²⁾

Wszyscy pragnęli wymarszu. Rotmistrz atoli szanując konie, obawiał się błotnistych dróg, grząskich łąk i trzymał cały szwadron w koszarach, ćwicząc pilnie w manieżach.

Huzarzy oczekując lada dzień rozkazu wymarszu, z własnej ochoty czyścili mundsztuki, strzemiona, smarowali pasy, odświeżali zielone mundury, kredowali białe szamerowania i epolety.

¹⁾ Jutrzenko, Jutrzenko,

Ty mi przyświecasz do wczesnej śmierci...

²⁾ Spokojną bądź Ludwiko, otrzyj swoją twarz;

Wszak każda kula nie trafia, nie...

VII.

Przyleciały pliszki i bociany, zwiastując nadejście wiosny.

Śnieg pod promieniami słońca topniał, na obszernej płaszczyźnie tworzyły się rozległe, płytkie jeziora, po których brodziły głodne bociany, a na skrajach przefruwały z piskiem pliszki.

Ruń ozimin już się żywo zieleniła, na suchszych łąkach wychylały się trawy, a pąkowie na drzewach świeciło w słońcu szaro-zieloną barwą.

Wiosna! Wiosna!

I poweselały twarze huzarów, śmiały się usta, błyszczały oczy. Rzucą nareszcie te duszne, jednostajne sale sypialne; ten maneż, w którym kręcą się w kółko codziennie.

Wyjadą w świat wolny, obszerny; obwieje ich wiatr, osuszy słońce, wykąpią się w czystym powietrzu.

Umilkły małe zawiście, klótnie, niesnaski...

W oczekiwaniu spodziewanego wymarszu, wśród śpiewów, przygotowań żartów upływał czas szybko.

Jaśko cieszył się wraz z innymi i drżał na myśl, że znów znajdzie się wśród pól. Owionie go zapach świeżo oranej ziemi, ujrzy odkładane skiby, posłucha poryku bydła, dojrzy siewacza...

Wilhelm chodził wciąż chmurny, rzucając nienawistne spojrzenia na Jaśka, odsunął się od wszystkich i miał tylko gorzkie słowa wyrzutów i żalów do ludzi.

Jednego dnia tak poweselał, że zwróciło to uwagę towarzyszków czwartej sali i zaciekawieni spytali:

— Co nowego Wilhelmie?

— Dobra nowina, — zaśmiał się — otrzymałem oczekiwane pieniądze.

— Ho, ho, to dopiero nas ugościsz! I dużo?

— Sześćdziesiąt marek.

— Toś ty pan!... Hej, koledzy, Krug ma pieniądze!

— Funduj! Funduj! — zawołano.

— Nie mogę — wzruszył ramionami — te pieniądze są przeznaczone na pewien ważny cel.

— Jaki? Jaki?

— To moja tajemnica.

— Tak każdy może powiedzieć — zaśmiano się — byle wykpić się od poczęstunku towarzyszków

— Zaraz... niech się obliczę — a po chwili — wiecie, piwa mogę wam zafundować. Dziś wieczorem w kantynie jest pół beczki piwa dla dziesiętnastu ze sali czwartej.

— Dziesiętnastu!?! — zdziwił się któryś.

— Piję tylko z towarzyszami, godnymi tej nazwy — zawołał twardym głosem.

Domyślano się, że chce Jaśka wykluczyć, aby go upokorzyć.

Niektórym żal się zrobiło Ślązaka, ale pomyśleli, iż każdy może za swoje pieniądze utraktować tego, którego wybierze... a zresztą będzie piwo, a taka gratka rzadko się przytrafia.

Jaśko udał, że nie słyszy zaprosin, nie rozumie przytyku, a chcąc umożliwić jednemu z towarzyszków pójście do kantyny, gdyż ten miał dyżur w sali, ofiarował mu się ze zastępstwem na dzisiaj wieczór.

— Tyś dobry chłop, dobry towarzysz... — zawołał ucieszony znalezieniem zastępcy. — a dlaczego wy się gniewacie z Wilhelmem?

— Mamy rachunki ze sobą.

— Głupstwo — zaśmiał się — ty go potłukłeś, ale też odcierpiałeś karę... hm... a ty chcesz z nim zgody?

— Z nim? — spojrział na Wilhelma rozprawiającego w drugim końcu sali i poczuł głęboką niechęć, ale przemógł się i odpowiedział uprzejmie — ja z każdym chcę zgodnie żyć.

— Jeśli tak, to już dobrze. Wilhelm nie jest tak głupi, aby nie rozumiał, że tobie stała się niesprawiedliwość z tym aresztem... już ja w tem, byście sobie podali rękę na zgodę.

— Dziękuję ci towarzyszu... idź już do kantyny, wszyscy się wybierają.

— Masz rację.

Jaśko mając przed sobą trzy godziny wolnego czasu i samotności począł pisać listy do rodziców i do Marysi.

Tymczasem w kantynie, rodzaj restauracyi z wyszynkiem z obrębie koszar, Wilhelm uga-
szczał towarzyszków piwem.

Rozmawiano głośno i żywo o drobnych przygodach w szwadronie, o spodziewanych nominacyach wiosennych na gefreiterów i podoficerów. Do kantyny wszedł jeden z podoficerów, zaraz Wilhelm poskoczył i bardzo uprzejmie prosił na szklanekę piwa, ale równocześnie szepnął w przechodzie kantyniarzowi, by dał wędlin podoficerowi.

Rozmawiano w dalszym ciągu o sprawach wojskowych, a gdy podoficer podjadł, wypił kilka szklanek piwa i zapalił dane mu cygaro, zwrócił się z laskawym uśmiechem do Wilhelma:

— Urodziny czy imieniny obchodzisz?

— Ani jedno, ani drugie, panie podoficerze, dostałem trochę pieniędzy z domu i ufetowałem wszystkich towarzyszków piwem.

— To ładnie, żeś nie skąpiec... huzar powinien być szczery, dobry, gościnnie...

— Ja też czuję się huzarem — zaśmiał się Wilhelm — i tylko takich zaprosilem.

— Hm... ale brakuje jednego — policzył — czy ma dyżur?

— Nie wiem... ale przecież świni śląskiej nie dopuszczę do huzarów.

— A... mówisz o Stiglitzu... moglibyście się raz już pogodzić... to dobry żołnierz, dobry jeździec.

— I ja to mówię — wmieszał się do rozmowy towarzysz, którego zastępstwo objął Jaśko, — Stiglitz jest dobrym kolegą i pragnie zgody z tobą Wilhelmie, sam mi to mówił.

— On może sobie pragnąć — zaśmiał się drwiąco — nawet się temu nie dziwię, bo każda małpa chciałaby żyć w braterstwie z ludźmi.

— No, no, daj spokój... on cię zmógł, ale też odcierpiał swoje, — dorzucił inny — po sprawiedliwości możecie się pogodzić. Czy nie tak towarzysze?

— Słuszenie!... Tak jest!... Podajcie sobie rękę! Wilhelm zerwał się z krzesła i wyciągając ku towarzyszom prawą rękę zawołał:

— Pierwej niech mi uschnie ta ręka! Niech mi ją odetną! jeśli ja podam ją temu podlemu Ślązakowi do zgody. Nigdy, przenigdy!

— No, no, uspokój się — przemówił podofi-

cer, pociągając go za ubranie, by usiadł — o ci idzie? co on ci zrobił złego? bo że cię poturbował to rzecz zwykła, zaczepiłeś go, a on był silniejszy.

— Ee, o tym głupim wypadku już zapomniałem — uśmiechnął się lekceważąco — ale on Ślązak, ja Niemiec, a Ślązacy nas gnębią, wypierają, wykupują naszą ziemię, a gdzie są tylko w małej większości, tam poniewierają nas Niemców! I wy chcecie, abym ja był w zgodzie ze Ślązakiem!? Nigdy!

— Wilhelmie nie przesadzaj — zaśmiał się jeden z huzarów — byłem już w tereyi i znam nasz kraj i naszą historję. Garść głupich, nieucywilizowanych Ślązaków nic nam zrobić nie może... Zechcemy tylko, zarzucimy ich czapkami każdej chwili. My, Niemcy, jesteśmy potężnem pierwszorzędnem państwem... Wszyscy drżą przed nami, cały świat u nóg naszych... i to jest wprost głupie i śmieszne, abyśmy tacy potężni i sławni mówili i myśleli o niebezpieczeństwie i zaczepkach liliputów śląskich.

— Ten prawdę powiedział!... Widać zaraz człowieka uczonego!... My Niemcy, boimy się tylko Boga i cesarza!... Głupstwo Ślązacy!

Wilhelm siedział chmurny, wreszcie rzekł:

— Ty Fryderyku ich nie znasz...

— Poco mi znać, cyfry mówią.

— Ale co z nimi robić, gdy nas lekceważą i poniewierają...

— Czy pies mój może mnie lekceważyć? — zaśmiał się Fryderyk — kijem go i koniec. Ja zostawiłbym Ślązaków w spokoju, a nasze wnuki będą ich w klatkach obwozili po świecie, jako ciekawe okazy barbarzyństwa.

— Ha, ha, ha... To doskonale... To wyborne...

A jeden z huzarów skoczył na środek izby i z ukłonem blazna cyrkowego zawołał:

— Moi państwo! Panowie i damy! W tej klatce Ślązak, zjada surową kurę z pierzem, mieszka w dziurze jak szczur, umie cokolwiek mówić, a liczy do dziesięciu na palcach...

— Ha, ha, ha... Dopiero mamy zabawę!... To znakomite!... Zaśmiać się można!

— No, Wilhelm, daj spokój Ślązakom — żartował jeden z nich, — bo pozbawisz mego wnuka łatwego zarobku.

— Mówcie sobie co chcecie — odezwał się Wilhelm, — ale co Ślązak, to Ślązak.

— Prawda — śmiał się były gimnazysta — co pajak to pajak, a co mucha to mucha i aby żyły pająki, muszą być i muchy.

Na tego rodzaju wesółych rozmowach przeszedł czas szybko, a gdy się rozchodzili z kantyny przed dziewięcią, wszyscy byli zadowoleni prócz ugaszczającego ich Wilhelma.

Wydał pieniądze, był przekonany że wszyscy

za postawione piwo podziela jego przekonania co do Ślązaków, a właściwie zwróca się przeciw Jaškowi i tym sposobem pozyska w sali czwartej sprzymierzeńców. Pierwotna bowiem jego niechęć do Jaška, najpierw przeszła po nieudanych zapasach w nienawiść, a teraz jedynym jego pragnieniem było upokorzenie i zdeptanie przeciwnika.

Pod jednym wszakże względem mylił się Wilhelm. Jego gorąca niechęć, namiętne oskarżenia, a zwłaszcza późniejsze drwiny ze Ślązaków usposobiły huzarów do lekceważenia Jaška, pochodzącego z rasy niższej, barbarzyńskiej, według słów usłyszanych.

To też skoro tłumnie weszli do sali czwartej i spostrzegli go piszącego, jeden z dowcipnisiów zawołał po cyrkowemu:

— Moi panowie! Oto ciekawy i nadzwyczajny okaz Ślązaka! Umie nie tylko mówić i rachować do dziesięciu, ale nawet pisać!... Oto jego pismo... — i wyciągnął rękę, by wziąć list zakopertowany.

Wśród głośnego śmiechu obecnych i pochwał, Jasiak rzekł surowo, chowając kopertę:

— Daj pokój ze żartami, nie jestem do nich usposobiony.

To ten, to ów dodał coś drwiącego, lecz Jasiak widząc ich podnieconych piwem, zmilczał i poszedł do swego łóżka.

Służba szwadronowa odbywała się dalej w manieżach, gdyż poczęły padać wiosenne deszcze, które wprawdzie zmywały pleśnie zimowe, ale utrudniały równocześnie ćwiczenia na wolnym powietrzu.

Jasiak i inni koledzy zauważyli, że Wilhelm zaczął ugaszczać nie tylko dozorcę sali, ale gefrajtrów i innych podoficerów.

Przypuszczano, że szuka względów przelożonych, aby po jesiennych ćwiczeniach być przedstawionym do awansu.

Nagle jednego dnia, zupełnie niespodziewanie kazał podoficer stawić się dziesięciu rekrutom w umundurowaniu od parady, a pomiędzy nimi i Jaškowi.

Tym i owym zrobił dość łagodne wymówki, ostrzeżenia, lecz Jaška tak starannie rewidował, iż znalazł dużo do zarzucenia, guziki nie dość błyszczwały, epolety i szamerowania były za żółte, płaszcz nie dość czysty, ostrogi miały plamy.

Podoficer nie tylko, że go surowo zląkał, ale za karę miał zamiatać salę przez cały tydzień i szorować podłogę przez dwie z rzędu soboty.

Wszystkich zadziwiła surowość podoficera, gdyż Jaško uchodził za wzór dbałości i czystości.

Jeden tylko Wilhelm powiedział obojętnie:

— Każdy Słazak jest brudny, podoficer miał słuszność.

Od tego czasu wizytacje ubioru, broni i przyborów końskich przynależnych do Jaśka, poczęły się często i w niezwykłych porach powtarzać i nie było jednego wypadku, aby nie znaleziono czegoś niewłaściwego. To guzik był oderwany to znów mundur splamiony, plamy na szabli, rdza na karabinku.

Podoficer przedstawił zaniedbanie Jaśka wachmistrzowi, a ten nadporucznikowi zastępującemu chwilowo rotmistrza. Jaśko otrzymał bardzo surową naganą i ostrzeżenie, że w przyszłości zostanie przykładnie ukarany. Wysilał się Jaśko nadzwyczajnie, by rzeczy swoje mieć w porządku, gdy inni odpoczywali, szli w pole, do wsi, Jaśko czyścił, polerował, oglądał swe rzeczy, byle uniknąć nagany i kar.

I inni towarzysze spostrzegli to prześladowanie Jaśka przez przełożonych, współczuli z nim i bacznie śledzili, jaki obrót weźmie sprawa.

Zapewne szło im też i o Jaśka, z którym, jako ofiarą samowoli i niesprawiedliwości sympatyzowali, ale szło im i o własną skórę, bo jak mawiali:

— Dziś uwzięli się na niego, jutro uweznią się na mnie.

Codziennie raniutko szli huzarzy do stajni,

wielkiego przewiewnego budynku, gdzie w klatkach oddzielonych drążkami, stały konie.

W stajniach przebywał na straży zawsze jeden huzar, który w kitlowej bluzie, z krągłą bez daszka czapeczką, przechadzał się tam i napowrót pilnując koni, a nocą i światła, latarnie bowiem paliły się całą noc.

Konie, jak w każdej kawaleryi musiały być bardzo starannie czyszczone, do tego stopnia, by potarłszy sierść konia białą rękawiczką nie zostało na niej brudu.

Czyszczenie to koni, zwłaszcza niespokojnych, narowistych, wymagało osobnej nauki; lecz rekruci po siedmiu miesiącach służby nauczyli się czyszczenia i rzadki bywał wypadek ukarania huzara, tak surowo od samego początku, była zalecana czystość konia.

Jaśko, który dbał o swój strój, na równi, jeśli nie więcej dbał o konia i dotychczas wizytujący przelożeni zawsze byli zadowoleni.

Jednego dnia właśnie huzarzy opuszczali stajnię i przystanęli przed strażą w bramie stajennej, gdy od koszar szybko podszedł podoficer dyżurny, zapowiadając wizytację koni.

Każdy pospieszył w stronę swego konia, oczekując wizytującego przy wejściu do klatki.

Każdy szwadron dzieli się na cztery plutony. W plutonie, w którym służył Jaśko było trzydzieści sześć koni.

Podoficer oglądał kolejno konie, temu zganil to, owemu kazał poprawić, tamtego złajał... Z kolei przyszedł do konia Jaśka, łagodnego szpaka. W milczeniu obejrzał grzbiet, nogi, spróbował czystość białą chustką i podszedł do szyi konia. Odwinął grzywę i krzyknął:

— A to co? To takie twoje czyszczenie psie śląski!

Jaśko podbiegł i ledwie własnym oczom mógł uwierzyć, widząc brudną plamę pod grzywą.

— Prawda... plama — bąknął zmieszany.

— Taki to porządek u ciebie — i zaczął straszliwie kląć i wymyślać, a zakończył: — jutro melduję cię do kary.

Ten nowy wypadek ogromnie zdziwił cały pluton huzarów i poczęli szeptać z niedowierzaniem:

— Stiglitz koń brudny... no, no, to coś nieczysta sprawa!

Tegoż dnia po obiedzie, gdy zawezwano Jaśka do wizytacyi w umundurowaniu do marszu, znalazł podoficer w zwiniętym płaszczu brak dwóch guzików.

Posypały się nowe kary i ledwie jedną kończył, zaczynał drugą.

Te nieustanne wizytacje, kary, nagany wywołały w Jaśku wysoki stopień rozdrażnienia. Mało jadł, źle sypiał, pobladł, schudł i różne rozpaczliwe myśli przychodziły mu do głowy.

Lecz w takich chwilach wspomnienie Marysi, rodziców, było dlań puklerzem, a przykreść położenia osładzało mu też współczucie huzarów z tego samego co i on plutonu.

Jednego dnia, gdy niespodzianie z dwoma towarzyszami wszedł do sali czwartej, zobaczył Wilhelma majstrującego coś około jego szafy.

Podpadł go jednym skokiem, pochwycił za kark, powlókł na swobodniejsze miejsce i po krótkim zmaganiu się rzucił o ziemię. Przysiadł mu piersi i zaczął bić i kopać z taką furją, iż ledwie mogli go oderwać towarzysze od leżącego Wilhelma.

— To on wala i niszczy mi wszystko, a potem denuncjuje, domyślałem się tego, a teraz złapałem go na gorącym uczynku.

Podszedł do szafy i wezwawszy kolegów na świadków, mówił:

— Wczoraj czyściłem mundur, buty, ostrogi, zobaczcie w jakim są stanie.

Wyjął buty, były splamione, na ostrogach widniała świeża woda; guziki, które powinny błyszczeć, były wilgotne.

Wilhelm wstawszy z podłogi wyszedł nie czekając zbadania rzeczy, tylko od drzwi krzyknął:

— Da ci podoficer za mój rozdarty mundur!

Huzarzy oglądali rzeczy, zgodzili się, że to świeże ślady i po chwili jeden z nich odezwał się:

— Wiecie, ja także widziałem jak Krug odpruwał guziki z płaszcza Stiglitz.

— A ja, jak powalał konia — zawołał drugi huzar.

— Widziałem, jak pluł na strzemiona i piaskiem osypywał pasy, — rzekł znów inny.

— Wiesz co Stiglitz — przemówił Fryderyk były gimnazista. — Ty zamelduj ten wypadek, skarż Wilhelma, a my ci zaświadczymy.

— Tak, tak, będziemy świadkami — zawolali — takiego lajdaka trzeba nauczyć.

W tej chwili wszedł podoficer, a za nim Wilhelm. Przełożony krzyczał już z progu:

— A ty psie śląski, zbroju, ty będziesz niszczył mundur cesarski! Jutro melduję wachmistrzowi, a dziś na ćwiczenia w umundowaniu do marszu.

— Według rozkazu pana podoficera — odpowiedział Jaśko wyprostowany, a po chwili: — Zarazem melduję się ze skargą na Wilhelma Kruga.

— Ty ze skargą na Kruga — śmiał się drwiąco — taki fleituch nieporządny, niepoprawny, tyś mu butów nie wart czyścić, wole śląski... Obejdzie się bez twej skargi.

— Melduję się pokornie panie podoficerze ze skargą na Wilhelma Kruga — powtórzył Jaśko, nie zmieniając tonu i postawy.

Podoficer chwilę się zastanowił, wtem posłyszał wśród huzarów szept cichy:

— On ma prawo.

— Milczeć! — wrzasnął. — Chciałem ci oszczędzić nowej kary i dlatego odradzałem ci, ale chcesz, to spróbuj... O co skarga?

— Niszczy wilgocią ostrogi, strzemiona, plami mundur mój, odpruwa guziki, brudzi konia i pasy.

— Bezczelne kłamstwo! — krzyknął pobladły Wilhelm.

Podoficer pokręcił głową i rzekł tonem perswazyi:

— Stiglitz uważaj! To są ciężkie przewinienia... może być źle z tobą.

— Panie podoficerze, melduję się pokornie — upierał się Jaśko, zachęcony znakami przez swych dobrowolnych świadków.

— Hm... dobrze, zapiszę ciębie, bylebyś nie pożałował tego — a spostrzegłszy zmieszanie Kruga, dodał na odchodnym: — daruję ci karę, możesz wyjść na ćwiczenia w zwykłym mundurze.

— Wedle rozkazu pana podoficera! — odpowiedział Jaśko.

Wtem zabrzmiała trąbka, porwali się huzarzy i szybko wyszli.

Gdy po ćwiczeniach wracali do sali, szepnął Fryderyk Jaśkowi:

— Ani słowa o świadkach, dopiero później.

— Ale wy trzej staniecie.

— Słowo honoru, będziemy ci świadczyli, on przecież każdemu z nas może to samo zrobić.

Wilhelm, po chwilowym strachu, nabral pewności siebie i drwił:

— Nauczę cię Ślązaku oczerniać Niemca, oślepniesz w ciemnicy.

Jaśko pewny już swego, milczał.

Wieczorem poszedł Wilhelm do kantyny, a około dziewiątej godziny wezwał starszy podoficer Jaśka na kurytarz i przemówił:

— Słuchaj Stiglitz, radzę ci po dobremu, cofnij skargę na Kruga, bo będzie źle z tobą.

— Nie mogę już cofnąć, jestem zapisany.

— Już ja to przerobię... cofasz?

— Nie mogę.

— Tak?... Zobaczymy... precz ośle!

Jaśko stanął do parolu błądy, z biciem serca, a ze względu na doniosłość skargi na Kruga przyszedł sam rotmistrz, i gdy z kolei podszedł do Jaśka i wpił w niego przenikliwie oczy, ten drżał jak liść osiki.

— Znowu Stiglitz!? — zawołał zgryźliwie — tego za wiele! No, nauczę ja ciebie... Kto go podał? — zwrócił się do wachmistrza.

— Podoficer Finke za bójkę z Krugiem, i on sam staje ze skargą na Kruga.

— On ze skargą — zaśmiał się rotmistrz

wzgardliwie — to mi się podoba... Hej, Finke, jak było?

— Wilhelm Krug zameldował mi po wczorajszym obiedzie, że Johann Stiglitz rzucił się niespodzianie na niego, powalił o ziemię, bił go i rozdarł mu mundur.

— Taki ty zuch — zmierzył rotmistrz z pasyą oskarżonego — no, już ja ukróczę twoją butę śląską... Gadaj, jaka to skarga, ty zakąło szwadronu!

— Oskarżam Wilmelma Kruga, że niszczy mi strzemiona i ostrogi wilgocia, plami mundur mój, odpruwa guziki od płaszcza, brudzi konia mego i pasy.

— Ho, ho, aż tyle — zadrwił — a gdzie dowody?

— Melduję pokornie panu rotmistrzowi, że nie tylko wczoraj sam widziałem, jak to robił, ale mam trzech świadków — wymienił nazwiska.

Podoficerowie, słysząc o świadkach, zamienili spojrzenie ze sobą, a Wilhelm pobladł.

— Hej! Zawołać ich tutaj! — rozkazał rotmistrz — a ty Stiglitz, jeśli to nieprawda, zginięsz w areszcie... Hm... hm... ładne porządki w tym plutonie, co wachmistrzu? — spojrzał zjadliwie na niego — o, a podoficerowie są doskonali... już ja was nauczę!

Nigdy jeszcze nie widziano rotmistrza tak

złym i oburzonym, i wszyscy obecni żołnierze, winni czy niewinni, pobledli z obawy.

Przyprowadzono świadków, a gdy ci przy indagacji powtórzyli co widzieli na własne oczy, rotmistrz z żółtawego zrobił się czerwonym, trzasnął w szablę i krzyknął:

— A łajdaki, to taki dozór! taka pilność!... Wachmistrz!... Z tobą rozmówię się osobno... podoficerów Finke i Majer na cztery dni aresztu, co drugi dzień post o chlebie i wodzie i przenieść ich do drugiego plutonu. Tę samą karę tylko sześciodniową mają dozorca sali i gefrajter! Rozumiesz?

— Wedle rozkazu pana rotmistrza.

— Hej! Krug, co masz na swe usprawiedliwienie?

— Ja? Ja robiłem mu na złość, bo on mnie bił.

— To żadna wymówka, od tego skarga... czy nie wiesz, że to rzeczy rządowe, święte! Wachmistrz! Zamknąć Kruga... kara tymczasowa... tydzień więzienia celkowego, co drugi dzień post... po tygodniu zameldujesz mi o nim.

Po chwili milczenia zwrócił się do Jaśka:

— Masz jakie kary?

— Miesiąć w koszarach bez wychodnego po dziewiątej i areszt w niedzielę.

— Daruję ci te kary... A wy — spojrzal na trzech świadków — za to, że widzieliście Kruga,

a nie meldowaliście, po dwa dni aresztu. Słyszysz? — spojrzal na wachmistrza.

— Wedle rozkazu panie rotmistrzu.

— Skończyłem — skinął ręką, aby rozeszli się do sal — wachmistrz do mnie.

Jak wachmistrz został ukarany, tylko domyślali się żołnierze, gdyż przez cztery niedziele i święta, które przypadają, wachmistrz nie opuszczał koszar wieczorami.

Tegoż wieczoru zastępcy ukaranych podoficerów objęli urządowanie, a Jaśko przyniósł z kantyny dla swych świadków piwa i wędlin.

VIII.

Jaśko i rekruci ukarani przez rotmistrza cieszyli się nadzieją, że teraz zmienia się stosunki. Przyjdą inni przełożeni i bez powziętych uprzedzeń będą oceniali podwładnych.

Omylili się.

I mianowani zastępcy i dawni podoficerowie szwadronu współczuli z Wilhelmem Krugiem.

On, siedzący w ciemnicy, był dla nich ofiarą zmywy, jakiegoś spisku. Wszak ten Krug był tak dobry, gościnny, zawsze miał otwartą kieskę, by uraczyć przełożonych... a teraz cierpi.

Odezwała się też w nich bezwiedna wspólność narodowa i niezupełne uświadomienie, że w tym wypadku stała się jakaś krzywda Niemcom.

— Szkoda Kruga — mawiali między sobą — jakiś podły Ślązak wziął nad nim górę.

— Niedość, że dwukrotnie rzucił nim o ziemię, ale zmusił rotmistrza do surowego wyroku.

— Biedny Krug! A taki był przemyślny,

tak zrećźnie umiał zgniebić swego wroga... taki był sprytny...

I zamiast spodziewanej ulgi, trwało w dalszym ciągu pewnego rodzaju prześladowanie Jaśka.

A bezpośredni przełożony może zawsze i wszędzie dokuczyć podwładnemu.

I znów zaczęły się nagle wizytacje, przeglądy porządków i rzeczy, konia i przyborów.

Wprawdzie nie było większych przestępstw, wprawdzie nie podawano go do kar, ale dokuczano mu narzucaniem robót nadobowiązkowych, dopatrywaniem winy nawet tam, gdzie jej nie było.

Ten stan rzeczy pogorszył się jeszcze, gdy Wilhelm wyszedł z więzienia i udawał ofiarę patriotyzmu niemieckiego i podstępnej zdrady Ślązaka.

Jednego dnia Jaśko po powrocie z manewrów dalszych zaprosił Fryderyka, z którym z całego plutonu żył najlepiej, do kantyny na piwo.

— Wiesz kamrat — mówił rozczulony — myślałem, że jak wyjadę w pole, na świat, zobaczą rolę, zboże, ptaki, drzewa, że mi raźniej będzie na sercu.

— No i cóż?

— A tu tem większa żalność ogarnęła mnie za moją ojcowizną.

— Ii, głupstwo... za dwa lata wrócisz.

— Dobrze ci gadać, ale dzień w dzień rukować to w umundurowaniu do marszu, to do parady... znów stać wyprężonym, gdy inni odpoczywają, i mieć zawsze prześladowców nad sobą... to nie jest głupstwo!

— Hm... głupstwo nie jest, to prawda; ale że ty głupi, to wiem.

— Ja?... i dlaczego?

— Najpierw powiedz mi, masz co pieniędzy?

— No, jeszcze ze trzydzieści marek.

— To teraz powtórzę ci w głos: głupi jesteś jak stołowe nogi.

— Albo co?

— Słuchaj... Krug kupił sobie podoficerów, bo nie żałował poczęstunku... miejże i ty rozum. Zaprosz jednego, drugiego na piwo, a ustana prześladowania.

— Hm... a może ty dobrze radzisz? Tylko jak wziąć się do tego?

— Prosta rzecz... zaprosz gefrajtera do kantyny... przyjdzie podoficer, poprosz go do stołu... i koniec.

— Słuchaj kamrat — rzekł Jaśko z ociąganiem — ja nie umiem ich prosić, ugaszczać, gadać za sobą... zrób mi tę grzeczność, bądź i ty.

— Ja? — zaśmiał się — ależ ja nie mam feniga, tyle ile ze żołdu.

— Furda pieniądź... jak proszę, to i płacę... ale bądź.

— Hm... kiedy chcesz, to i będę.

Przez kilka dni chodzili codziennie do kantyny, ugaszczał Jaśko dozorcę sali, gefrajtra, a raz nawet młodszego podoficera. Tego poprosił Fryderyk, by nazajutrz przybył do kantyny ze starszym podoficerem, jako kantyniarz zabił wieprza i były świeże kiszki i kielbasy.

W oznaczonym czasie czekał Jaśko i Fryderyk na przybycie zaproszonych gości. Weszli i z miejsca kazali dać po dwa kieliszki koniaku, które i Jaśko wypić musiał, jako był gospodarzem, a Fryderyk wymówił się od koniaku bólem głowy. Po jedzeniu rzekł podoficer z uśmiechem:

— Jeśli teraz napiję się piwa, zetnie się tłuszcz w żołądku, trzeba by coś gorącego wypić.

— A możeby araku? — poddał drugi podoficer.

— W samo centrum trafieś kamracie — zaśmiał się — każ Stiglitz dać trzy araki, bo wypijesz z nami.

Jaśko pił już wprawdzie piwo, czuł, że go rozbierają poprzednie dwa koniaki, ale wobec takich powag sprzeciwić się nie śmiał i znów wypił kieliszek.

Poczuł obieg gorętszej krwi, co mu zrobiło przyjemność, patrzył jakoś jaśniej, weselej na świat, nawet obawa i szacunek wobec dwóch siedzących podoficerów prawie znikły.

Kazał podać piwa, cygar, i wśród rozmowy starszy podoficer spytał z łaskawym uśmiechem:

— Stiglitz, rekrutem już nie jesteś od lata, jakże ci się podobali huzarzy?

— Lubię konia, lubię mundur i szablę, ale okrutnie mi dopiekło prześladowanie starszych.

Podoficerowie uśmiechnęli się do siebie, a Fryderyk trącił Jaśka nogą, by powstrzymać zwierzenia, czego ten wcale nie zauważył.

— No, no, jesteś Stiglitz szczery chłop, podobasz mi się... powiedz mi teraz, jakie było prześladowanie?

— Panie podoficerze, jak mi Boga przy skonaniu, tak ani na jedną karę nie zasłużyłem po sprawiedliwości.

— Słuchaj Stiglitz — rzekł młodszy podoficer — już za te same słowa powinienem zameldować cię wachmistrzowi, bo jeśli tylko byłeś ukarany, to już sprawiedliwie i słusznie.

Wzmianka o zameldowaniu podziałała na Jaśka, jak szklanka zimnej wody, i odpowiedział spokojnie:

— Ja wiem o tem panie podoficerze, i według praw wojskowych to było sprawiedliwie, ale... — zawahał się.

— Mów Stiglitz — zachęcał starszy podoficer — przy piwie wolno.

— Wszystkiemu winien ten Krug... tak mi dokuczał, tak deptał po nogach, tak mi dojadł

do żywego, że choćbym był z kamienia, nie wytrzymałbym.

— No, no — zaśmiał się starszy podoficer pijąc piwo — nareszcie trafiłeś na twoją prawdziwą winę.

— Ja? — zdziwił się szczerze.

— Każ dać piwa i cygar — rozporządzał starszy podoficer — a ja ci wytłomaczę wszystko.

— Zaraz... hej kantyniarz! Cztery piwa i cygara... Teraz słucham!

— Wiesz Stiglitz, że jak do Afryki przyjedzie Niemiec, nie już huzar, ale prosty infanterzysta, to król afrykański ściąga mu sam buty, a królowa przygotowuje kąpiel dla niego.

— O Jezu! Co pan podoficer mówi!? — zawołał Jaśko pelen podziwu.

— Prawdę Stiglitz. Uważ teraz, jak nas Niemców szanują i boją się, kiedy sam król takiemu piechurovi buty ściąga, a królowa usługuje.

— A wiesz Stiglitz — wmieszał się do rozmowy młodszy podoficer — mówił mi mój znajomy, że jeśli kto chce mieć dobre miejsce wygodne we wagonie za granicą, dość mu powiedzieć: jestem Niemcem, a wszyscy się ustępują, a Francuzi tak uciekają z wagonu, że raz jeden oknem wyskoczył, bo ścisk był we drzwiach.

Zaśmiali się wesoło wszyscy, a Jaśko poczuł w sobie dumę, że i on należy do Niemców, jest huzarem.

— Czy rozumiesz teraz, że byłeś winien? — spytał starszy podoficer.

— Nie a nic!

— Oj barania głowo! — uśmiechnął się pobłażliwie — Niemiec byłby już zrozumiał... Czy wiesz, do jakiego narodu należy Krug?

— Ano, Niemiec.

— A ty?

Jaśko zawahał się i odpowiedział ciszej:

— Ja Ślązak... ale... pruski.

— Prawda, że masz ten honor być pruskim, nawet służysz w huzarach, ale zawsze Niemiec jest lepszy od Ślązaka. Rozumiesz teraz?

— Hm... to niby jak?

— Niemiec to najstarszy pomiędzy wszystkimi narodami na świecie, niby generał między gemajnymi... A ty, jak Krug wyznał, zacząłeś z nim szukać zwady, biłeś go, skarżyłeś na niego, został za ciebie surowo ukarany, a nam wszystkim zaszkodziłeś.

— Cóż miałem robić — rzekł Jaśko skruszony — nie mogłem znieść dłużej.

— A nie było twoich przelożonych? — zaśmiał się ironicznie — było pójść ze skargą do nas, bylibyśmy go upomnieli, zrobili zgodę między wami, i byłoby dobrze, cicho, a ty nas, twoich przelożonych, opuściłeś, lekceważyłeś! Czy nie tak, Stiglitz?

— Prawda, panie podoficerze — westchnął Jaśko — cóż mam teraz zrobić?

— Staraj się o naszą łaskę.

— Byłem wiedział jak, a zrobię wszystko — zawołał z zapalem.

— Każ dać piwa, bo szklanki próżne — rzucił młodszy podoficer.

— Wiecie panowie podoficerowie — odezwał się Fryderyk — ja poznałem bliżej tego Ślązaka, z niego dobry chłop, tylko ciężko głupi. Już ja go poprowadzę i ręczę, że będziecie zadowoleni.

— Hm... hm... zobaczmy.

Po chwili młodszy podoficer spytał Jaśka tonem łaskawym:

— A ty z której okolicy?

— Z Radoń, z pod Opola. Ojciec gospodarzem.

— I dobrze mu się wiedzie?

Fryderyk trącił Jaśka nogą, aby był ostrożny, a ten odsunął tylko swoją nogę i mówił, rad, że może o swoich pogadać:

— Ziemię mamy dobrą i gospodarstwo niczego, a ojciec zapobiegliwy.

— Ho, ho, to ładnie... a swoich pieniędzy masz cokolwiek?

— Skądżeby wziął? — zaśmiał się Fryderyk — czasem coś wyprosi i tyle.

Jaśko podniecony trunkiem, rozgadany, zawołał:

— Co nie miałbym mieć? Uskładałem sobie niewiele, ale zawsze sto pięćdziesiąt marek.

Podoficerowie spojrzeli na siebie, a młodszy z nich spytał:

— A te pieniądze masz u siebie?

— Ej nie, albo ja głupi roztracić w wojsku, przydadzą mi się później.

— Hm... to źle. W huzarach zawsze pieniądze się przydadzą, a w domu zarobić możesz z łatwością.

— Radzę ci, każ sobie przysłać — dorzucił starszy podoficer — na wielkich manewrach będą ci bardzo potrzebne.

— Co to, to już nie — zaśmiał się — mam trochę pieniędzy u siebie, mam żold, ubranie, jedzenie... wystarczą mi do końca służby.

Wszczęli rozmowę o innych przedmiotach i wkrótce wyszli razem.

Gdy Fryderyk szedł ku sali czwartej sam na sam z Jaśkiem, rzekł do niego z wymówką:

— Głupi jesteś jak but... po co rozgadawałeś im o ziemi, gospodarstwie, a przedewszystkiem o swoich pieniądzech?

— Albo co? — uśmiechnął się.

— To, że jeśli chcesz mieć spokój, pisz zaraz po sto pięćdziesiąt marek.

— Ani myślę, to pieniądze na mój ślub.

— A ja ci mówię, pisz. Kiedy oni raz się dowiedzieli, że masz pieniądze, już ci nie po-

puszczą, póki z nimi nie stracisz. Ja ich znam.

— Nie napiszę — upierał się Jaśko. — Mam dwadzieścia dwie marki, spróbuję zatkać niemi ich gardło... a nie, to nie!

— A co zrobisz później?

— Choćbym miał, jak oni mówią, zgnieć w areszcie, a moich pieniędzy nie dam i koniec.

— Zobaczymy... zobaczymy... Ty ich nie znasz... już oni wydobędą z ciebie te pieniądze.

— Otóż nie dam, nie dla nich pracowałem.

— A poco mówileś? Czy nie trącałem ci nogą? Wziąłeś mnie na piwo, abym ci pomógł, zrobiłem swoje, ostrzegałem. I dlaczego się wygadałeś?

— Bo głupi byłem — mruknął zły.

— Ja ci to poprzednio powiedziałem, a ty teraz dopiero — zaśmiał się.

— Ee, będzie co ma być, a pieniędzy nie dam — zawołał Jaśko z fantazją i weszli do sali czwartej.

Począwszy od tego wieczoru było Jaśkowi względnie dobrze. Wprawdzie ganiono go, łajano za to i owo, ale nie karano. Miał spokój z wizytacją, chyba że cały pluton, do którego przynależał, był poddany rewizji ubrań, rzeczy, przyborów.

Co prawda, Jaśko dość często ugaszczwał podoficerów w kantynie, skąpiąc dla siebie we

wszystkiem, na zażądanie jednak miał zawsze pieniądze na piwo i cygara dla przełożonych.

Znikł niepokój, smutek, obawa, był rzeźki, wesoly, przyjacielski dla wszystkich; nie zważał na docinki Wilhelma, obracając je w żart, a nawet kilka razy zwrócił jego uwagę na drobne usterki w ubraniu, co zdziwiło znających nienawisć Wilhelma do Jaśka.

Raz w przystępie dobrego humoru rzekł do Fryderyka:

— A co kamrat, czy trzeba pisać do domu po pieniądze?

— Ile masz jeszcze w kieszeni?

— Hm... coś więcej, jak trzy marki.

— Zaczekajże Stiglitz, aż te wydasz — uśmiechnął się — i jeszcze raz radzę ci, pisz po pieniądze.

— Ani myślę... ja i tak dużo straciłem, a inni nie płacą, chociażby ty sam.

— Ja, inni — zaśmiał się — my swojacy, my Niemcy... znamy się ze sobą jak lyse konie, ale ty Ślązak, obcy, nie nasz brat.

— Iii, zjeść mnie nie zjedzą — udał wesołość — a pieniędzy nie dam.

Jednak po tej rozmowie zasepił się i postanowił oszczędzać się jeszcze bardziej, oddać cały żold na poczęstunki przełożonych, byle dłużej cieszyć się laską podoficerów.

Taki plan powziął, lecz spotkał go wielki

zaszczyt, którego mu zazdrościli inni towarzysze, oto gdy byli na piwie w kantynie ze starszym podoficerem, wszedł do szynku sam wachmistrz i rozglądał się, gdzie sięść.

Poskoczył podoficer i prosił usilnie, by przysiadł się do ich stołu, a na Jaśka mrugnął, aby nie żałował pieniędzy.

Wachmistrz pijał tylko słodką wódkę, kilka kufli piwa, a do poduszki czerwone wino grzane z korzeniami. A tak umiał zachęcić, że podoficer i Jaśko pili te same trunki, w tym samym porządku.

Wachmistrz rozmawiał tylko z podoficerem przez cały wieczór, pozwalając Jaśkowi słuchać, no i żądać od kantyniarza wybranych przez siebie napojów.

Przy samym końcu, przed wychodnem, zwrócił się jednak do Jaśka, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Ty głupi chłop, ale dobry.

Podoficer, słysząc te pochwały, dodał:

— Pan wachmistrz ma rację.

Gdy przyszło do placenia, pokazało się z rachunku, że Jaśko nie ma tyle pieniędzy; brakło mu jednej marki i pięćdziesiąt fenigów.

— Kto nie ma, ten nie częstuje wachmistrza samego — zawołał kantyniarz oburzony.

— Nie wiedziałem, że tak drogo... jutro zwrócę.

— Do jutra, nie dłużej... Oh, ci Słazacy zawsze żyją bez rachunku — uśmiechnął się lekceważąco.

Z wielkim trudem udało się Jaśkowi pożyczyć od towarzyszków dłużną sumę w kantynie, i to na rachunek przyszłego żołdu.

W kilka dni później podoficer spotkawszy Jaśka w kurytarzu, rzekł uprzejmie:

— Napilbym się piwa... chodź!

Zmieształ się Jaśko i odpowiedział cicho:

— Nie mogę panie podoficerze.

— Co? Chory jesteś?

— Nie, tylko zabrakło mi pieniędzy.

— Brakuje!?... Ach, jaki ty głupi — odwrócił się i poszedł.

I od tej pory poczęły się surowsze naponienia, ostrzejsze nagany, grożenie karami.

Napróżno starał się Jaśko, gdyż przelożony, bezpośredni zwierzchnik, jak tylko zechce, znajduje plamę i na brylancie najczystszy, a cóż dopiero na podwładnym huzarze.

Z dnia na dzień pogarszało się położenie Jaśka. Musiał czyścić wychodki, szorować podłogi, zawracano go kilkakrotnie do czyszczenia konia, kazano mu coraz częściej stawiać się w niezwykłym na czasie umundurowaniu, w którym zawsze znaleziono coś karygodnego.

To życie pełne niepokoju, trwogi, pilnowania się na każdym kroku, stało się męką dla Jaśka,

zwłaszcza że już był zakosztował swobody i spokojności.

Męczył się, martwił, gryzł, pracował nad siły i czuł się wyczerpanym, zgniecionym, zdeptanym.

Stan ten pogorszył się jeszcze, gdy Wilhelm otrzymał zasilek z domu i począł ugaszczać przelożonych.

Tego samego dnia dozorca sali podał Jaśka do kary, jako niepoprawnego w utrzymaniu porządku na swej półce.

Nadporucznik, który zastępował czasowo rotmistrza, ogłosił:

— Ty Stiglitz od urodzenia nie masz zmysłu do porządku jako Słazak, zamiast jednej godziny czyszczenia będziesz miał aż do poprawy po dwie, może się nauczysz.

Kary pod zimę, gdy huzarzy byli w koszarach, a ćwiczenia na koniach odbywały się w maneżach, zaczęły się powiększać.

Nie było tygodnia, aby Jaśko nie był karany lżej lub ciężej, a Wilhelm patrząc na zmizowanego i nieszczęśliwego Jaśka, zacierał ręce, uśmiechał się złośliwie, mówiąc:

— Teraz mu ciepło... pozna co to zaczepiać Niemca.

Życie Jaśka stawało się tak ciężkiem i gorzkiem, że począł spoglądać z przyjemnością na karabinek... Jedna chwila... pociśnie cyngiel...

i będzie miał spokój. Już ani podoficer, ani wachmistrz, ani sam rotmistrz nie będą go ciągali, nie będą wymyślali, ani karali.

Jednego wolnego popołudnia w niedzielę, Jaśko siedząc w ciemnej sali, nie mógł się oprzeć pokusie i wziął karabinek, oglądając go starannie. Uśmiechał się na myśl, jakie miny zrobią jego wszyscy przełożeni, gdy on im się wymknie na zawsze. Zginie przedmiot ich prześladowań, i jak oni będą się złościłi, wściekali... Chcieliby go podać do kary, ale jego już niema, co tu robić? stoją bezradni.

Fryderyk, który wrócił z przechadzki, dostrzegł karabinek i minę Jaśka. Zbliżył się do niego, a kładąc mu rękę na jego ramieniu, rzekł dobrotliwie:

— Stiglitz, czy zwaryowałeś?

— Albo co?

— Dlaczego trzymasz w ręku karabinek? Chcesz się zastrzelić?... Zrobisz tem największą przyjemność Krugowi.

— Ee, wszystko mi już jedno.

— Powieś karabinek... a teraz pogadajmy rozsądnie... Chodź na kurytarz, tam nas nikt nie podsłucha.

Jasiek automatycznie był posłuszny, zawiesił karabinek na swem miejscu i poszedł za Fryderykiem.

— Stiglitz — przemówił po chwili — co ci po pieniądzach, jak umrzesz?

— Zostaną ojcu, przydadzą mu się — odpowiedział chmurny.

— A co dla niego ważniejsze, twoje życie, czy sto pięćdziesiąt marek?

— Także pytanie — oburzył się — ojciec dałby za mnie tysiąc albo i więcej, a cóż dopiero matka — chciał powiedzieć Marysia, ale się wstrzymał.

— Otóż Stiglitz, całe to dokuczanie i prześladowanie ciebie, a widzimy to wszyscy, pochodzi z twego głupiego gadania przed podoficerami, że masz coś uskładanego.

— Ale... tak ci się zdaje — odpowiedział zniechęcony — choćbym ich ozłocił, już oni dla mnie zawsze będą źli.

— Głupi jesteś — zaśmiał się — czy nie mówiłem ci zaraz po twojem wygadaniu się, że te pieniądze musisz z nimi stracić. Gdybyś był wcześniej to zrobił, byłbyś dziś wesoly i szczęśliwy.

— Myślisz? — spytał z niedowierzaniem.

— Ależ pewny jestem... W dodatku Wilhelm ich po tobie ugaszczal i on ich tak dobrze usposobił dla ciebie.

— Niechże on przepadnie — zaklął.

— Tu gniewy nie pomogą, mówię ci prawdę, pisz dzisiaj do domu.

— Hm... pisać... a jak ojciec odmówi? Pożądaj pieniędzy, bo wie, że stracę, cóż zrobię?

— Zawsze spróbuj... hm... a nie masz kogo, ktoby przemówił za tobą?

— Mam! — zawołał uradowanym głosem.

— Któż to taki?

— To moja tajemnica.

— No, przyznaj się, dziewczyna? co?

— Alboż to grzech, jeśli się z nią ożenię?

— Tego nie mówię i powiadam ci, niema jak dziewczynę mieć posłem, ta zawsze zwycięży... Czy to twoja narzeczona?

— Jakże myślisz?... do ojców nie posyłałbym kochanki, tylko narzeczoną.

— To i pisz.

— Dobrze, byłem miał czas wolny.

I napisał Jaśko list do rodziców, a gdy nie nadeszła odpowiedź w czasie obliczonym przez niego, wysłał list do Marysi.

IX.

W Leszczyńcach u Byliców kończył się obiad.

W ciepłej izbie było gwarno i wesoło. Dwunastoletni Stach opowiadał młodszemu braciškowi z wielkim zapalem o rozkoszach ślizgawki, i artyzmie niektórych kolegów ze szkoły w Radoniach, w sztuce ślizgania się t. z. kowala i zegara. Chciał mu nawet metodą poglądową na podłodze unaocznic ten sposób ślizgania, ale nie pozwoliła na to matka i musiał się zadowolic tylko słowami.

Bronia znów przekomarzała się z Marysią:

— Zaś wiem, że o Jaśku nie wolno mi wspominać przed ludźmi, ale powiedzcie mu o tobie jak wróci nikt mi nie zabroni.

— Ciekawa rzecz co mu powiesz? — zaśmiała się Marysia.

— Chociażby to, że z Wickiem cały wieczór tańczyłaś.

— Alboż mi nie wolno?

— Wolność, wolno, ale na miejscu Jaśka nie pozwoliłabym na szeptki i śmiechy.

— Tobie zawsze się coś upatrzy — odpowiedziała nachmurzona — nie byłabyś tak śmiała, żeby tatuś tu byli.

— Otóż właśnie, powiedziałabym przy tatu-siu, że Jasiek bieduje i męczy się na obczyźnie, a narzeczona baluje.

Na podwórzu począł pies łańcuchowy silnie ujadać.

— Ktoś idzie — zawołała Bronia i poskoczyła do okna. Ciepłą ręką starła szron ze szyby zamarznętej, spojrziała i rzekła: — Idzie do nas listowy... a może dla ciebie Maryś jest wiadomość?

W tej chwili otwarły się drzwi od sieni, buchnęła para z izby ogrzanej, i wszedł listowy:

— Dzień dobry...

— Dzień dobry — odpowiedziała Bylicowa — a macie co do nas?

— Jest tu list do waszej córki Marysi — i otwierał torbę.

Marysia zaczerwieniona z radości już stała przy nim, a Bronia mówiła ze śmiechem:

— Wiedziałam, że do ciebie Maryś... strasznie pamiętny ten Jaśko.

— Bronia! — upomniała ją matka.

— Już ani słowa — zasłoniła usta ręką.

Listowy wyszedł, a Maryś rozciawszy kopertę, podeszła z listem do okna i jęła czytać.

— Szczęśliwa ta Maryś — westchnęła Bro-

nia — żebym ja też choć malutką karteczkę dostała z poczty.

Tymczasem Marysia odczytując list, to bladeła, to czerwieniała, co widząc matka spytała:

— Maryś, a co pisze?

— Zaraz, tylko skończę — i dwie wielkie łzy spłynęły z jej oczu.

— O Jezu, cóż się stało? Chory, czy co? — i podeszła do córki.

Umilkli wszyscy w izbie, otoczyli Marysię z ciekawością, a ta przy końcu listu rozplakała się w głos, i ocierając łzy fartuszkiem, drugą ręką podała list, mówiąc poprzez łzy, z tłumionem łkaniem:

— Czytajcie sami matusiu... ja biegnę do Szczyglów.

— A tobie co strzeliło do głowy! — zawołała z gniewem — chcesz siebie i nas podać na pośmiechowisko? Ani mi się waź! — Czy nie widziałas jaka Szczyglowa harda?

— Wszystko mi jedno — odparła płacząc cicho.

— Tobie może, ale nam nie — rzekła podrażniona, trzymając list w ręku.

— Wpierw przeczytajcie matusiu?

— A choćbym sto razy czytała, to powiem ci nie i nie... alboż on z tobą po słowie? Czy nie ma on ojców — mruknęła i zabrała się do czytania listu.

Dzieci obstały ją dokola, a Marysia i Bronia śledziły poruszenia twarzy matki.

Najpierw zniknął gniew i zawziętość, twarz stała się łagodną, wreszcie w oczach zaszklily się łzy, westchnęła głęboko, spojrzała ukradkiem z współczuciem na Marysię i skończywszy otarła oczy mruczając:

— Biednyż, on biedny... — i głośniejsz, z pewnem zniecierpliwieniem — cóż Maryś tak stoisz i beczysz!... Ubieraj się żywo... a umyj się, uczesz... weź tę nową granatową i ciepłe pończochy... niema co, musisz iść.

Maryś ucałowała rękę matki i szybko poszła do drugiej izby.

Dzieci wpatrywały się w matkę czekając wyjaśnienia, a Bronia najśmielsza, spytała:

— Matusiu, a co tam Jaśkowi?

— Ee, daj mi spokój! Co ma być?... Dokuczają mu Niemcy, bo Ślązak.

— Biedny Jaśko — westchnęła dziewczyna.

— O juścić że biedny, i nie mieliby starzy sumienia, aby mu nie posłali pieniędzy.

— To Marysia wedle tego idzie?

— A ty myślałaś, że co?... Przecież nie po to, by pokłonić się Szczygłowej i prosić o syna...

— Zaś teraz rozumiem — szepnęła dziewczyna.

— Co ty smarkata rozumiesz — zrzędziła

matka — i mnie i Marysi żal, bo zawsze to Ślązak.

— Hm... ja wiem.

— Nic nie wiesz — zawołała — i daj mi spokój... a piśnij co przed ludźmi... już ja cię nauczę.

Poszła do drugiej izby, w której ubierała się Marysia. Dopilnowała aby wszystko było czyste i świeże na niej, poprawiła uczesanie, przypomniała o chusteczce do nosa, mówiąc:

— A nie becz tam głupia... trzymaj się, bo jeszcze pomyślą, że go miłujesz, a ty idziesz tylko dlatego, że on Ślązak, i Niemcy znęcają się nad biedakiem.

— Matusiu... a może oni go zameczą? — i łzy świeże spłynęły z jej oczu.

— Iii... co znowu? Katy są oni, ale we wojsku porządek jest, są starsi i pilnują sprawiedliwości... nie bój się, nie zginie.

— I wy matusiu przekonani, że tak jest jak mówicie?

— Sprawiedliwie ci mówię... alboż to mało naszych było we wojsku i mało się nasluchalam.

— To już idę matusiu — ucałowała jej rękę.

— Idź z Panem Bogiem, a wracaj przed wieczorem... będę cię czekała.

Wyszła z domu, owionęło ją czyste mroźne powietrze, a zaledwie uszła kilka kroków posłyszała wołanie:

— Maryś! Maryś!

Odwróciła się, matka w narzuconej chustce stała na progu:

— Maryś, a list masz?

Dotknęła się gorsu, gdzie list schowała:

— Nie zapomniałam matusiu.

— A nie rozpinaj futerka w drodze!

— Dobrze, matusiu.

— Idź z Panem Bogiem, a wracaj.

— Zostańcie z Panem Bogiem.

Jak oko sięgnęło, ziemia była biała, a gdy słońce wyjrzało z chmur, tak lśniła i błyszczała, że aż oczy trzeba było zmrużyć, tyle światel zapalało się dokoła.

W dali czerniał pas lasów, a co bliższe gaje i drzewa, choć osypane śniegiem, sterczały z białego calunu nagie i smutne. Zdawało się, że ku niebu wyciągają rozpaczliwie ramiona, błagając o ratunek.

Marysia na razie szła żwawo, skrzypiał śnieg pod jej bucikami, orzeźwiał mroźny powiew wiatru, a w myśli miała jedno pragnienie, jeden cel, iż Jaškowi trzeba pomódz i to jak najprędzej.

Do pewnego stopnia czuła się dumną i pochlebiali jej, iż Jaško udał się do niej listownie i że za jej przyczynieniem uzyska on pomoc i ratunek.

Biedny Jaško, pewno mu jest bardzo źle,

kiedy żąda swoich pieniędzy... i co ci Niemcy z nim robią? jak mu dokuczają? jak się zęcają?

Zaczęła silić się, by przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek zasłyszała o wojsku...

Coś kiedyś mówili przy niej, że podoficer skazał żołnierza na areszt za karabin zardzewiały... Hm... areszt, myślała, pewno że to nie wesoło siedzieć pod kluczem, za okratowanym oknem, ale zawsze wytrzymać można, i Jaško nie pisałby o pieniądze, gdyby chodziło tylko o areszt... Muszą być tam gorsze kary... ale jakie?

W życiu jej najprzykrzejszą, i najboleśniejszą epoką było uczęszczanie do szkoły, gdzie nauczyciel był uosobieniem złości, gniewu, dokuczania i rozdawcą kar.

Pewno tacy są przełożeni Jaška... dają srogię lapy, biją trzcina, policzkują... i tak się zamysliła nad sposobami męczenia Jaška, iż nie spostrzegła, że naprzeciw niej idzie Paulinka, córka jednej ze sąsiadek.

— Maryś, a ty poco do Radoń? — spytała nadchodząca.

Wzdrygnęła się Marysia, jakby ją nagle ze snu obudzono.

— A ty skąd Paulinko? Nie widziałam ciebie wcale.

— Jakże miałaś mnie widzieć, kiedyś szukała po drodze pieniędzy.

— Nie zgubiłam, to i nie szukałam, ale tak się jakoś zapatrzyłam.

— Powiedz: zamyśliłam o chłopcu — zaśmiała się głośno.

— Nie mam żadnego — odpowiedziała zaru-mieniona.

— A Jaśko Szczygiel? przecież pisuje listy do ciebie.

— To tak... z przyjaźni — mówiła zmieszana, dziwiąc się, że Paulinka wie o listach.

— Z przyjaźni!? — zadrwiła — czemuż do innej nie pisze?

— Alboż wiem, spytaj się go sama... Spieszno mi, bywaj zdrowa Paulinko.

— A dokąd idziesz?

— Mam interes w Radoniach... do księdza proboszcza.

— Wróc się, wyjechał, byłam u niego.

— Ej nie, matusia mi kazali i muszę być u niego, albo u organisty.

— O cóż ci idzie?

— Matusia chcą dać na wotywę... Bywaj zdrowa.

— Do widzenia Maryś... a wracaj prędko, bo będzie zamieć.

Marysia spojrzała na niebo. Z północy wysuwały się chmury, kłębiły, a wiatr wzmagał

się z każdą chwilą. Wrony i kawki porwały się z drzew, i kracząc kołowały, szukając bezpieczniejszego schronienia.

Słońce zakryło chmury, ani jeden promień nie mógł się przedostać i cała okolica sponęniała, jakby zmartwiała nagle. Prócz smutnego pogwizdu wiatru, i rozpaczego krakania czarnego ptactwa, wszędzie pustka i bezludzie.

I wielki smutek padł na Marysię, zdawało się jej, że Jaśko ginie, i już ona nie może go wyratować.

— O Jezu Przenajświętszy! O Matko Bolesna! — szepnęła blada — już niechaj ja cierpię, niech się męczę całe życie, byle on żył i wrócił szczęśliwie.

Wtem jakaś ciekawsza wrona przefrunęła, łopocząc ciężko skrzydłami, tuż nad Marysią.

— W Imię Ojca, Syna, Ducha — przeżegnała się — przepadnij zle!

I przyspieszyła kroku.

Już weszła w opłotki, pomiędzy mieszkania ludzkie, poczęła iść wolniej, a gdy dojrzała dom Szczyglów, przystanęła; bo jak ona wejdzie? co im powie? jak ją przyjmą? I taki lęk ją ogarnął, że chciała już wrócić... ale Jaśko!

On czeka z upragnieniem jej odpowiedzi... jest pewny, że ona pójdzie do jego ojców... wyprosi, wybląga, aby mu zaraz wysłali pieniądze... czy i na niej się zawiedzie?

Oczyrna duszy widziała Jaśka bladego, znekanego, w smutku i rozpacz, to dodało jej sił, szła dalej.

Na podwórku, u studni, ciągnęła wodę wiadrem jej przyjaciółka, Kasia Marczakówna, i zawołała:

— Maryś! Maryś! A ty kędy?

Przystanąła Marysia zmieszana, bo i co miała powiedzieć? Nie mogła przecież przyznać się, że idzie do Szczyglów, o Jaśka?... Jeśli Paulinka wiedziała nawet o listach, pewno i inne wiedzą. Wszystkie będą się z niej natrzęsały, że szuka łaski Szczyglów, taka zakochana w Jaśku. Stała taka niezdecydowana, wreszcie bąknęła:

— Wysłał mnie tatuś za interesem.

— A do kogóż to?

— Do Radoń Kasiu... spieszno mi, bo zrywa się zamieć... Bywaj!

— Szczęśliwej drogi Marysiu!

— Dziękuję.

Idąc, poczęła zastanawiać się, że ona jednak waży się na wielkie rzeczy. Idzie do domu Szczyglów... dopiero wezmą ją ludzie na języki!

Co też nie naplotą... ile przycinków zniesie... jak będą się z niej naśmiewali... podkpiwali... Chyba okraży wieś i wróci do domu. Jutro raniem pójdzie do Radoń, może spotka ojca albo matkę Jaśka i powie im o liście.

Dotknęła się papieru i poczuła szelest. Zdało się jej, że to słowa Jaśka tak się skarżą i jęczą. Wspomniała co jej pisze i przyspieszyła kroku, przecież dla marnych plotek nie porzuci Jaśka w biedzie.

Weszła w podwórze i szybko się przeżegnała odmawiając drżącymi ustami: »Kto się w opiekę odda Panu swemu«...

Pies wyrzał z budy, warknął głucho, ale poznawszy że ktoś swój, znajomy, skrył się w głębi.

Weszła do sieni. Z lewej strony z izby porysowała gwar dzieci i jednostajny turkot kołowrotka. Stała pod drzwiami chwilę, znów się przeżegnała i zapukawszy lekko weszła do izby, mówiąc z progu:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odpowiedziała Szczygłowa, a przypatrzawszy się, bo w izbie było mroczno, dodała zdziwiona: — To ty Marysiu!?

— Ja, pani matko — podeszła i ucałowała jej rękę.

— Ty?... Hm... a co mi powiesz? — spytała sucho, nie prosząc by usiadła.

— Ja... z interesem — odpowiedziała zmieszana, czując, że niechętnie jest widziana.

— Tak?... A to powiadaj...

— To idzie o syna waszego, o Jaśka.

Spojrzała na nią zdziwiona i mówiła tonem uprzejmym ale zimnym:

— Chcesz o nim coś wiedzieć? Hm... trochę dziwna ciekawość, ale powiem ci, że służy w huzarach daleko, wśród Niemców.

Marysia jeszcze bardziej się zmieszala, poczuła dziwny ból, żal, wstyd, że aż drżała całą i rzekła zdławionym głosem, w którym drżały lzy:

— Gdzie służy wiem... ale ja mam list od niego, w którym jest interes do was.

— List! List od Jaśka — zerwała się z krzesła — ty masz list, wiadomość od mego Jaśka, a byłeś mi zaraz powiedzieć o tem... Siadajże Maryś, rozgość się, zdejm futerko — i pomagala jej skwapliwie — kiedyż otrzymałaś ten list?

— Dzisiaj w południe, i zaraz przyszedł.

— Dobra jesteś Maryś, wiesz czem można matkę pocieszyć... i masz go ze sobą?

— Przyniosłam.

— Zaraz przeczytamy, tylko lampę zapalę — a spostrzegłszy stojące dzieci — idźcie bawić się do kuchni.

— I my chcemy wiedzieć o Jaśku — szepnęła córka.

— Powiem wam później, nie przeszkadzajcie... Maryś a co pisze? czy zdrów?

— Chwała Panu Bogu zdrów.

— To i dobrze — a zapaliwszy lampę i stawiając na stole, rzekła podług zwyczaju: — Niech będzie pochwalony.

— Na wieki, wieków.

— Czytajże Maryś, bo przy lampie słabe mam już oczy.

Marysia wyjęła list z koperty, wyprostowała i wygładziła arkusik, spojrzała na matkę, która wpatrzona w papier, szepnęła niecierpliwie:

— Czytajże!

— »Co u was słyhać«...

— Maryś, a początek listu gdzie? Wszystko czytaj... nic nie opuszczaj!

— Dobrze pani matko — zaczerwieniła się i z pewnem ociąganiem, a następnie szybko:

— »Niech będzie pochwalony. Moja najmilsza Maryś. Co u was słyhać, czyście zdrowi wszyscy, i jak wam się powodzi?«...

— Wolniej Maryś, wolniej, nikt cię nie pędzi.

— Dobrze... i dalej czytała: »Ja chwala Panu Bogu zdrów, czego i wam życzę, ale żyję w uciśnieniu wielkiem i mece, a Panu Bogu wiadomo kiedy to się skończy i jak. Już mi sił i ochoty do życia nie staje«...

— Oj biednyś ty, biedny! — jęknęła matka.

»Tak się uwzięli na mnie, że ani dnia ani godziny nie jestem spokojny. Dokuczają mi Niemcy, zbyt kuja nade mną, a wszystko dlatego jakom jest Ślązak«.

— Bodajże tych Niemców Pan Bóg pokarał — zawołała matka, czytaj dalej.

»Jedna rada na nich, aby ich ugościć i gardła

piwem zalać, bo siłą im nie poradzę a pilnością nie ujmę».

— A bodaj ich zdławiło — zakląła.

»Ciężko mi tracić moje pieniądze, com pracą zaoszczędził i przeznaczyłem... — tu urwała Marysia i zmieszana, niespokojna spojrziała na słuchającą i znów zaraz zaczęła: — ...ale kiedy nie może«...

— Zmyliłaś się Maryś — przerwała jej — coś nie do sensu... powtórz... od słowa »i przeznaczyłem«...

— Kiedy bo nie śmiem... to on pisze, ale ja nic nie wiem.

— Czytaj, albo mi daj — powiedziała głosem zniecierpliwionym.

»...i przeznaczyłem na nasz ślub«... — i ukradkiem spojrziała, a widząc gorzki uśmiech, zaczerwieniła się po białka oczu i wpatrując się w list czytała dalej: — »...ale kiedy nie może być inaczej, niech i tak będzie, jak musi być. Mają mi życie zmarnować, niech już lepiej zmarnują mi pieniądze«...

— O chciwe lotry... ale Jasiek ma rację.

— I bardzo wielką — pochwyliła Marysia — bo co mu po pieniądzach, jak go zamęczą.

— Prawda, prawda... czytaj dalej.

»...W tem mojem utrapieniu pisałem do ojców, a jako nie mam od nich żadnej wiadomości, myślę, iż list zaginął gdzieś w drodze«...

— Nie zginął — zawołała — a tak prosilam mego, aby mu zaraz wysłał — narzekała — ale z chłopami tak zawsze... zwleka, marudzi... dziś pojechał do miasta, mógłby wysłać, ale czy jemu to w głowie!?

— Zaś jakże to — mówiła Marysia z hamowanym oburzeniem — więc list był, i nie wysłaliście pieniędzy?

— Cóż ja poradzę? — usprawiedliwiała się zasmucona — prosilam, przypominałam, ale już jutro musi wysłać... moja w tem głowa i musi usłuchać... czytaj!

»...Tak proszę cię moja Maryś, idź do moich ojców i powiedz matusi, aby mi zaraz wysłała pieniądze moje, bo już mi dłużej nie żyć i jakiś koniec wszystkiemu być musi«...

— O mój robaku drogi — zapłakała rzewnie — toż krwi serdecznej utoczyłabym dla ciebie... pociecho ty moja... synku najmilszy, czyż na to cię wychowałam i wykarmiłam, aby cię Niemcy męczyli i katowali... — i zanosła się serdecznym płaczem.

I Marysi połały się łzy rześiste i łkając mówiła:

— Biedny on, biedny... a taki dobry...

— Nie było lepszego syna, i taki zawsze wesoly, pełno śmiechu i żartów było w domu, a teraz co? — płakała ciszej.

— Okrutnie mu ciężko — dodała Marysia — ten list chyba łzami pisał.

— Ptakiem poleciałabym do niego, aby go pocieszyć... on wie jak go kocham i pisze abyś mi powiedziała... czy tak Maryś?

— Tak pani matko — odjęła chusteczkę od oczu. Pisze: »powiedz matusi, aby mi zaraz wysłała pieniądze moje«...

— Dziecko moje... już ja poradzę na to, aby ci zaraz posłać... a co dalej pisze? — spytała zobaczywszy list na stole.

Maryś otarła oczy, siłą starała się powstrzymać łkanie i czytała:

»...Bywaj zdrowa Maryś, pokłoń się pięknie ode mnie twoim ojcom, a pokwap się do mojej matusi, bo tu w jednym dniu mam więcej utrapienia i żalości, aniżeli w domu przez cały rok«.

— I pokwapiała się Maryś... dziękuję ci, dobraś — wstała z krzesła i zbliżywszy się uściśnęła jej głowę, pocałowała w czoło.

Dziewczyzna serdecznie ucałowała jedną i drugą rękę i łkając szepnęła:

— Oj Jaśku, wróć tylko, wróć!

Rozczuliło to matkę i głaszcząc jej włosy rzekła z cicha:

— Maryś, ty go chyba miłujesz?

— A któżby go nie miłował? On taki teraz biedny, taki umęczony...

— Zaś powiem ci prawdę... byłam ci krzywa, bo bez mego pozwolenia miłowaliście się... ale

kiedy przysłaś zaraz z tym listem do mnie, jużś mnie rozbroiła.

— Poszłabym po brzytwach i igłach pani matko, byle mu ulżyć.

— To już cię przyjmę do serca... a do jego powrotu i pościć będę i nowennę odprawię każdej soboty.

— Dotychczas pościłam — przemówiła Marysia — a teraz suszyć będę w soboty, byle mu tam lżej było.

— Zaś ty pościłaś Maryś?... i dla niego?

— Na jego intencję — zarumieniła się i spuściła oczy.

— Dobraś — pocałowała w czoło — i nie dziwno mi teraz, że on łgnie do ciebie.

Na twarzy Marysi odbił się błysk szczęścia i radości, bo jeśli jego matka tak mówi, to jakby było po zaręczynach. Ucałowała znów jej ręce, a pamiętając z czem tu z przyszła rzekła nieśmiało:

— To już jutro wyszlecie na pewno te jego pieniądze?

— Chybabym nie dożyła jutra.

— Teraz jestem pewna — uśmiechnęła się — już pójdę... czas na mnie.

— Ani myśl... nie puszczę cię bez poczęstunku... toż to kawał drogi.

— Kiedy już późno, będą matusia swarzyli.

— Poswarzy i przestanie... ale zjesz mu-

sisz — mówiła idąc do kuchni — i dobrze będzie bo tylko co mego nie widać z miasta, przyśiadziemy go obie i musi posłać Jaškowi.

Weszły dzieci i rozpytywały Marysię o Jaška, o nowiny o nim, a jej było bardzo przyjemnie, że może o Jašku mówić i każdego szczegółu o nim była bardzo ciekawa, co mówił, co zrobił, jak żartował i bawił się.

Nawet nie słyszała, jak wiatr bił okiennicami i huczał na strychu, tak dziwnie dobrze było jej w tym domu, w którym się Jaško wychował.

Przyniosła Szczygłowa kawę, i serdecznie zapraszała Marysię by piła i jadła. A tak się obie zagadały o Jašku, iż nie słyszały sanek wjeżdżających w podwórze, prawda że i wicher dał okrutny, dopiero wejście zaśniewzonego ojca Jaška przerwało rozmowę, gdyż on z progu wołał:

— Matka... ależ dmie i sypie...

— Zdejmże odzienie, wytrzepię w sieni, bo na nic moje mycie podłogi.

— To i pomóż — a gdy przetarłszy oczy dojrzał Marysię zawołał: — co ja widzę! Marys u nas?... A słowo stało się ciałem... i tak we dwie popijacie sobie kawę... chyba w naszej Opolance — tak nazywał »Gazetę Opolską« — umieszczają cud taki — śmiał się.

— Nie baraszkuj — zawołała żona opryskliwie — rozdziej się ano, bo wodą ociekasz.

— To i dobrze, że odmarzam — uśmiechnęła się i jął zdejmować wierzchnie ubranie, a żona mu pomagała.

— Zjesz co? — spytała.

— Setniem głodny... zjadłbym woła... a pewno zarznęłaś go na przyjęcie Marysi.

— Iii, głupstwa trzymają się ciebie... a Marys przyszła z listem Jaška.

— Jaška?! — zawołał i uśmiechnięta twarz spoważniała — cóż pisze?

— Przeczytasz sam — rzekła gniewnym głosem — i dopiero poznasz, czy miałam rację naglić cię o wysyłkę.

— Hm... przeczytam... a wiem, że ty zawsze masz rację... gdzie list?

— Wpierw zjedz... bo wesółych nowin niema od niego.

— Czy zdrow?

— Jeszcze tego brakowało, aby był chory — mruknęła — siadaj, zaraz przyniosę... a ty Marys listu nie dawaj, bo po przeczytaniu odechce mu się jedzenia.

— Nie strachaj mnie, bo jeść nie będę — rzekł chmurny.

— Zaś nowego nic niema — mówiła idąc do kuchni — tyle że pieniędzy potrzebuje.

— Tak?? To jakoś się ułoży — uśmiechnęła się skrycie, i siadając za stołem — cóż Marys

pisze kawaler?... Pewno że wierny i Niemek nie lubuje... co?

— Gdzie mu tam w głowie żarty? — mówiła i wstawszy ucałowała go w rękę.

— Hm... dlaczegoż mnie uczeiłaś?

— Bo się godzi, jako jesteście gospodarz — odparła zarumieniona — a potem mam też prośbę do was...

— To i gadaj śmiało... jeśli już ujęłaś sobie matkę, z ojcem łatwiej ci pójdzie, boś ładna i młoda.

— Powiem jak list przeczytacie.

— Dobrze... bo to wiesz na cierpliwości nikt nie traci, a co nagle, to po dyable. Zaczekam póki się nie pożywię... zaczekasz i ty.

— A w polu jak?

— Wichura... oczy śniegiem zasypuje, że konie same mnie dowiozły.

— O Jezu! Jakże dostanę się do domu?

— Ii, albo u nas niema łóżka i poduszek? — zaśmiał się. — Kiedyś z moją w zgodzie, wszystko się znajdzie.

— Ależ ja muszę być w domu!

— A wie twoja matka, gdzie jesteś?

— Jakżeby nie wiedziała? — obruszyła się.

— Bo to bywa różnie — uśmiechnął się.

— Zaś nie u mnie.

— Jeśli wie, to i spokojnie zaśnie. Nie zabraknie ci u nas na niczem.

— Bardzo wam dziękuję, ale...

Wtem weszła żona, przynosząc barszcz i kartofle.

— Bal mi zrobiłaś... to lubię!

— Jedz zdrow... a o czym rozmawialiście?

— A to o moim powrocie do domu — odpowiedziała Marysia.

— Czekażże — spojrzała porozumiewawczo na nią — niech ojciec list przeczyta.

— Dobrze.

— Hm... a co u was słyhać? — spytał, jedząc barszcz z kartoflami.

— Nic nowego.

— Ojciec w domu?

— Wyjechał raniutko furmanic do cukrowni... pewno wrócił.

— To nie jest złoty interes.

— Musimy — odezwala się zaczerwieniona — bo u nas mało ziemi.

— Wiem to, ale ojciec zamiast w kasie składać posag dla dziewcząt, lepiejby zrobił doku-piwszy ziemi.

— Tatusz składał?... Pierwszy raz to slysze.

— Składa... wiem, bo sam widzialem go w kasie, ale ile, tego nie wiem.

— Ja tem mniej.

Po chwili znów spytał:

— A wasza, ta laciata... juz się ocielila? Byczek czy cieliczka?

— To moja stokrótka — uśmiechnęła się — ma cieliczkę, akurat jak ona.

— A to mleczna krowa, ta twoja stokrótka? — spytała gospodyni.

— I jaka! Po cztery litry z udoju, tylko wybredna w jedzeniu i soli potrzebuje.

— A jakże wasze krowy?

— Chwalić Pana Boga niezłe... przyjdź kiedy... obejrzyj.

— Dziękuję... nie przepomnę i przyjdę.

Żona przyniosła mu kawałek ugotowanego mięsa z barszczu, z którym uporał się szybko, gdy one obie rozmawiały o krowach i udojach.

Zapalił cygaro po obiedzie i rzekł:

— Dajcież mi list, zobaczę co pisze?

Wyjęła Marysia list z za gorsu i podała, a one obie i dzieci umilkły, czekając co powie.

Przysunął sobie lampę bliżej, i postawiwszy list po drugiej stronie lampy, by mu było widniej, czytał.

Gdy przyszedł do ustępu o ślubie, spojrzal na Marysię, która zawstydzona spuściła oczy.

Czytał dalej, a gdy skończył, uderzył pięścią w stół, że aż lampa zadygotała i krzyknął:

— A lotry! Zbóje! Podle Niemcy! Męczyć tak dziecko!

I było cicho w pokoju, tylko matka łkała, a z oczu Marysi łzy płynęły, mimo jej woli.

Spojrzał zły i chmurny na nich mówiąc:

— Czego beczyście?... Pomoże mu to? Pan Bóg zesłał nieszczęście, musim przetrzymać... cóż robić?

Lecz chociaż silił się na głos surowy, czuć było rozczulenie i żal ojca nad dzieckiem.

Zrozumiała to żona i zaczęła:

— A tak cię prosiłam, molestowałam, modliłam, abys posłał... ale wszystko jak groch o ścianę.

— Dajże spokój, nie swarz.

— Tobie tu dobrze — rzekła podrażniona — możesz być spokojny... a Jaśko niech tam sobie cierpi... Czy ty ojciec?

— Sama wiesz najlepiej — uśmiechnął się — i zważ że tu Maryś...

— Co mi Maryś, niech wie jacy są chłopci!

— Twarde to, nieużyte, byle jemu było dobrze i byle zjadł smaczno i do syta... to już kontent.

— Dobrze nauki dajesz Marysi, niechże ona zacznie tak wymyślać swemu mężowi... Co wtedy powiesz?

— Tobie zbytki w głowie... pytam się ciebie, oto tu przy świadku, poszlesz te pieniądze, czy nie?

Spojrzał na nią zachmurzony, wnet jednak rozjaśnił twarz i rzekł stanowczym głosem:

— Otóż wiedz, kiedy mi tak dopiekasz... nie poszłę jutro.

— Jezu miłosierny! To takiś ty bez serca! Nie masz żadnego uzalenia nad własną krwią, gorzej ojczyzna jesteś, a serce masz z kamienia.

Słyszysz Maryś, nie poszle... A czyjeż to pieniądze? On zarobił, wolno mu je stracić... Tobie wara od nich, bo to jego własne... Otóżem się doczekała — zaczęła płakać — nawet pierworodnego nie pożałuje, co mu się tak wysługiwał... Maryś proszę ty, może się rozczuli, kiedy moje łzy nie pomagają.

Przez cały czas tych narzekania, chciał przemówić mąż, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa, taka była rozżalona i zagniewana.

Maryś usłyszawszy wezwanie pobladła, gdyż bała się okrutnie, ale posłuszna zbliżyła się szybko, ucałowała jego rękę i powiedziała:

— Ojczy, sama wam odslużę... odrobień... tylko poszlijcie Jaškowi.

Poglaskał jej włosy i rzekł:

— Ale ja mało płacę... będziesz musiała długo odrabiać, bo to srogi pieniądz jest potrzebny Jaškowi.

— Chociażby całe życie.

— Hm... namyśle się... porachuję...

— Ty gorszy Heroda, tamten zabijał, a ty pozwalasz męczyć dziecko — zawołała oburzona. — Widzisz obca, a więcej ma serca od rodzzonego ojca.

— Uspokójże się kobieto... obca ona tak znów nie jest, kiedy przybiegła do ciebie. Musi mu być bliska, bo ważyła się pierwsza przyjść do nas.

— Nie w tem rzecz — zawołała — ale mówię ci po raz ostatni poszlesz jutro, czy nie?

— Jakże mam posyłać jutro — uśmiechnął się — kiedy dziś posłałem.

Zaniemiała na chwilę, ale pasya nie opuściła jej jeszcze i rzekła:

— Pokaż kwit, to ci uwierzę.

Zwolna wyjął pugilares, poszukał i podał kwit żonie:

— Patrz... przekonaj się.

— Prawda — mówiła, obejrzawszy starannie — a pocóż mnie zwodzilesz? Zachciało ci się mego zmartwienia i lez?

— Nie to, ale naucz się miarkowania.

— Rychło wczas — mruknęła.

— Lepiej późno, jak nigdy... a i to dobrze, że mam teraz służebnicę — uśmiechnął się — przyrzekłaś, stawże się na robotę.

— Otóż widzicie go — odezwała się żona — przeczytał jeden list, drugi list od Jaška, i co jemu w głowie?

— A co mi żal i łzy pomogą... Męczą to prawda, siedzi w areszcie, niepokoją go i trują... ale on przetrzyma, chłop z niego twardy... wróci i zrobim weselisko... co Maryś?

— Alboż wiem — spuściła oczy, chociaż jej z radości śmiać się chciało i weselić.

— Hm... Jaško będzie wiedział.

— Oj czas na mnie... okrutniem się spóźniła.

— Nie puszcę cię w taką wichurę... posłuchaj jak dmie... przenocuj.

— Nie mogę... muszę iść.

— Co za mus? — zaśmiał się.

— Nie zatrzymujcie... pójdę... matusia gniewałaby się okrutnie, i co powiedzieliby ludzie?

— Marysia ma rację — przemówiła żona — dziewczyna powinna nocować w domu, u ojców... i tak dość będzie ludzkiego gadania, że sama przyszła do nas.

— Zaś mogłam inaczej zrobić? — odezwała się z żalem.

— Dobrze zrobiła Maryś — powiedział gospodarz — a ludziom zamknę już gęby. Kiedyście uradziły, abyś dziś była w domu, zaczekajże, odwożę cię.

— Gdzie zaś męczyc konie zdrożone — zawałała dziewczyna — sama pójdę.

— Hm... mógł cię Jaśko odwozić, chociaż jechał z ciężarem — uśmiechnął się — odwożę cię bez ciężaru.

— Pani matko nie pozwólcie — prosiła Marysia.

— Patrzy się to tobie za Jaśka — powiedziała poważnie.

Wichura już się uciszyła, tylko od czasu do czasu wiatr zadął silnie, jakby się chciał przypomnieć ludziom, a droga była kopna i zawiana.

Była godzina siódma, we wsi był ruch je-

szcze, a po domach światło. Ci i owi sąsiedzi spotkali jadącego Szczygła i głośnie wyrażali swe zdziwienie że pod noc wybrał się w drogę.

— Słyszysz Maryś — rzekł do siedzącej obok — dziwiają się ludziska, że jadę, a co gadanoby o tobie, gdybyś szła sama.

— Prawda, ale zawsze mi żal koni.

— Gospodarska córka z ciebie, dbasz o dobytek... może się dorobicie.

Marysię bardzo ucieszyły te słowa, bo już widziała siebie żoną Jaśka i gospodynią zamężną, miała ochotę ucałować rękę starego, wstrzymała się jednak i milczała.

— Maryś, a wiesz kiedy Jaśko przyjdzie z wojska? — spytał po dobrej chwili.

— Za rok i siedm miesięcy — odpowiedziała bez wahania.

— Ho, ho, umiesz ty rachować — zaśmiał się — bo akurat tak wypada.

— Ojczy, a kiedy on dostanie te pieniądze?

— Mówił mi urzędnik, że na trzeci dzień będzie je miał.

— Dopiero się ucieszy — zaśmiała się.

— Hm... nie tyle on, co jego starsi, bo dla nich pójdzie jego zarobek.

— Byle jemu lżej było — westchnęła — a wy jak myślicie?

— Za tak wielki pieniądz kupi sobie spokój na jakiś czas.

— A potem? A później?— spytała z żywością.

— Hm... poradzi się jakoś.

Dojeżdżali do domu Byliców. Pies zaczął głośno ujadać, doskakując do koni, Marysia zawołała:

— Pilnuj! Pilnuj!

Podbiegł do wozu a poznawszy ją, zaskomlił z radości.

Szczygiel wstrzymał konie mówiąc:

— Odwiozłem cię... bywaj zdrowa Maryś, a odwiedź nas, pogadamy o nim.

Marysia pocałowała jego rękę prosząc:

— Zróbcieź nam ten honor i wstąpcie do nas. Konie odetchną a wy rozgrzejecie się.

— Jutro czeka mnie robota... nie mogę.

Wtem z progu odezwał się ktoś:

— Maryś, to ty?

— Ja tatusiu, a pomóżcie mi uzprosić.

Poznał Bylica konie, szybko podszedł i rzekł z wymówką:

— Maryś, dlaczego bramy nie otwarłaś? jakże miały konie wjechać? — otworzył wrota, i zwrócił się do Szczygła — dziękuję wam Wincenty, że przywieźliście Marysię, proszę do izby.

— Tak znów po nocy...

— W dzień czy w nocy dom mój dla przyjaciół otwarty — ujął konie za uzdy i wprowadził na podwórze pod szopę. Rozkielznali konie, podrzucono im siana i obaj szli do izby.

Oczekiwała ich Bylicowa z Marysią i Bronią, posławszy chłopaka do gospody po piwo.

Gdy Bylicowa dziękowała za odwiezienie Marysi, przerwał jej Szczygiel:

— Odwieźć to żadna sztuka — śmiał się — ale przyjąć samej Marysi do Radoń, to była sztuka i nie zapomnę jej tego.

— A proszę was — odpowiedziała mu na to — kiedy Jasiek pisze, że znęcają się nad nim, spląkałyśmy się obie i kazałam jej iść do was, bo i my mamy synów, i nas, co nie daj Panie Boże, może to samo spotkać.

— Godnie zrobiliście, niema co mówić, a Marysia okrutnie spodobała się nam starym, że nie trzeba lepiej.

— Dziękuję wam pięknie za dobre słowo — odpowiedziała rozpromieniona matka — już ona ma szczęście u ludzi.

— Nic dziwnego — uśmiechnął się, patrząc na Marysię, która wniosła na tacy ser, masło, kielbasę, chleb i piwo — bo to i na gębie ładna i serce ma dobre.

— Serce to grunt — rzekł Bylica, otwierając butelkę i nalawszy piwa do szklanek zwrócił się do gościa: — wasze zdrowie, Wincenty.

— Dziękuję i nawzajem.

Bylicowa usilnie zapraszała na przekąskę, a gość spytał Marysi biorąc ser:

— Czy to od stokrótki?

— Jużes wygadala — zaśmiała się matka — powiadam wam, że taka z niej gospodyni i taka pamiętna na chudobę, że aż dziwno.

— Tak powinno i być, bo i najbogatszy chłop zmarnieje bez gospodyni.

Porozmawiali o gospodarstwie, pogodzie, cenie, podatkach, i Szczygiel serdecznie pożegnany, zaprosiwszy Byliców, odjechał.

— Cóż Maryś, kontenta jesteś, żeś była u nich?

— I bardzo nawet, ale już najbardziej, że Jaśkowi posłali pieniądze.

— Oj Maryś — westchnęła matka — tobie zawsze jedno w głowie.

X.

Wiadomość, że Jaśko otrzymał pieniądze, rozeszła się szybko, a towarzysze jego ze sali i plutonu spoglądali na niego z zazdrością i szalkunkiem.

Jeszcze nie miał sposobności zaprosić swych przełożonych do kantyny, a już zauważył, że obchodzą się z nim łagodniej i nie pędzą do robót około porządku koszar, jak poprzednio; a nawet podoficer, gdy na Jaśka przysła kolej szorowania podłogi, rzekł:

— Zastępowałeś ty Stiglitz innych, niechże następny po tobie wyszoruje podłogę.

— Wedle rozkazu pana podoficera.

Zdziwił się Jaśko i uśmiechnął ironicznie, słysząc słowo »zastępowałeś«, gdyż zawsze tylko z rozkazu i za karę używano go do roboty.

Fryderyk, z którym zawsze pozostawał w przyjaźni, gdy byli sami w kurytarzu mówił:

— Słuchaj Stiglitz, bądźże teraz mądry i nie puszczaj się na sowite traktamenty, bo szybko stracisz pieniądze i zaczniesz się dawna bieda.

— Ho, ho, teraz będę uważał.

— Czy chcesz posłuchać mojej rady?

— Mów, wierzę ci, bo jesteś ludzki.

— Otóż nie pij wódki, ani araku, ani koniaku. Oni wprawdzie będą pili, ale zawsze mniej, gdy ty jako fundator nie dotkniesz się wódki.

— Hm... ciężko mi będzie, bo przywykłem w wojsku, ale posłucham ciebie.

— Pij tylko piwo i to umiarkowanie, a pamiętaj że wino grzane drogie w kantynie.

— Wiem, wiem... i tylko wachmistrzowi postawię...

— Hm... jemu już musisz, bo on to matka szwadronu i zawsze dobrze mieć go za sobą... ale zażądają inni, to wykręć się.

— Dobrze... a wiesz, tak mi szczerze radzisz i dobry jesteś... chodźmy na piwo.

— Ja nie od tego.

Gdy weszli do kantyny, gospodarz powitał Jaśka bardzo uprzejmie:

— Co panowie rozkażą? Mam doskonały koniak... świeże śledzie, a może kielbasę z kapustą?

— Proszę o piwo... i dwa razy kielbasy z kapustą.

— Jakto, bez wódki, koniaku?

— Dałem słowo honoru, że wódki nie tknę — rzekł Jaśko z naciskiem, — a może ty Fryderyku?

— Nie... nie chcę na razie.

— O, ten pan ostrożny, — zaśmiał się kantyniarz — zostawia furtkę dla siebie. Szkoda, że pan Stiglitz nie zrobił tak samo.

— Pamiętam wszystko i dlatego nie będę pił wódki — powiedział Jaśko z ironią.

— Ee, ktoby znów uważał na drobnostki — śmiał się — byłeś pan winien, a gospodarz od tego, aby ściągnąć należność — i postawił dwa piwa przed siedzącymi.

Gdy gospodarz wyszedł, rzekł Fryderyk z uśmiechem:

— Nie wiedziałem, żeś taki mściwy, pamiętałeś o jego żądaniu, a to szynkarz i był w swem prawie.

— Hm... widzisz towarzyszu, zabolalo mnie, że wymyślał mi od Ślązaków.

— Czy wstydzisz się tego?

— Ja!? — zdziwił się — przecież dumny jestem, że należę do Ślązaków, a on kpił z tego.

— Ty, dumny jesteś? A to ciekawe! — zaśmiał się — powiedz mi z czego?

— A chociażby z tego, że mnie Niemcy za mój naród prześladują, widać że coś wart.

— Hm... wróble zadziobią kanarka, a kanarki zadziobałyby wróbla, gdyby były w większości... cóż się dziwisz?

— Może i tak, ale wróbel pozostanie wróblem, a kanarek kanarkiem; pocóż mi gwałt czynią?

— Szkoda, że nie rozumiesz po łacinie — zaśmiał się — ale ich przysłowie mówi, że człowiek dla człowieka jest wilkiem.

— To też bronić się trzeba.

— Słuchaj Stiglitz... powiedz mi prawdę, za co skazano cię tam, na Śląsku na miesiąc aresztu?

— Masz i naszą sprawiedliwość — zaśmiał się drwiąco — u nas, w naszym kościele, co go dla nas zbudowali nasi ojcowie, Niemcy chcą śpiewać po swojemu, a zabronić nam śpiewów śląskich. Weszli zwartą masą do kościoła, trudno ich przecież wygnać, ale nie dopuszczamy innych. Taki Niemiec odprawiony przez nas od wrót, zaskarżył nas i chociaż stałem z boku, wskazał na mnie i sąd nie wysłuchawszy mnie skazał na areszt.

— Otóż masz znów kanarki i wróbel — zaśmiał się.

— Tak... a pocóż oni wyrzucają nas z gniazda. Weszli inni huzarzy, rozmowa stała się ogólną, a gdy wychodzili z kantyny Fryderyk doradzał:

— A nie wygadaj się, że masz w domu pieniądze!

— Nauczyli mnie raz, będę pamiętał — uśmiechnął się.

Częstował Jaśko starszych bo musiał, raz i drugi raz, ale powściągliwie, ostrożnie.

Razu jednego, przy przeglądzie koni całego szwadronu w maneżu, Jaśko, gdy mu koń wyrwał się z ręki i począł skakać, zaklął półgłosem po śląsku.

Rekrut z jesieni zeszłego roku opodal stojący, usłyszawszy wyrazy, szybko spojrzął na Jaśka i rzekł:

— Ty swojak?

Jeszcze bardziej zdziwił się Jaśko i ucieszył, gdyż pierwszy to raz usłyszał znane sobie dźwięki w koszarach i odpowiedział radośnie:

— Swój!... Po przeglądzie.

I tak się przejął myślą rozmówienia się w rodzinnym języku, iż omal nie popełnił błędu w służbie i nie został ukarany.

Natychmiast po odprowadzeniu koni, wyszedł na plac przed koszarami, czekając, rychłoli nadejdzie swojak.

Wkrótce wyszedł z koszar silny krępy huzar w zielonym mundurze z potrzebami białemi i prosto z uśmiechem przyjaźni szedł na Jaśka mówiąc:

— Witaj mi bracie! — podali sobie ręce — ja Michał Gruda, a ty?

— Jan Szczygieł, tylko w wojsku zmienili mnie na Stiglitz... aż mi dziwno, że jesteśmy w jednym szwadronie i nie znaleźmy się.

— Jakże mieliśmy się poznać, kiedy ja w czwartym plutonie, a ty w pierwszym. To

jeszcze szczęście, żeś skłął konia po naszymu... zaraz cię poznałem.

— Co tu stać będziemy na warcie... pójdz ze mną do kantyny.

— Na piwo mam, to wstąpić mogę.

— Zaś piwo ja płacę... a ty skąd rodem, bo z mowy poznaję, żeś nie Ślązak urodzony.

— Z Prus Zachodnich, z pod Grudziądza.

— A daleko to od Śląska?

— Ho, ho, wielka droga, całe Księstwo musisz przejechać.

— Hm... to mi dziwno, że coniebądź po naszymu gadasz, nie ze wszystkim co prawda, bo zaś pośpiewujesz, ale rozumieć, rozumiem wszystko.

— A mnie się widzi, — zaśmiał się — że ty znów śpiewasz z niemiecka, ale rozumiem.

Zasiedli za stołem, pili piwo, a Jaśko patrząc bystro w oczy Michała rzekł z pewnem ociąganiem.

— Wiesz, aż nie mogę wierzyć, chociaż słyżę, że ty mój swojak.

— Albo co?

— Taki kęs drogi dalekiej, a mówisz nieprzymierzając po naszymu... I wy kupą siedzieć, czy w pojedynkę?

— Co po wsiach precz nasi. Z trudnościami poświecisz Niemca.

— A oni... dokazują u was? Dokuczają?

— Ba, od tego ich natura. Te padalce do żywego nam doskwierają, ale bronim się im, jak tylko możemy.

— Zaś u nas jest gorzej, bo hańbują nas, precz nazwiska miast i wsi zmieniają, do kościoła naszego włożą, powiadam ci, niewytrzymanie z nimi.

— Ii, u nas nie lepiej — westchnął — z naszego Grudziądza zrobili Grandec, a z mojej Skowronnej Lerchenfeld... oni wszędzie jednacy.

Wypili piwo, Jaśko kazal podać świeże i przemówił zamyślony:

— Zaś to okrutnie dziwne, że nas tylu, bo i Śląsk, Poznań... no i u was kupa ludzi, a jednak srogo cisną nas Niemcy i zbytują nad nami.

— Cóż robić? Wola Boża.

— Okrutnie dokuczają, że aż cierpliwości nie staje człowiekowi.

— Prawda... a ciebie bracie ćwiczyli w służbie wojskowej?

— I jak jeszcze — i opowiedział mu szczegółowo ważniejsze wypadki.

Po wysłuchaniu rzekł Michał z głębokiem westchnieniem:

— Męczyli i mnie te psiewiary... ale już najgorsze, to mustra w pokoju podoficera... Jak mnie raz taki pies wziął do siebie, myślałem już, że go dźgnę, albo uduszę. Każe mi stać w całym rynsztunku na palcach... człowiek

drewnieje, a ten bije do krwi i nie tylko każe tak stać, ale jeszcze mierzyć z karabinka... nie mogłem i puściłem karabin umyślnie na ziemię, że trzasła muszka. Zląkł się Niemiec odpowiedzialności i już tak bardzo nie męczył na drugi raz.

— Ho, ho, przebyłem i ja swoje... a tak się zawzięli na mnie, że już mi śmierć była miłsza.

— No i co poradziłeś?

— Traktament urządzam, — westchnął — kupuję piwo, cygara, czasem coś z jedzenia, aby mieć spokój.

— Hm... musiałeś im zrazu stawiać, a to najgorsze, bo jak się znęca i zwiedzą, to skórę ściągnęliby z ciebie.

— Wiem coś o tem, wiem... ale teraz zmarzałem.

Przyszli inni do kantyny, rozmowa stała się ogólną. Zajrzał też i Wilhelm, mówił z innymi, udając, że Jaśka nie widzi.

Gdy dwaj swojacy wychodzili, pożegnali się w rodowitym języku. Dosłyszał to Wilhelm, spojrzął na nich wzgardliwie, a że zwady teraz nie szukał z Jaśkiem, bo wiedział, że nie poradzi mu łatwo i że on teraz ma pieniądze, więc dał folgę swej złości, zakławszy przez zęby.

Umówił się Jaśko ze swym towarzyszem, iż po służbie spotkają się w korytarzu, by rozmawiać o wojskowych kłopotach.

To też skoro się spotkali nazajutrz, Jaśko, jako doświadczony, przestrzegał Michała, jak, gdzie i kiedy ma postępować, aby nie narazić się na prześladowanie i kary.

Gdy tak rozmawiali, podszedł ku nim Wilhelm, posłyszał obcy język i pobiegł do podoficera.

Jeszcze rozmawiali, gdy do nich przystąpił podoficer i zawołał surowo i gniewnie:

— Stulcie gęby obrzydliwe! jak śmiecie w budynku rządowym, w koszarach rozmawiać w jakimś psim dyalekcie? Tu panuje tylko mowa niemiecka. Rozumiecie lajdaki?

Ogromnie się zdziwili, gdyż rozmawiali na uboczu, nie będąc w służbie i Jaśko, jako był już doświadczony w rzeczach wojskowych, stanął wyprostowany, salutował i rzekł służbistym tonem:

— Wedle rozkazu pana podoficera.

Michał stał chwileczkę nie wiedząc, co począć i już miał naśladować Jaśka, gdy podoficer wrzasnął:

— A ty kanaliol... Za bezczelne twoje zachowanie zameldujesz się twemu podoficerowi do kary... Ja już z nim się rozmówię... A teraz precz do swej sali każdy, a posłyszę jeszcze raz wasze szczekanie... oskarżę was za niesubordynację... Precz!

Jaśkowi żal się zrobiło swojaka i gorycz

większa wezbrała na Niemców, ale sprzeciwić się nie mógł, a gdy wyszedł z framugi okna, ujrzał stojącego opodal Wilhelma, który uśmiechał się z miną tryumfującą.

— Twoja to sprawka psi synu — mruknął z gniewem.

W kilka dni później przy ćwiczeniach, gdy zakomenderowano:

— Baczość! Prezentuj broń!

Jaśko, który szukał oczyma swego swojaka zrobił niezręcznie ruch szablą, przepisany na pierwsze tempo, a mianowicie, powinien był postawić obnażoną klingę prostopadle przed sobą, by koniec rękojeści sięgał ostatniego guzika munduru i dopiero na drugie tempo komendy miał szablę zniżyć do ziemi, równoległe z prawą nogą. Tymczasem Jaśko przesunął szablę za daleko na lewo. Zauważył to podoficer i surowym spojrzeniem zganiał pomyłkę, nie robiąc na razie użytku, gdyż właśnie na plac mustry nadjechał rotmistrz.

Lecz tego samego dnia po południu podoficer rozkazał stawić się Jaškowi w swym pokoju do mustry osobnej.

Zbladł Jaśko, już nieraz doświadczał tej mustry. Ubrał się stosownie do rozkazu w umundurowanie marszu i poszedł.

Podoficer siedząc na krześle z cygarem

w ustach, skinął mu głową lekko i rzekł do stojącego w pogotowiu:

— Stiglitz, dzisiaj zepsuleś porządek linii... nie umiesz prezentować...

— Baczość! Prezentuj broń! — zakomenderował.

Jaśko wykonał rozkaz.

— Hm... ujdzie od biedy... jeszcze raz... — i znów padły słowa komendy.

Po trzykrotnem powtórzeniu ćwiczenia pozwolił mu na chwilowy spoczynek, co już było dowodem bardzo wielkiej łaski i rzekł dość łagodnie:

— Stiglitz, ty tracisz pieniądze... fetujesz niepotrzebnie tych i owych... czy pomyślałeś, co będzie, gdy roztrwonisz wszystko?

— Nie dopuszczę do tego.

— Wiesz co Stiglitz, daj mi na przechowanie pieniądze.

Jaśko zawahał się, wprost odmówić niebezpiecznie, znów oddać, to na wieczne nieoddanie, a może mścić się będzie, gdyby się upomniał. Chwilę krótką namyślał się i prostując się rzekł:

— Melduję pokornie panu podoficerowi, że dałem pieniądze na przechowanie.

— Komu?

— Huzarowi Fryderykowi.

— Ach to ten z gimnazyum!... Przepadną ci co do feniga, to hołysz.

— Dałem przy świadku i obowiązałem się słowem honoru, że więcej nie wezmę na miesiąc jak piętnaście marek.

— Ho, ho — uśmiechnął się z przymusem — jak widzę, jesteś w jego kurateli.

— Dobrowolnie.

— A wiesz Stiglitz... właśnie potrzebuję piętnaście marek... przyznam ci się, że męczy mnie moja dziewczyna o pierścionek... Pierwszego mają dostaną pieniądze, ale dziś mi zabrakło... Weź od Fryderyka, pożycz mi, ale to tajemnica, ani słowa nikomu... Rozumiesz?

— Wedle rozkazu pana podoficera.

— Czekam ciebie za godzinę... tutaj... a teraz: Baczność! Prezentuj broń!

Powtórzył trzy razy komendę, wreszcie przemówił z łaskawym uśmiechem:

— Ty Stiglitz masz zacięcie na huzara... tylko brakuje ci wprawy... pilnuj się i uważaj... za godzinę przyjdź!

— Wedle rozkazu pana podoficera.

Zrobił zwrot na miejscu i podzwaniając ostrogami, szedł miarowym krokiem do swej sali.

Gdy już się rozebrał, powiesił rzeczy w przepisany porządku w swej szafie, skinął na Fryderyka i obaj wyszli.

— Słuchaj — zaczął Jaśko — podoficer zażądał, abym mu dał moje pieniądze na przechowanie.

— I tyle widziałbyś — zaśmiał się.

— Wymówiłem się, mówiąc, że złożyłem u ciebie przy świadku...

— Cóż on na to?

— I dodałem jeszcze, że dałem ci słowo honoru, iż nie wezmę więcej na miesiąc, jak piętnaście marek.

— Hm... pewno zażądał tyle?

— Zgadłeś — zaśmiał się Jaśko — i za godzinę mam mu oddać.

— I dasz?

— Cóż mam robić?

— Na twoim miejscu byłbym mu dał odczepnego pięć marek, a za resztę musiałbym kupić to i owo dla siebie.

— Prawda.. szkoda, że tak nie zrobiłem — westchnął Jaśko.

— I tak dobrze postąpiłeś, ani myślałem, żeś taki sprytny.

— A jak myślisz Fryderyku, czy te pieniądze przepadną?

— Bądź pewny — zaśmiał się.

— I na takiego zbója, zdziercę, muszę traścić zarobione marki — oburzył się Jaśko.

— Pociesz się — uśmiechnął się — że nie zabrał ci więcej.

— Myślisz, że dałbym?

— Naturalnie... Zacząłby z tobą mustrę jak z rekrutem, na placu osobno, w pokoju, na ko-

niu, bez konia... i musiałbyś być potulny, nawet sam oddałbyś runo, aby skórę zaoszczędzić.

— Tyś jednak przewidujący.

— Bo się uczyłem czegoś w życiu.

— Wiesz, gdybyś kiedy był na naszym Śląsku, wstąp do mnie do Radoń, przyjmę cię jak brata, mówił rozczulony.

— Chociażem Niemiec — zaśmiał się.

— Ba, Niemiec Niemcowi nie równy, a już ja uprzędę swoich.

— Hm... zobaczę... wstąpię... jeśli będę kiedykolwiek na kresach... Cóż powiedział ci twój swojak?

— Jedna bieda tak u nich, jak i u nas.

— Jaka?

— Ano, względem Niemców.

— Mieźże rozum i nie gadaj o tem głośno.

Spojrzał Jaśko na niego podejrzliwie i rzekł:

— Zapomniałem się.

— Ty możesz przede mną mówić, bo ja Hanowerczyk, ale przed Prusakami strzeż się... mogą ci przedłużyć służbę na rok albo i więcej.

— Dziękuję ci... będę uważał.

Po upływie oznaczonej godziny, Jaśko mnąc w rękę piętnaście marek, zapukał do drzwi podoficera, który widząc go spojrzał na zegarek:

— Stawileś się na czas, to obowiązek hurtara... Masz pieniądze?

— Przyniosłem — i położył na stole przy lampie.

Podoficer przeliczył starannie, schował, mówił:

— Odbierzesz w swoim czasie. Czy powiedzialesz Fryderykowi?

— Zażądałem od niego pieniędzy na podszewkę butów, na kupno tych i owych rzeczy potrzebnych.

— To dobrze... i pamiętaj słowa nikomu, bo źle będzie.

— Wiem o tem.

— A gefrajtera nie potrzebujesz ugaszczać... już ja mu powiem.

— Dziękuję pokornie panu podoficerowi, bo też pisał mi ojciec, że więcej ani feniga mi nie przysze... a służba długa... pieniędzy trzeba.

— Te u mnie są jak w kasie.

— Ja to wiem.

— Za dwa dni wyruszamy na manewra, tobie tylko to mówię — powiedział łaskawie — przygotuj się z jedzeniem, bo na biwaku bywa głodno i chłodno.

— Dziękuję pokornie panu podoficerowi.

— Idź... a w swoim czasie oddam ci pożyczone mi marki.

— Wedle rozkazu pana podoficera.

dać po śląsku, nie dawała Jaškowi spokoju, i stopniowo ovladala nim zupełnie.

Wprawdzie dotychczas, przez dwa lata służby wojskowej był dwukrotnie u spowiedzi wielkanocnej, ale wyznawał swe grzechy w języku niemieckim, nie umiał właściwie ich nazwać... odsłonić spowiednikowi stanu swej duszy... powiedzieć o pokusach trapiących... zasięgnąć rady... prosić o rozstrzygnięcie wątpliwości i wskazówki jak ma postąpić...

Ileż to razy słyszał bluźnierstwa; naśmiewanie się protestantów z jego czci Matki Boskiej i Świętych; drwiny, gdy zoczyli jego medalik i szkaplerz...

A te jego myśli rozpaczliwe, które go wiodły na brzeg przepaści i tak ponętnie kusily, obiecując mu spokój, niezależność, wolność od wszelkich kar i znęcań wojskowych, i one były przecież ciężkim grzechem i chciał wyznać spowiednikowi, ale nie umiał znaleźć słów niemieckich.

W sercu jego gnieździło się tyle goryczy, złości, nienawiści, iż z trudnością określiłby po śląsku ich stopień i siłę, a cóż dopiero po niemiecku.

Jednak mimo tych wątpliwości i spowiedzi, która niezadawalniała jego sumienia, musiał się komunikować, gdyż podoficer dozorował ich w kościele i w danej chwili kazał przystępować do ołtarza, więc czy nie popełnił on świętokradztwa?

XI.

Wrócili z jesiennych manewrów do Langendorf na leże zimowe.

Michał Gruda i Jasiak, jakkolwiek spotykali się na kurytarzu, w stajni, na placu, porozumiewali się więcej oczyma aniżeli słowami w obawie, że podsłucha ich ktoś i doniesie przelożonym, iż używają innego języka, aniżeli był przepisany.

I dopiero przy zachowaniu wszystkich ostrożności szeptali do siebie w rodzinnym języku.

— Wiesz Jašku — powiedział cicho Michał Gruda — pisał mi jeden kamrat z pierwszego szwadronu, że przyjechał do Paderbornu ksiądz nasz i spowiada teraz.

— Co ci się śni!? Nasz ksiądz tutaj!?

— Wierz, albo nie wierz, ale ja będę prosił o pozwolenie spowiedzi.

Wtem ujrzeli, że ktoś nadchodzi, urwali rozmowę i rozeszli się w inne strony.

Od tej chwili myśl, że może się wyspowia-

Zadrzał i zimny pot go oblał na samo przypuszczenie takiego grzechu, za który nawet piekło jest za łagodną karą.

A że rozmyślania te i rozpamiętywania opanały go w nocy, jał modlić się gorliwie, błagając Boga o ratunek i przebaczenie. Modlił się i bił się w piersi tak silnie, że dyżurny gefrajter, siedzący za szafami, przeszedł przez salę, a dostrzegłszy poruszenie Jaśka, zawołał surowym głosem:

— Cicho!... Spać!... Co robiles?

— Modliłem się — szepnął Jaśko.

— Osłe jakiś, na modlitwę jest czas wyznaczony. Nie słyszałeś sygnału wieczorem?

— Słyszałem.

— Miałeś czas pomodlić się, a teraz śpij i nie przeszkadzaj innym.

Mimo rozkazu gefrajtera, Jaśko nie mógł usnąć.

W sali mrocznej słychać było ciężkie oddechy ludzi spracowanych i zmęczonych. Ktoś jęknął przez sen, tamten rzucił się na łóżku i zabelkotał początek komendy... inny szepnął błagalnym głosem jakieś usprawiedliwienie czy prośbę... ów rzucił wyraz: Boże... czasem znów rozległ się cichy śmiech, wesoly okrzyk... może śnił o dalekiej rodzinie, o swojej wsi i zabawach.

Skuci przez cały dzień obowiązkiem, tylko we śnie odnajdowali chwilę swobody i wolności.

Wreszcie nad ranem Jaśko usnął, a tak był przejęty poczuciem swej winy i wielkich grzechów, że chodził i pełnił służbę machinalnie, bez duszy, patrzył szklannymi oczyma, zwróciwszy całą energię w głąb siebie, wsłuchany w najłżejsze drgania przebudzonego sumienia.

I gdyby nie owa pożyczka pieniędzy podoficerowi, dotychczas mu niezwrócona, gdyby nie poczęstunek podoficerów w każdą sobotę, byłby niechybnie ukarany, a teraz skończyło się na lajaniu i potracaniu.

Tej apatyi w życiu czynnym nie przerwała wiadomość, która silnie zainteresowała cały pluton.

Zaledwie skończyli obiad i weszli do sali, gdy zjawił się dyżurujący podoficer z rozkazem rotmistrza i ogłosił:

— Huzar Wilhelm Krug, zostaje przydzielony do obsługi koni pana rotmistrza.

— Wedle rozkazu — odpowiedział zadowolony, spojrzawszy tryumfalnie na swych towarzyszków.

Widział zazdrość na twarzach, i to napelniało go radością, a gdy niektórzy winszowali mu tej zmiany, zaprosił ich wieczorem na piwo.

Wkrótco cały pluton dowiedział się bliższych szczegółów.

Dotychczasowy ordynans dwóch koni rotmistrza, będących jego prywatną własnością, za-

chorował, a wachmistrz wywdzięczając się za poczęstunki, zaproponował na 'to miejsce Wilhelma Kruga.

To nowe zajęcie uwalniało Wilhelma od mustry i wielu ćwiczeń, a prócz tego, będąc w pobliżu komendanta szwadronu, miał sposobność szepnąć złe lub dobre słówko o tym lub owym, i zawsze było bezpieczniej mieć w nim przychylnego.

To też nie tylko huzarzy starali się o jego przyjaźń, ale nawet podoficerowie łagodnie i z pewnym szacunkiem przemawiali do niego.

Wilhelm traktował swych kolegów dosyć dumnie i obiecywał tym i owym swą łaskę; a na Jaśka patrzył wzgardliwie, obiecując sobie zaszkodzić mu przy pierwszej sposobności.

Ci, którzy znali ich nieprzyjaźń, już teraz spoglądali na Jaśka z pewnem politowaniem, dziwiąc się zarazem obojętności z jaką przyjął wiadomość o szczęściu Wilhelma, którego rozdrażniało to zachowanie się.

Jaśko pochłonięty uczuciami religijnymi, zatopiony w rozpamiętywaniu swych grzechów, ciągle pomiędzy obawą nieotrzymania rozgrzeszenia, a nadzieją odpuszczenia, zaledwie zauważył powodzenie Wilhelma, i trapiiony niepewnością poszedł szukać Michała Grudy, pełniącego służbę w innym plutonie.

Znalazł go i skinął, by szedł z nim w kąć ustronny.

— Michale, a ty będziesz się spowiadał u naszego księdza? — spytał szeptem, rozglądając się trwożliwie, czy kto nie słyszy.

— Już ci raz mówiłem, że będę... teraz pisze mi swojak, iż nasz ksiądz będzie spowiadał w piątek i sobotę.

— To już za cztery dni! — zawołał glosem, w którym drżała obawa.

— Cicho! — ścisnął go Michał za rękę — jeszcze kto posłyszysz, zamkną nas i pożegnaj się ze spowiedzią.

— Prawda... tak mi się wyrwało... więc to za cztery dni — westchnął.

— Iii, nie. Od tego piątku za tydzień, jest w liście.

— To i dobrze — odetchnął z ulgą — jest czas przygotować się należycie.

— Bacz tylko Jaśku, abys co nie przeszkobał przez ten czas, bo minie cię spowiedź, a nasz ksiądz wyjedzie z Paderbornu, przecież wiekować między niemieckim narodem nie będzie.

— Już ja się dopilnuję.

— Słyszałem Jaśku, że z waszego plutonu Krug naznaczony na ordynansa.

— Tak jest.

— Podły szwab ma szczęście, naszego nigdy by nie dali.

— To się wie, od tego są Niemcy.

— A ty Jaśku się nie boisz, bo on może ci teraz dogryźć do żywego.

— Ee, nie boję się, byłem tylko odbył spowiedź i oczyścił się z grzechów, to przed nikim strachu nie mam.

— To się wie, że czyste sumienie to grunt... ale wiesz Jaśku, mam ci boja przed starszymi, bo u nich ukarać, to jakby nam splunąć.

— Wiadome rzeczy, każdy Niemiec taki.

— Ba, z innym możesz się prawować, skrzyżać, skłąć, a tu smutny jesteś, to źle, a śmiejesz się, także źle.

— Jeszcze rok tej męki — szepnął Jaśko.

— Ja jeszcze dwa lata — westchnął Michał.

W sobotę jak zwykle zaprosił Jaśko na piwo swoich dwóch podoficerów, a gdy już pili po drugim kuflu, rzekł do starszego:

— Prosiłbym też łaski pana podoficera...

— Cóż nowego? Gadaj — odparł chmurny, obawiając się zażądania zwrotu piętnastu marek.

— Chciałbym się wypowiadać w przyszłym tygodniu.

— Ty?! Spowiadać się!? Czy nie dosyć ci wielkanocnej spowiedzi?

— My na Śląsku zwyczajni spowiadać się co kwartał?

— To też oglupiają was księża do niemożli-

wości, i zawsze z wami Ślązakami mamy największy kłopot.

— Hm... może to i prawda, że panowie macie kłopot z nami... ale prosiłbym pokornie, by pan podoficer przemówił za mną słówko u pana wachmistrza.

— Co to?... Czy chcesz się od służby uwolnić.

— Nie... tylko do spowiedzi.

— Ach ty osłe, — zaśmiał się drugi podoficer, — poco ci to? A chcesz się koniecznie wypowiadać, spowiadaj się przed nami, nasze rozgrzeszenie ma większą wartość, aniżeli księdza, — i śmiał się ze swego dowcipu.

Jaśko zaczerwienił się z oburzenia, ale zaciśnął zęby i milczał.

— Słuchaj Stiglitz, — rzekł ze śmiechem starszy podoficer, — jeśli ja rozgrzeszę ciebie, miną cię kary... Ksiądz nie ma u nas żadnego znaczenia i chociażby cię tysiąc razy rozgrzeszał, nasza kara cię nie minie.

— No, spowiadaj się, — śmiał się drugi, — nie chcesz, ja powiem twe grzechy. Oto pierwszy, że jesteś skąpy... widzisz puste kufle przed nami, a ty nie każesz ponalewać.

— A, to dobre, to doskonale! — śmiał się starszy, pokładając się na krześle.

— Hej, gospodarzu, proszę o piwo, — zawołał Jaśko.

— Otóż i ten grzech na dzisiaj ci przeba-

czony, — śmiał się młodszy, — i powiadam ci Stiglitz, że łatwiej u nas znajdziesz rozgrzeszenie, aniżeli u księdza.

— Wolne żarty panów podoficerów — odezwał się Jaśko z przymuszonym uśmiechem, — ale prosiłbym o protekcję.

— Hm... kiedy się tak upierasz, — rzekł po chwili starszy, — pomyślę o tem, a kiedy chciałbyś jechać do Paderbornu?

— W piątek, albo w sobotę na przyszły tydzień.

— Dlaczegoż to w te dni, możeby w inne?

— U nas katolików te dni są przeznaczone na pokutę.

— A to jakim sposobem? — śmiał się młodszy podoficer.

— W piątek pościmy.

— Prawda, prawda, przypominam to sobie, — powiedział starszy, — hm... pomogę ci, ale ty wiesz Stiglitz, nie darmo.

— Dobrze panie podoficerze, — westchnął.

— Nie stękaj jak krowa, — zgromił go, — łaskę ci robię, a ten zamiast się cieszyć, będzie postękiwał!

— To niechący, — bronił się Jasiak z wesołym uśmiechem.

— Tak, to dobrze. Otóż ja zaproszę na kolację wachmistrza, przedłożę mu twoją prośbę... może się uda. Naturalnie ty będziesz przy tem i zapłacisz rachunek.

— Dziękuję panu podoficerowi i chętnie zapłacę.

W tej chwili wszedł wachmistrz do kantyny, starszy podoficer wstał z krzesła, mówiąc:

— Trzeba korzystać ze sposobności, zaraz go zaproszę.

Przystąpił do wachmistrza, pogadał z nim słów kilka i prowadził do stołu, przy którym siedział Jaśko i młodszy podoficer.

Zerwali się obaj z krzeseł i stanęli w pozycji wojskowej.

Wachmistrz skinął głową i rzekł dość uprzejmie:

— Siadajcie, — i sam siadł na podanem krześle.

— Panie wachmistrzu, — zawołał starszy podoficer, — tak, przed jedzeniem, kieliszek koniaku?

— Nie zaszkodzi.

Gospodarz, który pilnie uważał na ten stół, niewołany postawił butelkę koniaku i cztery kieliszki.

— Ten domyślny, — zaśmiał się młodszy.

— Nie robiłby majątku, — dorzucił wachmistrz, gdy Jaśko rozlewał koniak w kieliszki.

— A dlaczego nie napełniłeś czwartego? dla siebie? — spytał wachmistrz.

— Nie pije... zarzekł się wódki, — śmiał się starszy podoficer.

— To dobrze, — pochwalił wachmistrz.

— Zostanie więcej dla nas! — zawołał wesóło młodszy.

Wypili po kieliszku, a wachmistrz:

— Wcale dobry koniak.

— To na jedną nogę, a teraz na drugą, — rzekł starszy podoficer.

I znów nalal trzy kieliszki, a gdy gospodarz spóźnił się z jedzeniem, zawołał młodszy podoficer:

— Nie rachujecie panowie szabli, a to nasza trzecia noga.

— Co słuszność, to słuszność!

Wypili po trzecim kieliszku, a Jaśko rachował w myśli, ile takie przyjęcie będzie go kosztowało?

Spochmurniał, ale wkrótce rozjaśnił czoło, gdy wspomniał, że tu idzie przecież o ważną rzecz, o pozwolenie do spowiedzi.

Jedli, pili piwo, rozmawiali starsi pomiędzy sobą o wypadkach w szwadronie, o wiadomościach z pułku.

Wreszcie starszy podoficer, widząc niecierpliwość Jaśka, przemówił:

— Panie wachmistrzu, jest tu mały interes do pana.

— Domyśliłem się tego, o co idzie?

— Ten Stiglitz, — wskazał na Jaśka, — chciałby się wypowiedzieć w przyszłym tygodniu.

— Ho, ho, i to teraz?! — pokręcił głową wachmistrz, patrząc bystro na Jaśka.

— Powiada, że taki u nich zwyczaj.

— Hm... religijne formy zaleca nawet instrukcyja wojskowa, każe ich dotrzymywać... ale bez bigoteryi, bez płaszczenia się księżom, bo huzar zna jednego tylko pana, to galony! — wskazał na odznakę wachmistrzowską.

— Prawda, ale cóż robić z głupim i upartym Ślązakiem, — śmiał się starszy, — prosi o spowiedź.

— Radziłem mu, — dorzucił wesóło młodszy podoficer, — aby przed nami się wypowiedział, to powinno mu wystarczyć.

Wachmistrz nachmurzył czoło i rzekł dość surowo:

— Z innych wyznań, chociażby najgłupszych, instrukcyja zabrania wszelkich drwin... A swoją drogą, — uśmiechnął się, pozbywając się miny przełożonego, — dowcip ten jest dobry i praktyczny.

— Zwłaszcza praktyczny, — roześmiał się starszy podoficer, — mieliśmy przez skąpstwo Stiglitz'a szklanki puste i kazał je napelnić.

— No, no, to dobry koncept — śmiał się szczerze wachmistrz.

Zaczęli opowiadać sobie anegdotki i dowcipy z życia żołnierskiego, zabawiali się wesóło. Wreszcie, wachmistrz, spojrzawszy na zegarek, rzekł z powagą:

— Teraz, według zwyczaju, ale nie ślą-

skiego, — zaśmiał się drwiąco, — tylko naszego, huzarskiego, napijemy się grzanego wina do poduszki.

Posłuszny Jaśko kazał podać cztery szklanki.

— Stiglitz, — zawołał młodszy podoficer, — a co u was, na Śląsku piją wieczorem?

— Pewno rozczyn z otrąb, albo polewkę z wody, — zadrwił starszy podoficer, puszczając kłęb dymu, — tak przynajmniej opowiadał nam Krug.

— My biedni ludzie nie mamy na piwo nawet, — odpowiedział spokojnie Jasiek, chociaż wrzało w nim na te kpiny i drwiny Niemców.

— A jednak ty masz pieniądze!

— Zaoszczędzone z własnej pracy.

— Kto wie, czy ten Krug nie dosłuży się stopnia podoficera, a przynajmniej gefreitera, — rzekł młodszy.

— Byłby napewno został, gdyby nie ta przygoda ze Stiglitzem, — objaśniał wachmistrz, — otrzymana kara powstrzymała awans.

— Szkoda, to dobry chłop, — westchnął starszy podoficer.

— Może teraz naprawi to, co zepsuł, bo jest blisko rotmistrza, — zrobił młodszy uwagę.

Gospodarz przyniósł grzane wino, zaczęli pić, a Jaśko kręcił się niespokojnie, gdyż dotychczas nie wiedział, czy wachmistrz poprze jego prośbę,

czy też sprzeciwi się. Wreszcie odważył się przypomnieć tę sprawę:

— Panie wachmistrzu, czy mogę liczyć na pozwolenie do spowiedzi?

Spojrzał zapytany na Jaśka dziwnym wzrokiem, jak gdyby pierwszy raz posłyszał tę prośbę i rzekł:

— Hm... spowiedź?!... To właściwie gruby zabobon... i nie wiem, czy się wogóle godzi popierać taką głupotę?

— Pan wachmistrz ma rację, — pochwycił młodszy podoficer, — ci Ślązacy to strasznie głupi i zabobonny naród... i najgorsi rekruci.

— Hm... niższa rasa, cóż dziwnego, — przemówił wachmistrz z powagą, — i kiedy im pozwolono na honor służenia w naszej armii, należałoby ich cywilizować... co do spowiedzi bardzo wątpię, czy pan rotmistrz pozwoli...

Jaśko pobladł i blagalnie spojrział na starszego podoficera, który skinął mu głową na znak, że rozumie jego prośbę, i rzekł wesoło:

— Ej, panie wachmistrzu, dla głupich trzeba być wyrozumiałym... dla nas spowiedź ich to zabobon, ale jeśli oni wierzą... my mądrzejsi pozwólmy... ot, niech postawi jeszcze grzanego wina, cygar dobrych, i niech go tam!

— Tylko na prośbę tę i wstawienie zgodzę się przedstawić tę rzecz panu rotmistrzowi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu wachmi-

strzowi, — zawołał Jaśko uradowany, — gospodarzu, cztery szklanki wina grzanego.

— Ale Stiglitz, pamiętaj, — upewniał wachmistrz — pozwalam na spowiedź nie dla głupiej tej kolacyi i wina, lecz abyś spełnił twe obrządki religijne, i jeszcze jedno najważniejsze. Jeśli wpłynie najmniejsza skarga na ciebie w przyszłym tygodniu, nie pozwolę na twe praktyki religijne.

— Rozumiem panie wachmistrzu.

Jaśko przekonany, że wypowiada się wreszcie po śląsku, był pełen energii i obowiązki swe wojskowe spełniał tak dokładnie, że zadowolil przełożonych. We czwartek rano miał prosić rotmistrza o pozwolenie wyjazdu do Paderbornu celem wypowiedania się. Tymczasem we środę, dyżurny podoficer wszedł do sali czwartej, znalazł łóżko Jaśka niestarannie zasłane, były faldy na kocu i poduszka cokolwiek skrzywiona, począł go surowo ganić i kazał utworzyć szafę z rzeczami. Jaśko blady, zatrwożony, wyjął kluczyk od swej szafy ze skórzanego woreczka zawieszzonego na piersiach, i podał podoficerowi. Ten, przejrzawszy dokładnie mundury i inne rzeczy, znalazł w rogu szafy okruszyny z chleba i brudną bieliznę. Wprawdzie u każdego z huzarów mógł znaleźć podobny nieporządek, wzbromiony regulaminem, ale patrzano na to przez szpary, tym razem dyżurny podoficer postano-

wił zastosować się ściśle do regulaminu i zawołał:

— Stiglitz, jaki u ciebie nieporządek! Patrz, śmiecie... brudy... łóżko niezasłane... muszę cię podać do kary!

Wyszedł, a za nim wybiegł Jaśko na kurytarz i rzekł błagalnym głosem:

— Panie podoficerze, już nigdy tego nie zrobię!... Nie podawaj mnie pan.

— Hm... cóż to znowu za bezczelność?! Zaszłużyłeś i koniec.

— Prawda, ale niech się pan podoficer zlituje ten raz na demną.

Zmierzył go ironicznem spojrzeniem, i po dobrej chwili powiedział:

— Idź kanalio śląska do twego podoficera, jeśli on wstawi się za tobą, może ci przebaczę tym razem.

— Wedle rozkazu pana podoficera, — salutował Jaśko, i poleciał do swego podoficera.

W pokoju zastał starszego i młodszego podoficera ze swego plutonu, którzy nie zdziwili się jego wejściem, a starszy spytał:

— Czego chcesz Stiglitz?

— Melduję pokornie panu podoficerowi, że dyżurny pan podoficer znalazł w mojej szafie okruszyny z chleba i brudy.

— Cóż to mnie obchodzi? Jeśli znalazł, on powinien meldować.

— Pan dyżurny podoficer, kazał mi powiedzieć, iż jeśli pan podoficer wstawi się za mną, on nie poda mnie do kary.

— Hm... hm... czy to się opłaci?... Wiesz Stiglitz, kara będzie mała...

— Ależ idzie mi o spowiedź!

— Prawda, o tę spowiedź, — i śmiał się głośno i długo, a wtórował mu młodszy podoficer, wreszcie spytał kolegi:

— Nie wiesz, kto dziś dyżuruje?

— Wimmer.

— Hm... ten, trudny, — mówił zamyślony, — ale spróbuję... przyjdź Stiglitz dzisiaj wieczorem do kantyny, może się uda... tylko on lubi wyć dużo i dobrze.

— Radzę ci, daj sobie spokój, — dorzucił młodszy podoficer, — będzie cię drogo kosztowało, a kara niewielka...

— Nie mogę... zależy mi na spowiedzi.

— W takim razie, w kantynie wieczorem.

— Wedle rozkazu pana podoficera.

Gdy zamykał drzwi, usłyszał gruby, wesoly wybuch śmiechu obu podoficerów. Teraz jasną było rzeczą dla niego, że padł ofiarą zmywy, i musi postawić drogą kolację. Zatrząsał się z gniewu i oburzenia na ten wyzysk, i powstała myśl zemścić się, by wieczorem spotkał zawód podoficerów; odcierpi karę, ale nie zapłaci kolacyi.

Uśmiechnął się na myśl, że wróci do obu podoficerów rozweselonych i zawiadomi ich o braku pieniędzy na kolację.

Ale... spowiedź przed śląskim księdzem! Nie, nie można, drugi raz podobna sposobność się nie zdarzy... i znowu cały rok długi aż do powrotu, będzie dźwigał ciężar grzechów i znosił wyrzuty sumienia. Straci wprawdzie pieniądze, ale się wypowiada należycie, odzyska spokój duszy...

— Niech ich tam jasne pioruny pobiją tych podłych wydrwigroszów! Zapłacę tę kolację!

Istotnie trzech podoficerowie uraczyli się sówicie, a Jaśko zapłacił słono.

Na drugi dzień, we czwartek, gdy wachmistrz miał plutonowym podoficerom odczytać parol na dzień następny, przyszedł nadporucznik w miejsce rotmistrza, i rozporządził, by cały szwadron wysłuchał parolu na placu mustry.

Wachmistrz zameldował mu ilość huzarów, stan koni, wreszcie prośbę Stiglitza i Grudy o spowiedź.

Nadporucznik kazał im wystąpić ze szeregu, spojrzal na obu bladych i drżących, i zwrócił się do wachmistrza:

— Tych dwu głupców nie można samych posyłać do Paderbornu.

Wachmistrz, pamiętny poczęstunku Jaśka, salutował i rzekł:

— Melduję pokornie panu nadporucznikowi, że w szwadronie mamy jeszcze kilku katolików, możeby i tamci mogli się wypowiadać, mielibyśmy w szwadronie spokój do nowego roku.

— Hm... może to racya... każ wystąpić.

— Szwadron, baczość! — komenderował wachmistrz, — który z katolików chce się wypowiadać, niech wystąpi ze szeregu.

Wyszło czterech, a nadporucznik uznał za właściwe tym sześciu pozwolić na spowiedź, i celem dozoru przydał im podoficera, również katolika, rozkazując:

— Wachmistrz! Jutro po oczyszczeniu koni wysłać tych ludzi, — wskazał na sześciu huzarów, — pod dozorem podoficera do Paderbornu koleją, o siódmej rano.

— Wedle rozkazu, — salutował wachmistrz, a widząc, że nadporucznik odchodzi, — szwadron równaj się! baczość! Oczy w prawo!

Nadporucznik odsalutował i wyszedł.

— Szwadron! Dwójkami, marsz! — wskazał koszary.

Wieczorem, po zajęciach, wyszukał Gruda swego swojaka Jaśka:

— Jak myślisz, czy możnaby dziś prosić o nasze książki do nabożeństwa?

— Hm... prosić można, — ale czy da, to inna sprawa.

— Bo chciałbym się przygotować do świętej spowiedzi...

— Ja to wiem, — westchnął Jaśko, — ale wachmistrz wydaje nam książki do nabożeństwa dopiero rano, gdy idziemy co czwartą niedzielę do kościoła... może i teraz odda nam rano.

— Spróbujmy, — zachęcał Gruda, — a może nam wyda...

Wyszukali podoficera pełniącego służbę dnia i pierwszy Jaśko:

— Melduję pokornie panu podoficerowi prośbę o wydanie mojej książki do nabożeństwa, jako jutro idę do spowiedzi.

Tę samą formułkę powtórzył Gruda.

— A wam na co książki dzisiaj? — spytał surowym tonem.

— Odmówić przepisane modlitwy, — odpowiedział Gruda.

— Nic z tego nie będzie, — zawołał opryskliwie. — Tobie Gruda nie dziwię się, boś ty głupi, młody żołnierz, ale czy ty Stiglitz, nie znasz przepisów wojskowych?... Czy mam cię odesłać do szkoły rekruckiej?... Gadaj, jakie są przepisy?

Jaśko stanął wyprężony w pozycji wojskowej i recytował:

— Żołnierz składa na wyższej półce szafy wszystkie książki, jakie tylko posiada, aby przełożeni mogli sprawdzić ich treść i jakość. Książki

drukowane w innym języku, aniżeli w niemieckim, mają być bez wyjątku oddane do przechowania wachmistrzowi, który w razie koniecznej potrzeby, jak nabożeństwa, wydaje żołnierzowi, ale tylko na czas trwania nabożeństwa.

— Hm... dobrze. Lecz jeśli ośle jakiś znasz przepisy, poco meldujesz podobną prośbę, i zawracasz mi głowę czemś podobnem.

— Sądziłem, że przed spowiedzią... — bąknął Jaśko nieśmiało.

— Schowaj dla siebie swe głupie myśli... Dosyć tego... Zwrot na lewo! Marsz!

— A mówiłem ci, — szepnął Jaśko, gdy się oddalili od podoficera, — dobrze jeszcze, że nie podał do kary.

W oznaczonej godzinie ustawili się ci, którzy mieli jechać do spowiedzi, w kurytarzu koszar. Nadszedł podoficer, trzymając w rękę dwie książki do nabożeństwa, Jaśka i Grudy, spojrział na obu, na książki, a widząc na ich twarzach chęć otrzymania książek do rąk, zawahał się chwilę, wreszcie obie schował w kieszeń płaszcza.

— Baczość! Oddział dwójkami, marsz! — zakomenderował i stanął na czele.

Szli przez puste, nagie pola, mijając drzewa przydrożne, odarte z liści, a na zmarzniętej drodze podzwaniały ostrogi, czasem szczęknięła szabla. Gdzieniegdzie porwała się wrona, kracząc,

załopotala w powietrzu, i siadała znów na drodze, szukając żeru.

Dzień był szary, chmurny, bez przebłysków słońca, ale Jaśkowi w duszy było jasno, gdyż dopiął swego, wypowiada się po śląsku, jedyna rzecz niepokoiła go, czy istotnie odszuka księdza śląskiego w kościele.

— Kamrat, — odezwał się do idącego obok Grudy po niemiecku — a księdza znajdziemy?

— Poprosiłem przyjaciela, by czekał na nas w kościele, — odpowiedział w tym samym języku.

— Dobrze zrobileś, — mruknął Jaśko.

Weszli na mały peron dworca kolei i gawędząc o tem i owem czekali nadejścia pociągu.

Wtem posłyszeli głuchy turkot powozu na drodze, podoficer spojrział i rzekł:

— Pan rotmistrz jedzie... Stańcie w szeregu.

Po chwili wszedł na peron rotmistrz, a za nim, z kuferkiem ręcznym w rękę, Wilhelm.

— Oddział, baczość! Oczy w prawo!

Rotmistrz spojrział, skinął głową, i rzekł tonem zapytania:

— Wszyscy do spowiedzi?

— Tak jest panie rotmistrzu, z wyjątkiem mnie, wszyscy.

— Dobrze, — rzekł rotmistrz, i przeszedł na drugą stronę peronu.

Wilhelm przyłączył się do huzarów, wyra-

zając zdziwienie, że idą do spowiedzi w niezwykłym czasie; nie wiedział bowiem o pozwoleniu, gdyż od czasu nowego zajęcia jadał tylko obiady w koszarach, a spał i resztę czasu poza doglądaniem koni, spędzał poza koszarami, w innym budynku, w pobliżu mieszkania rotmistrza.

Na jego pytanie odpowiedział podoficer uprzejmym głosem:

— Stiglitz i Gruda prosili o pozwolenie spowiedzi, znalazło się jeszcze czterech, a mnie komenderowano z nimi.

— Tak? — spojrzał złośliwie na Jaśka — hm... coś w tem być musi... a długo pan podoficer zabawi w mieście?

— To zależy...

Wtem nadbiegł pociąg idący w kierunku Paderbornu, i wszyscy huzarzy wsiedli do jednego przedziału.

Przy podoficerze usiadł Wilhelm, a dalej reszta huzarów.

Gdy pociąg ruszył, odezwał się podoficer do swego sąsiada:

— Nie wiesz, w jakim celu jedzie pan rotmistrz do miasta?

— Domyślam się, że na jarmark doroczny... może kupi konia.

— Ma przecież dwa na stajni.

— To są powozowe, pewno poszuka wierzchowca dla siebie.

Podoficer, któremu zawadzały w kieszeni książki do nabożeństwa, wyjął je i oddał Jaśkowi i Grudzie.

Ucieszyli się obaj, bo przecież ta książka, to żywy świadek ich życia w domu i na wsi, to wspomnienie jasnych dni, ona wraz z kościołem wiejskim, to poezya ich życia, jedyna chwila, w której ze świata trudów i ciężkiej pracy, wchodzi w cudowny kraj wiary i poezyi.

Natychmiast poczęli odczytywać stosowne modlitwy i tak się zaczytali w znanych sobie kartach, że nie zauważyli rozmowy Wilhelma z podoficerem prowadzonej półgłosem.

— Czy Stiglitz pierwszy się zgłosił? — spytał Wilhelm.

— Tak jest. Byłem wówczas na służbie.

— To musi być jakiś podły, śląski wybieg... on coś wie...

— Ale, coś ci się majaczy, — zaśmiał się podoficer, — to zwykła rzecz.

— Pan podoficer nie zna tego podłego plemina śląskiego, — mówił podniecony Wilhelm, — nigdy nie można mu dowierzać, na dnie zawsze odnajdzie się jakaś chytryść, wybieg...

— Hm... wątpię, ale będę uważał.

— I ja, o ile mi czas pozwoli, wpadnę do fary... ach, chciałbym go złapać, — westchnął, i spojrzał nienawistnie na Jaśka — Widzi pan pod-

oficer, — zaśmiał się złośliwie, — jak on czyta swą śląską książkę?...

Podoficer spojrział, a Jaśko istotnie cały rozpromieniony radością, zatopił się w odczytywaniu modlitw, z których każda wiązała się z miłym wspomnieniem, a dziś była tem droższą dla niego, że wzbroniona.

— Prawda... jaka to marna rasa, ta śląska... my Niemcy nie przywiązujemy takiego znaczenia do tych form.

— Bo dla tych psich Ślązaków, — odpowiedział Wilhelm, — ich wiara jest murem, za którym się chronią przed nami.

— Hm... wiary nie można im odbierać, — rzekł podoficer, sam katolik.

— Nie idzie o wiare, ale należałoby im zabronić czytać, mówić, myśleć po śląsku... dopiero byłby spokój.

— No tak, zapewne, przecież religia nie powinna mieć nic wspólnego z językiem... Wszystko jedno jak chwali Pana Boga, byle chwalił.

W tej chwili Jaśko spytał po śląsku swego sąsiada:

— Michale, a u was śpiewają »Serdeczna Matko«, i na jaką nutę?

W tej chwili mimo turkotu kół wagonu dosłyszał Wilhelm akcent nienawistnego dla siebie języka i szepnął:

— Mówią po śląsku.

Podoficer podniósł się z miejsca i krzyknął surowo:

— Stiglitz, w jakim języku przemawiasz?

Zmieszany Jaśko stanął i odpowiedział ze skruchą:

— Tylko przez pomyłkę, panie podoficerze.

— Żeby mi się to nie powtórzyło, — groził przełożony, — jeszcze raz, a kara cię nie minie.

— Wedle rozkazu pana podoficera.

— Wierz mi pan, — upewniał Wilhelm, — to podle plemię jest niepoprawne.

— Już my je poprawimy — zaśmiał się podoficer.

Pociąg stanął w Paderbornie.

Huzarzy, z podoficerem na czele, poszli wprost do fary.

W przedsionku kościoła spotkał Gruda swego swojaka, który go objaśnił, w jaki sposób mają poprosić w zakrystyi o spowiedź przed pożądanym księdzem.

Podoficer wyszedł z kościoła. Huzarzy Niemcy ukłękli przy konfesjonalach zajętych przez spowiedników, a Jaśko i Gruda poszli do zakrystyi; i następnie ukłękli na stopniach pustego konfesjonu, oczekując zapowiedzianego przybycia spowiednika.

Właśnie Jaśko skończył spowiedź i skruszony słuchał nauk księdza, gdy do konfesjonu zbliżył się podoficer z Wilhelmem. Ten

przystanął, nasłuchiwał, w twarzy zabłysła radość i szepnął:

— Panie podoficerze, to śląski język!

Podoficer począł nasłuchiwać pilniej i skinął głową potakująco.

Odeszli na chwilę, a gdy Gruda przystąpił do spowiedzi, znów się zbliżyli i przekonali się, że spowiada się w języku zabronionym.

Obaj wyszli z kościoła, a Wilhelm poprosił podoficera na kieliszek koniaku do pobliskiego szynku.

— Ho, ho, ja dobrze znam to chytre plemie, śmiał się zadowolony, — ten Stiglitz dowiedział się o śląskim spowiedniku, pociągnął Grudę, i spowiadał się po śląsku, byle sprzeciwić się instrukcyi wojskowej.

— A może to przypadek, — rzekł podoficer, który jako katolik miał pewne skrupuły w oskarżaniu z powodu spowiedzi.

— Zapewniam pana podoficera, że to rozmyślne oszustwo... zresztą zapytam się o to pana rotmistrza.

Była to pośrednia groźba przeciw podoficerowi w razie zatajenia przez niego faktu spowiedzi śląskiej. I on zrozumiał, gdyż powiedział:

— Ja mam pewne wątpliwości... ale całą sprawę zamelduję wachmistrzowi, niech z nią zrobi co zechce.

— Już on im nie daruje, — zaśmiał się,

a po chwili: — Domyśliłem się jednak słusznie, że nasz rotmistrz przyjechał dla kupna konia, bo kazał mi przyjść na targowicę końską, — spojrzal na zegarek, — o, już na mnie czas!

Rozstali się. Podoficer poszedł do kościoła, aby dopilnować komunii huzarów, a gdy po skończonej modlitwie wyszli na miasto, odezwał się:

— Stiglitz, ty spowiadałeś się po śląsku?

— Tak jest panie podoficerze.

— I ty Gruda także?

— To był nasz ksiądz i po naszymu się spowiadałem.

— Hm... wiem już czego chciałem się dowiedzieć... Co wy teraz robicie?

— Do pociągu mamy cztery godziny czasu.

— Pójdziemy na śniadanie panie podoficerze, — odpowiedział jeden z huzarów.

— Liczę, że nie spóźnicie się na pociąg, bo za to surowa kara, — upomniał podoficer.

— Stawimy się, — mruknęli.

Gdy podoficer oddalił się, wziął Gruda na stronę Jaśka i szepnął:

— Dlaczego on nam mówił o naszej spowiedzi?... a może nas ukarzą?

— Ej, chyba nie, — zaprzeczył Jaśko, — toż idzie tu o spowiedź świętą!

Jasiek i Michał, po śniadaniu poszli na miasto, by porobić sprawunki nie tylko dla siebie, ale i poleczone przez kolegów.

Do pociągu mieli jeszcze dwie godziny czasu, i błądząc po mieście zaszli na plac targowy.

Gwar, hałas, nawoływanie ludzi, mieszały się z trzaskaniem batów, z tupotem i rżeniem koni.

Obydwaj rozmiłowani w koniach, wmieszały się w tłum, oglądając różne konie, udzielając sobie spostrzeżeń. I nie zwracając uwagi na ludzi, znaleźli się nagle w pobliżu rotmistrza i stojącego za nim o kilka kroków Wilhelma.

Już chcieli się cofnąć, ale Jaśko był ciekawy, jakiego konia kupuje rotmistrz i przekonywał towarzysza:

— Na jarmarku wolno nam być, sam rotmistrz mi nie zabroni, bo do pociągu mam wolny czas.

— Ej, lepiej już chodźmy, — ociągał się Gruda.

— Idź, ja zostanę.

Dla kompanii pozostał Michał, a Jasiak dostrzegłszy ruch rotmistrza wskazujący na jednego z koni uwiązanych do tyłu wozu, podsunął się bliżej, by obejrzeć konia i przypatrzysz się, rzekł do Michała:

— Wiesz... godny koń!

Był to rosły piękny kasztan z białą gwiazdką na czole pomiędzy oczyma. Główkę miał małą, szyję ładnie wygiętą, pierś szeroką, a nogi mocne i suche.

I rotmistrzowi koń się podobał, gdyż wraz

z właścicielem przystąpił bliżej i przypatrywał mu się starannie.

— Panie rotmistrz, — mówił właściciel, czło-wiek lat średnich, z pejczą w rękę, ubrany w buty wysokie i w kurtkę podbitą futrem — mam metrykę tego konia, przed miesiącem skończył pięć lat i to koń pół krwi, doskonały pod siodło.

— Hm... metrykę przejrzył panie von Haasfeld... dlaczego pan go sprzedaje, kiedy taki doskonały? — uśmiechnął się rotmistrz.

— A czy istotnie kupi go pan rotmistrz?

— Jeśli weterynarz pułkowy uzna go zdrowym, bez błędów, a cena będzie możliwa... zapewne kupię... ileż pan żąda za tego konia?

— Sam przed rokiem dałem tysiąc czterysta marek... i oddam go za tę samą cenę.

— Panie von Haasfeld, przecież my nie żydzi, nie handlarze... Znamy się dosyć dawno ze sobą.. powiedz pan szczerą prawdę, dlaczego pan sprzedaje? co brakuje koniowi?

— No, tak... powiem więc panu rotmistrzowi szczerą prawdę, ale proszę o ścisły sekret.

— Zgoda... słucham tedy.

— Koń był bez żadnych wad, tylko niespokojny i uparty... Moi ludzie stajenni nie umieli z nim się obchodzić i znarowili go. Niesie doskonale, słowo szlacheckie, ale teraz dosiąść go trudno... Czasem łagodnieje i wtedy jest posłuszny, chociaż zawsze twardy w pysku.

— Hm... hm... zatem on znarowiony, niespokojny i uparty... cóż ja z nim zrobię w kawalerii?

— Pragnąłbym jednak gorąco, aby ten »Piorun«, — wskazał na konia, — dostał się w ręce pana rotmistrza. W szwadronie ma pan ludzi, którzy potrafią złamać jego upór i ujeździć... i będzie koń jak złoto.

— Albo też dostanie kulą w łeb, — zaśmiał się rotmistrz z ironią, — a za skórę nie mogę zapłacić tak drogo.

— Ileż pan da?

— Hm... hm... za tę szkapę znarowioną mógłbym ostatecznie dać siedmset marek... i tak ryzykuję.

— To śmiesznie mała cena, — zaśmiał się von Haasfeld z przymusem, — to są tylko żarty... Dla pana rotmistrza opuszczę z mojej ceny sto marek.

— Ani feniga wyżej siedmiuset... a zresztą życzę panu lepszego kupca, — i miał już odejść.

Wstrzymał go von Haasfeld, gdyż konia tego prowadził już trzykrotnie na jarmark, i po zbadaniu go, każdy z kupujących cofał się. Spozstrzegłszy, że rotmistrz ma ochotę nabyć konia, postanowił bądź bądź dobić targu.

— Panie rotmistrzu, — zawołał, — nie mam czasu wodzić się z koniem po jarmarkach... oddam go panu za tysiąc sto.

— Wilhelm, — zwrócił się do Kruga, — idź do tego konia, — a gdy huzar odszedł, dodał: — chcę widzieć, czy da przystąpić do siebie, bo nie mogę moich ludzi narażać na wypadek jaki, panie von Haasfeld.

Właściciel bacznie i trwożliwie patrzył na huzara, który pod okiem rotmistrza śmiało podszedł do konia, lecz widząc iskrzący się wzrok i parskanie stanął Wilhelm niezdecydowany.

— Z lewej strony! — zawołał von Haasfeld.

Koń był uwiązany dwoma łańcuchami umocowanymi do drabin wozu. Wilhelm zbliżył się z lewej strony do łba i pochwycawszy konia za uzdę przy pysku, poklepał go po szyi i grzbiecie. Koń szarpał wprawdzie głową, ale stał względnie spokojnie.

Rotmistrz odwołał huzara i rzekł:

— Panie von Haasfeld, koń ledwie dał się dotknąć... daję siedmset.

Znów zaczęły się targi, a że przeciągały się, Jaśko obawiając się spóźnienia, poszedł ze swoim jakiem na dworzec kolejowy.

XII.

Wieczorem tegoż dnia przyprowadzono kupionego przez rotmistrza »Pioruna« i postawiono obok innych jego koni w stajni plutonu, do którego Jaśko należał.

W kantynie rozprawiał Wilhelm głośno o kupnie konia przez rotmistrza.

— Ileż zapłacił za konia? — spytał jeden ze słuchaczy.

— Siedmset pięćdziesiąt marek.

— Musi być nieszczególny — odezwał się podoficer — za tanio kupiony.

— Gdzież znów — zaśmiał się Wilhelm — koń doskonały, zdrowy, jak powiedział sam weterynarz, tylko narowisty i uparty.

— Można go jednak wyleczyć?

— Już on u mnie oduczy się fanaberyi — rzekł Wilhelm z uśmiechem pewności siebie.

— Czy tobie Wilhelmie oddany?

— Nie tylko oddany, ale dostanę dwadzieścia pięć marek nagrody, gdy będzie możliwy do użytku.

— Ho, ho, ho, toś szczęśliwy! — zazdrościli mu ci i owi, siedzący przy piwie w kantynie.

— Praca mnie czeka — rzekł Wilhelm, prostując się dumnie — ale już ja pokonam konia, mam silne ręce i bat — zaśmiał się tryumfująco.

Ze wszystkich stron zaczęto Wilhelnowi doradzać, jak ma z koniem postępować. Były głosy za bezwzględną surowością wobec uporu, a inni radzili zacząć łagodnością.

Wilhelm przytakiwał jednym, spierał się z drugimi, wreszcie rzekł:

— Stajenni von Haasfelda, właściciela, który sprzedał konia, mówili mi i uprzedzali, że »Piorun«, bo tak się ten koń nazywa, jest wielonym szatanem.

— No, no, będziesz miał Wilhelmie dużo do roboty... a może nie poradzisz?

— Ja?! — zawołał z dumą. — Chociażby ten koń był nawet szatanem, dam sobie radę. Katolicy mają egzorcyzmy na szatana, a my kij! — i z twarzy jego biła srogość i zawziętość.

Ostatni jego frazes przyjęli protestanczy huzarzy wybuchem głośniego śmiechu, mówiąc:

— To dobre!... Ten Wilhelm nieporównany!... Ty dasz radę samemu szatanowi!

— I ja tak myślę — rzekł Wilhelm, wydawszy usta. — My Niemcy na kresach przyzwyczajeni jesteśmy do walki ze szatanami śląskimi i zawsze im poradzimy.

— *Hoch Wilhelm!*... To szczerzy Niemiec!

Rozczulony tem uznaniem, kazał podać po kuflu piwa towarzyszom, z którymi żył bliżej, co wywołało z ich strony wielki entuzjazm i uznanie dla jego szczodrośliwości.

Na drugi dzień huzarzy z plutonu Jaśka, którzy mieli konie w tej samej stajni, co konie rotmistrza, z wielką ciekawością patrzyli na »Pioruna«. Podobała się im jego postać, ładne kształty, łysina na czole, małe uszka i obsada ogona.

Sam nawet wachmistrz przyszedł do stajni i pochwaliwszy konia, czekał, jak on się zachowa wobec Wilhelma, który szedł właśnie z obrokiem.

— Hej! Szatanie!... Ustąp! — krzyknął surowym głosem.

Koń stulił uszy, lekko parsknął i obejrzał się za głosem.

Wilhelm podszedł bliżej przez klatkę sąsiedniego konia i gotował się do zasypania obroku w żłób, gdy koń zwrócił się nagle głową ku niemu i starał się ugryźć rękę.

Wilhelm, trzymając jedną ręką obrok, drugą zaciśniętą w kulak, uderzył konia po pysku. Na razie koń odsunął głowę, a Wilhelm szybko wsysał obrok do żłobu.

Koń, widząc go obok siebie, szybkim ruchem chciał go dosięgnąć zębami i znów otrzymał silne uderzenie.

— To na początek — śmiał się Wilhelm — oduczę ja ciebie kąsania.

— Krug — zrobił wachmistrz uwagę — możesz koniowi zęby powybijają, bijąc tak nieostroźnie.

— Panie wachmistrzu, biję go z boku... zresztą moje ciało jest także coś warte.

— Hm... uważaj Krug... pan rotmistrz zapłacił za konia.

— I oddał mi go do nauki.

— W takim razie rzecz twoja.

— I ja go nauczę — uśmiechnął się.

Wziął zgrzebło, szczotkę i w czasie gdy koń jadł, zbliżył się szybko i z obocznej klatki dotknął się szczotką karku.

Koń skoczył jak oparzony, zaczął wierzgać i bić przednimi nogami, tak że wachmistrz w obawie wypadku kazał wyprowadzić sąsiednie konie z jednej i drugiej klatki, zostawiając »Pioruna« osamotnionego.

— Prawdziwy szatan! — mruknął Wilhelm ze złością — ale ja cię oduczę...

Dwukrotnie zbliżał się Wilhelm, dwukrotnie ledwie musnął konia, a ten wpadał w taki szal, że zachodziła obawa, by się nie pokaleczył o ściany klatki.

Wilhelm przykrócił łańcuch, na którym koń był uwiązany, tak, że niemal dolna szczeka dostawała żłobu, i wówczas pewny, że »Piorun«

nie może go ugryźć, czyścił z gniewem szyję, klnąc i lając konia grubym głosem.

»Piorun« drżał na całym ciele, odsuwał się, patrzył roziskrzonymi oczyma na Wilhelma, który przy każdym wierzgnięciu lub biciu przednimi nogami nie żałował silnego uderzenia rączką zgrzebla.

Koń począł stękać głosem niemal ludzkim, wystąpił pot, a gdy Wilhelm dotknął przegubu łopatki przedniej, tak się koń wyprężył, że począł charczeć, jakby blizki był uduszenia.

Zląkł się Wilhelm i uderzywszy jeszcze raz konia, zakławszy, rozpuścił łańcuch podwójny, mrużąc:

— No, na dziś masz chyba dosyć.

Przed południem zjawił się rotmistrz w stajni i spytał:

— Wilhelmie, cóż koń?

— Ogromnie kapryśny i zły, panie rotmistrzu, ale bądź co bądź wyczyściłem zgrzeblem i szczotką przód...

— Hm... to dobrze... A koń?

— Rzuca się jak waryat... Ludzie pana von Haasfeld mówili mi, że żadnemu z nich nie dał się dotknąć.

— Ucz go, przyzwyczajaj do czyszczenia, do derki, siodła... ale pamiętaj, koń musi być zawsze zdrow i cały, bo inaczej odpowiesz swoją skórą...

— Rozumiem panie rotmistrzu.

— A w jaki sposób postępujesz? — spytał po chwili.

— Surowością i odwagą; tamci u pana von Haasfeld bali się go i koń pozwalał sobie... lecz gdy pozna siłę i stanowczość, spokornieje.

— Hm... i to jest także sposób... zobaczę, do jakiego rezultatu doprowadzisz... Zbliź się do konia!

Krug wszedł do klatki pobocznej, wołając groźnie:

— »Piorun!« stój! cicho!

Ale zawołany rzucił wściekle spojrzenie i gotował się na przyjęcie stuliwszy uszy i parskając.

Wilhelm, chcąc się pochwalić przed rotmistrzem, ujął szybko za uździenicę pod pyskiem i chociaż koń szarpał się i rzucał, jednak poglaskał go po szyi i piersiach.

— No, no, silny jesteś — pochwalił go rotmistrz — ucz konia, a pamiętaj, on ma być zawsze zdrow i cały.

— Wiem o tem, panie rotmistrzu.

— Byłeś gdzie dawniej przy koniach?

— U mego ojca na Śląsku. Mieliśmy konia znarowionego i dałem mu radę.

— To dobrze... sądzę, że i teraz powiedzie się tobie.

— Za trzy, cztery tygodnie, jestem przekonany, że będzie »Piorun« łagodny, jak baranek... już teraz boi się mego głosu.

Rotmistrz z upodobaniem spojrział na rozrosłą silną postać Kruga i pomyślał, że ludziom tej rasy nie się nie oprze na świecie. Uśmiechnął się też łaskawie i rzekł na odchodnym:

— Ucz go i pilnuj!

— Wedle rozkazu pana rotmistrza.

Na obiad poszedł Wilhelm jak zwykle do koszar. Opowiadał głośno, z przechwałkami, o swej rozmowie z rotmistrem i zaproponował zakład, że w ciągu miesiąca »Piorun« będzie ujeżdżony.

Zakład o pół beczki piwa przyjął pluton ze śmiechami.

Zaledwie obiad się skończył, gdy zwołano podoficerów na parol.

Wilhelm stanąwszy na boku przysłuchiwał się obojętnie czytany przez wachmistrza rozkazom na dzień jutrzejszy. Dopiero odczytywanie odpowiedzi na żądania huzarów poszczególnych, zwróciło jego uwagę. A gdy wachmistrz w samym końcu ogłosił:

— Huzarzy Johann Stiglitz i Michał Gruda za używanie zabronionego języka... każdy na trzy dni aresztu... — Wilhelm omal nie krzyknął z radości.

Z miną tryumfatora i złośliwą przyjemnością patrzył na dwóch huzarów, prowadzonych przez podoficera do więzienia.

— Macie lajdaki za wasz język — syknął do przechodzących.

Jaśko spojrział pogardliwie i z obrzydzeniem na niego.

Podrażniony tem Wilhelm, poszedł wywrzeć swój gniew na »Piorunie«. Znów przywiązał pysk blisko żłobu i czyścił zawzięcie. W całej stajni słyhać było jęki konia i głuche przekleństwa Wilhelma. A gdy »Piorun« opadł ze sił i niemal zawisł na głowie, wziął jego nauczyciel mokry worek, położył na pośladkach i bił ciężką pejeżą. Jest to znany w kawalerii sposób, aby na koniu nie zostawały ślady.

Ból przywrócił »Piorunowi« przytomność, i napróżno koń jęczał, stękał, wił się i rzucał jak szalony; Wilhelm uczył go posłuszeństwa i pokory i dopiero zmęczony zwolnił koniowi łańcuchy.

»Pioruna« nazwał Ślązakiem i mając Jaśka na myśli nie szczędził przekleństw, wyzwisk i uderzeń.

— Poznasz ty przekłętą Ślązaku siłę Niemca — pogroził pejeżą koniowi.

Od grubych wymysłań i barbarzyńskiego bicia przeszedł Wilhelm po naradach z kolegami, do środków bardziej rafinowanych, dążących do ujarznienia »Ślązaka«, jak niemal wszyscy, za przykładem Wilhelma nazywali »Pioruna«.

Najpierw zawiesił siennik w bliskości nóg tylnych, koń wierzgając uderzał o tę ruchomą zaporę, lecz zaledwie zdążył stanąć na tylnych nogach, już rozbujany siennik bił o zad konia. Ten środek na wierzganie, skutkował jednak tylko do chwili, póki nie zbliżył się Wilhelm, wymyślając koniowi grubym głosem.

Wpadł więc na inny pomysł, wiążąc nogę prawą zadnią, z lewą przednią. Wprawdzie koń nie mógł teraz wierzgać, lecz rzucił się tak wściekle, iż zachodziła obawa, że skaleczy się o słupy. Z polecenia więc rotmistrza zasłonięto twarde i ostre kanty w klatce poduszkami słomianemi; a na pysk nałożono koniowi kaganiec.

Po dwóch tygodniach męki konia, a pracy Wilhelma, przyszedł rotmistrz z oficerami do stajni, by naocznie się przekonać o postępach w ujarzmieniu »Pioruna«.

Wilhelm swą surowością i biciem doprowadził istotnie konia do pewnego posłuszeństwa. Gdy wchodząc do klatki krzyknął, koń ustępował, przysuwał się do ściany i spoglądał na swego władcę okiem przerażonem, lecz zarazem z błyskami wściekłości. Nauczony bolesnem doświadczeniem pozwalał klepać się po szyi, lecz zawsze miał stulone uszy i robił wrażenie czającego się wroga, który czeka tylko dogodnej sposobności, by skoczyć i zaspokoić swój gniew.

Ogólny wygląd konia nie zadowolił ani rot-

mistrza, ani oficerów. Koń schudł znacznie, wzrok miał smutny i posepny, sierć straciła na blasku.

Żał zrobiło się rotmistrzowi zapłaconych pieniędzy i po ogólnej naradzie postanowiono zmienić system wychowawczy; w miejsce surowości stosować łagodność.

Zawołano Wilhelma, a rotmistrz przemówił:

— Od dziś dnia nie masz prawa dotknąć się konia... żadnego bicia, poszturkiwania, krępowania sznurami, nakładania kagańca... tylko łagodnością, głaskaniem, przyswajaniem.

— Wedle rozkazu pana rotmistrza — odpowiedział chmurny.

— Warta stajenna ma prawo dozorować twoje postępowanie... i ostrzegam cię, że najłżejsze niezastosowanie się do mego rozkazu ukarzę surowo. Rozumiesz?

— Tak jest panie rotmistrzu.

— Idź... zdejm kaganiec.

Wydawszy ten rozkaz spojrzął po oficerach, czekając pochwały i uznania.

Nadporucznik i podporucznik przyklasnęli zmianie postępowania, wyrażając przekonanie, że w krótkim czasie koń będzie zdolny do użytku.

Jeden tylko porucznik milczał, pokręcał wężą i uśmiechał się ironicznie; do niego zwrócił się rotmistrz:

— Panie poruczniku, a pana zdanie?

— Według mnie i z ludźmi i ze zwierzętami najlepszym środkiem do zniewolenia ich jest ścisła konsekwencja. »Piorun« w stosunku do pierwszych dni jest już uległy, zmiana taktyki postępowania może wywołać reakcję.

— Nie zapominaj pan jednak, że koń oficerski musi być posłuszny i przywiązany — przemówił nadporucznik — a tego nie osiąga się surowością.

— O przywiązanie wcale mi nie chodzi — zaśmiał się porucznik — byle był posłuszny.

— Ależ »Piorun« w oczach marnieje — zawołał podporucznik, — jaka sierć bez polysku!... Oczy mętne i smutne!

— Jeśli idzie o dobry wygląd — uśmiechnął się porucznik — zaprzestanie nauki jest dobrym środkiem.

— Zależy mi istotnie na dobrym wyglądzie — zdecydował rotmistrz — spróbuję łagodności, a nie pomoże, to sprzedam tego dyabła.

.....
Wilhelm wbrew swej woli i przekonaniu musiał się zastosować do otrzymanego rozkazu, z obawy przed rotmistrzem i przed wartą stajenną, która w dzień i w nocy czuwała w stajni.

Trzech huzarów stało u wrót, a czwarty, zmieniany co godziną, przechodził wzdłuż klatek dozoru kony.

I o ile Wilhelm czuł na sobie wzrok dozoru,

był łagodny dla »Pioruna«, lecz pokryjomu szturchał go, potraçał i dokuczał mu.

»Piorun« zwolniony od kagańca i sznurów stawał się z każdym dniem bardziej samowolnym i dzikim. Nie zapomniał plag i znęcań się swego prześladowcy, nie cierpiał Wilhelma i przy każdym jego zbliżeniu starał się pochwycić go zębami lub dostać pod kopyta.

Nienawiść konia udzieliła się i Wilhelmowi, obaj patrzyli na siebie oczyma płonącymi gniewem. Wprawdzie Wilhelm przemawiał głośno do konia łagodnie, nadawał mu pieśczętliwe nazwiska, a swoją drogą klął i wymyślał po cichu.

Koń, jak gdyby przez rozmyślną złośliwość, mimo starannego podesłania i nakrywania długą derką, sięgającą od głowy po zad, zawsze umiał się powalać, skłaczyć grzywę i nadogonie. A czyśczenie »Pioruna« było uciążliwą i niebezpieczną pracą, to też mimo rzetelnych usiłowań Wilhelma, koń nigdy nie był tak starannie oczyszczony, jak inne konie.

Teraz przeklinał Wilhelm chwilę gdy został ordynansem, wprawdzie uniknął służby, ćwiczeń... podoficerowie wyróżniali go widocznie. Otrzymywał najlepsze kawałki mięsa, bardzo często drugą potrawę ze stołu podoficerów... ale ów koń!

Widział zawsze przed sobą oczy »Pioruna« błyszczące nienawiścią... odchylone wargi z bia-

lymi zębami, starającymi się go pochwycić, cały korpus, ruchy, czajenie się konia, by dostać go w moc swoją.

— Gdybyś był mój, zaćwieczyłbym cię na śmierć, podły Ślązaku — powtarzał pełen gorczy i bezsilnego gniewu.

Rotmistrz przy jednej ze swych wizyt zauważył zle wyczyszczenie konia. Zgromił surowo Wilhelma i kazał czyścić przy sobie.

Koń zachowywał się tak dziko, że rotmistrz kazał przykrócić łańcuch i rozpoczęło się czyśczenie.

Trzeba było rzeczywiście wprawy i przebiegłości Wilhelma, by uniknąć kopnięć, uderzeń i przyciśnięcia przez konia, tak, że rotmistrz rzekł tonem wyrozumiałym:

— Widzę, że robisz co możesz... postępuj tak dalej, musimy ugłaskać tę bestyę.

— Według rozkazu pana rotmistrza.

W kilka dni później przyszli znów oficerowie oglądać konia. Kazano Wilhelmowi czyścić konia zgrzeblem i szczotką.

»Piorun« rozwydrzony względnie łagodnym postępowaniem, dał folgę swemu uporowi i kaprysom. Skakał, wierzgał, kwiczał i miotał się, jak szalony po klatce, że z trudem uniknął Wilhelm uderzenia.

— Oto konsekwencye — zaśmiał się porucznik ironicznie — dawniej stał spokojnie

i patrzył w oczy ordynansa, dziś szaleje i nie daje dostępu.

Dwaj inni oficerowie, zwolennicy łagodności stali stropieni, patrząc na wybuchy znarowionego konia, wreszcie odezwał się nadporucznik:

— Może pan miał słuszność, panie poruczniku... Taką dziką bestyę należy poprawić surowymi środkami.

Rotmistrz patrzył niezdecydowany na konia. Przez czas tej względnej łagodności wygląd konia znacznie się poprawił, sierć błyszcziała, oko płonęło żywo, wprawdzie nie wesołością, lecz gniewem, ale zawsze było to lepszem od przygnębienia. Z drugiej strony, kto kupi tak rozhukanego konia? Ani on do jazdy, ani do pociągu.

Po miesiącu próby ugłaskania i ujeżdżenia »Pioruna«, rotmistrz pragnął go się pozbyć i odebrać swoje pieniądze i po chwili wahania rzekł:

— Wilhelm, od dziś zastosujesz inne środki; gdy koń będzie zbyt dokazywał jak teraz, wolno ci nałożyć kaganiec i skrepować nogi... ale próbuj ciągle łagodnością. Jak tylko spokornieje, zwolnij go, niech zrozumie, co to kara, co nagroda.

Oczy ordynansa zajaśniały radością i rzekł pewnym głosem:

— Wedle rozkazu pana rotmistrza... Lecz jeśli nie da się czyścić.

— Hm... wziąć go na pasy... musi być czysty. Wszyscy oficerowie pochwalili metodę obrania przez rotmistrza.

I znów zaczęły się dni męki i znęcania nad »Piorunem«. Wilhelm odplacał koniowi sownie dwa tygodnie łagodnego postępowania.

Gdy pomimo starań nie dozwolił »Piorun« na regulaminowe oczyszczenie, zastosowano pasy.

Dwoma pasami podniesiono go w górę i Wilhelm czyścił go zawzięcie, czując się zupełnie zabezpieczonym od zawieszono konia. Wiedząc, że najbardziej drażni go dotknięcie karku i nadogonia, z lubością tarł te miejsca to mocniej, to słabiej. Naprózno »Piorun« stękał, jęczał, kwiczał, wypręzał się jak w konwulsjach. Wilhelm z uśmiechem złośliwego zadowolenia znęcał się nad bezbronnym koniem.

Stopniowo doprowadził do tego, że koń na głos jego drżał, tulił się i pokorniał jak pies bity, tylko w oczach tliła nieustannie nienawiść.

Sprawa ujarznienia »Pioruna« zajmowała cały szwadron, nie było dnia, by nie opowiadano sobie o zachowaniu się jego i narowach.

Powszechnie żałowano Wilhelma i szeptano sobie na ucho, że zrobiłby najlepiej, gdyby uśmiercił konia, bez ściągnięcia podejrzeń na siebie.

Śledzono pilnie przebieg przyswojenia »Pio-

runa«, a każdy zarzekał się i obawiał podobnej służby.

— Po służbie każdy z nas wolny a ten Wilhelm wiecznie przykuty.

Grozą głosu i biciem tak onieśmielił ordynans zwierzę, że wchodził bezpiecznie do klatki, dawał obrok, a nawet czyścił z lekka, pilnując się zresztą przed złośliwością »Pioruna«.

Jaśko miał właśnie wartę stajenną i gdy przyszła kolej na niego, w drelichowej kurtce, z okrągłą bez daszka czapeczką, chodził miarowym krokiem po stajni.

Rozdawano obroki południowe i uciszyło się w stajni tak, że tylko chrupanie owsa przez konie słyhać było. Wtem nadszedł Wilhelm, trochę opóźniony, wszedł do klatki »Pioruna«, zasypywał obrok, zajęty Jaśkiem, którego właśnie widział na straży.

Skorzystal z chwilowej nieuwagi »Pioruna«, nagle skoczył i przednimi nogami porwał Wilhelma i rzucił pod siebie. Zarżał tryumfalnie.

Właśnie obok klatki przechodził Jaśko, a zobaczywszy Wilhelma w niebezpieczeństwie życia, krzyknął:

— Straż! — i sam pospieszył deptanemu na ratunek.

Lecz w tej chwili inne konie, odzywając się na głos tryumfującego pobratymca, zadrżały i przygluszyły wołanie Jaśka.

Z wielkim trudem i osobistem niebezpieczeństwem udało się Jaškowi wyciągnąć Wilhelma z klatki »Pioruna« do pobocznej, pustej.

Ordynans leżał bez ruchu, skrwawiony, w poszarpanej kurtee. Jaško podniósł głos:

— Straż! Straż!

Nadbiegło dwóch huzarów od wrót, a widząc zemdlonego Wilhelma, stanęli bezradni.

— Dawaj wody! — krzyknął Jaško.

Ocucono Wilhelma, a ten widząc obok siebie znieawidzonego Ślązaka, przymknął oczy i na twarzy odmalowała się odraza.

Straż u wrót zaalarmowała wachmistrza, który sam poszedł po doktora i dał znać rotmistrzowi o zaszłym wypadku.

Równocześnie z doktorem zjawił się rotmistrz i wachmistrz.

Rozpoczęła się indagacja. Pierwszy Jaško opowiedział przebieg wypadku, a Wilhelm, który leżąc przysłuchiwał się zeznaniom, zawołał głośno:

— Kłamstwo!... On podrażnił konia — i wskazał na Jaška.

Wachmistrz uznał teraz za stosowne dać objaśnienie swemu przełożonemu i rzekł:

— Ci dwaj, Johann Stiglitz i Wilhelm Krug, nienawidzili się od chwili, gdy jako rekruci przyszli do nas. Możliwem jest, że Stiglitz powodowany zemstą podniecił konia, może nawet uderzył i oto mamy przypadek z Krugiem.

Rotmistrz przypomniał sobie wzajemne skargi, klótnie, bójki i dorzucił:

— Tak, to bardzo być może... Jaki jest stan rannego? — zwrócił się do doktora.

— Głupstwo... uda ma stłuczone, lekka rana na barkach, ramię draśnięte... za miesiąc wyjdzie zdrów.

— To jeszcze szczęśliwie — odetchnął rotmistrz — ale co ja zrobię z tobą, Stiglitz?

— Panie rotmistrzu, ja pierwszy ratowałem — bronił się Jaško.

— Hm... zobaczmy!... Hej! Straż! Dlaczego nie pobiegliscie na ratunek?

— Nie słyszeliśmy wołania, panie rotmistrzu — usprawiedliwiał się gefrajter.

— Wołałem! — rzekł Jaško głosem stanowczym.

— Kto wszedł do stajni w danym momencie? — dopytywał się rotmistrz.

— Prócz Wilhelma Kruga, wszedł ordynans pana nadporucznika.

— Przyprowadzić go tutaj! — rozkazał rotmistrz.

Zanim go sprowadzono, Wilhelm opowiadał:

— Koń bał się nawet spojrzeć na mnie i nigdy nie ośmieliłby się rzucić na mnie, gdyby nie był podrażniony. Jak to zrobił Stiglitz, nie wiem, ale że on to zrobił, jestem pewny.

— Zobaczymy... zobaczymy — odpowiedział

łagodnie rotmistrz, który sympatyzował z wielkim i rozrosłym Krugiem.

Wprowadzono świadka, który na widok rotmistrza pobladł.

— Jak się nazywasz?

— Andreas Milcher, ordynans pana nadporučnika.

— Widziałeś przypadek Kruga?

— Tak jest.

— Opowiadaj... byle prawdę.

— Zasypywałem właśnie obrok, gdy posyłałem dyżurnego huzara — wskazał na Jaśka — który zawołał: »Straż!«

— Jesteś tego pewny?

— Jak tego, że tu stoje... Konie wszystkie zarżały i parskaly, może dlatego straż nie dosłyszała, ani dostrzegła.

— Cóż dalej?

— Widziałem, jak koń pana rotmistrza wziął pod siebie Kruga Wilhelma, a ten — wskazał na Jaśka — poskoczył i wyrwał Wilhelma z pod kopyt. Dopiero nadbiegła straż i ocuciła rannego.

— No tak, to zgodne z tem, co Stiglitz opowiada, jednak zawinił, gdyż w wypadkach wątpliwych zawsze należy powtórzyć wołanie na straż.

— On podrażnił konia — jęknął Wilhelm.

— Czy uderzył Stiglitz konia? nie widziałeś? — spytał rotmistrz ordynansa Milchera.

— Bardzo wątpię, był dosyć daleko... ale pewny nie jestem. Może tak, a może nie.

Rotmistrz namyślał się. Wiedział, że w szwadronie wszyscy boją się służby przy »Piorunie«, z drugiej strony wygląd Jaśka jako huzara i jego odpowiedzi szczerze podobały mu się... zwrócił się do wachmistrza:

— Czy Stiglitz dobry do koni?

— Dotychczas za konia nie był karany.

— A służy długo?

— Trzeci rok.

— Hm... hm... Stiglitz, za nieodpowiednie zachowanie się twoje wobec wypadku z Krugiem należałaby się tobie kara... ale zmieniam... i ty od dziś jesteś przydzielony do »Pioruna« mego.

— Wedle rozkazu pana rotmistrza.

— Na razie jedno ci powiem: koń ma być zdrowy, cały i czysty.

— Wedle rozkazu pana rotmistrza — odpowiedział Jaśko.

— Panie doktorze, czy Kruga odeszle pan do szpitala pułkowego?

— Tak jest, panie rotmistrzu. Obrażenia ciała nie są ciężkie, ale wymagają dłuższego leczenia.

— Wachmistrz! Zarządź, co potrzeba, aby Kruga odesłać... a ty Stiglitz, po zmianie warty pójdziesz dziś jeszcze do »Pioruna«.

Gdy po zmianie warty wszedł Jaśko do sali i zmieniał mundur, zbliżył się do niego Fryderyk:

— Wiesz, Stiglitz, ty nie masz szczęścia w służbie wojskowej.

— Cała służba jest męką, skądżeby wzięło się szczęście?

— Tak... ale gdybyś nie był stał wówczas w stajni na warcie, nie potrzebowałbyś ratować Wilhelma i nie dostałbyś do pilnowania tej wścieklej bestyi »Pioruna«.

Teraz dopiero przyszło Jaškowi na myśl, że właściwie ratowanie Wilhelma było obowiązkiem huzarów tworzących wartę u wrót, a on powinien był w dalszym ciągu dozorować resztę koni, i po chwilowym namyśle odpowiedział:

— Wiesz Fryderyku, naprawdę nie ratowałem Wilhelma podlego, gdybym się był rozmyślił, ale jak zobaczyłem człowieka pod kopytami, skoczyłem i wyciągnąłem.

— I w nagrodę dostałeś »Pioruna« — zaśmiał się ironicznie.

— Koń mi niestraszny — uśmiechnął się — i wolę mieć z »Piorunem« do czynienia, aniżeli... — i nagle urwał.

— Nie wstydź się — śmiał się Fryderyk — chciałeś powiedzieć, aniżeli z Niemcami... czy tak?

— Hm... hm... miałem na myśli tylko tych, którzy nam dokuczają i wymyślają.

— Jakże będzie z »Piorunem« ?

— Wiesz, mój dziadek, kiedyś szedł do huzarów, mówił mi, że kasztan bywa zły i zawzięty, ale ugłaskać go można.

— Ho, ho, tradycya dziadka dobra na Śląsku — śmiał się — ale to koń niemiecki.

— Żartuj sobie, a ja posłucham dziadka rady.

— Spróbuj... byle nie wziął ciebie pod kopyta, jak Wilhelma.

— Ostrożny będę.

Po parolu o godzinie pierwszej, w którym ogłoszono, iż Johann Stiglitz zostaje przeznaczony do stajni komendanta szwadronu, poszedł Jaśko do »Pioruna«.

Zbliżył się ze strony lewej i przemówił łagodnie:

— Kosiu! Kosiu!... Biedny kosiu!

»Piorun« spojrział zrazu na niego jakby zdziwiony, przez chwilę patrzył mu w oczy, obejrzał całego, stulił uszy i z gniewem wyciągnął głowę, by ugryźć.

Jaśko powtórzył wołanie w tym samym tonie i podał mu kawałek chleba bliżej do pyska. Koń rzucił się gwałtownie, chcąc pochwycić ramię. Umknął Jaśko rękę i przemawiając temi samemi co poprzednio słowami, puścił do żłobu kromkę. Koń powąchał, obrócił chleb na drugą stronę, spojrział w stronę stojącego Jaśka i zgryzł chleb ze smakiem, szukając więcej.

Znów podszedł Jaśko z chlebem w rękę, tym razem cokolwiek bliżej i przemawiając łagodnie, podawał kromkę. »Piorun« rzucił się, chcąc dosięgnąć śmiałka zębami i stanął dęba, lecz widząc że Jaśko rzucił chleb do żłobu, uspokoił się wkrótce i zjadł chciwie porzuconą kromkę.

Uśmiechnął się Jaśko, rad, że próba się powiodła, i poszedł do podoficera mającego dozór nad stajnią.

— Prosiłbym pokornie pana podoficera o pozwolenie dawania obroku »Piorunowi« wówczas gdy zechce.

— A to co nowego!? To sprzeciwia się regulaminowi.

Widząc chmurną minę Jaśka, dodał:

— Wytłómacz, w jakim celu?

— Głodny koń myśli tylko o tem, aby mógł zreć i zapomina wówczas o swych fantazyach.

— Hm... może to i prawda — namyślał się podoficer.

— Teraz »Piorun« nie daje dostępu, bo myśli o swej złości, a jak mu głód dokuczy, zła-godnie w czasie żarcia.

— No, no... ten koń nie należy do szwadronowych, to prywatny... zrób próbę, sam jestem ciekaw i obaczę.

— Dziękuję panu podoficerowi! — zawołał Jaśko ucieszony.

Podszedł do klatki, wymiółł żłób starannie i siano z drabinki.

Gdy innym koniom rozdawano obroki w oznaczonej godzinie, »Piorun« wyczekiwał swojej porcyi z początku spokojnie, lecz po pewnym czasie gdy wokół rozlegały się chrupania, zaczął być niespokojny, rozglądał się wyczekująco, wreszcie zarżał, dając znać o sobie.

Jaśko z obrokiem w torbie czekał cierpliwie dalej.

Koń począł pożądliwie spojierać w stronę jedzących, wreszcie schylił się, wyszukując słomę z podściółki, którą gryzł w braku obroku.

Jaśko odmiótł słomę, a koń bez gniewu i rzucania pozwolił na to, czekając rychłoli dostanie jedzenie.

Gdy zawiódl się, zarżał i spojrzął na Jaśka niedaleko stojącego ze znaną koniowi torbą, który wyczekawszy chwilę podszedł znów bliżej. »Piorun« stulił uszy, gotował się do ataku, i Jaśko znów się odsunął.

Po kilku takich próbach, którym przypatrywał się podoficer z huzarami, Jaśko widząc łagodniejsze oczy u konia, wyspał mu obrok z zachowaniem wielkiej ostrożności, i słusznie zrobił, gdyż zaledwie wyspał obrok do żłobu, koń rzucił się i pochwyił rękaw drelichowej kurtki. Jaśko, nie okazując strachu, przemówił łagodnie i chwytając drugą ręką za uzdę, odciągnął ko-

nia. »Piorun« spojrzal zdumiony, lecz dostrzegłszy owies w żłobie, poczał żreć szybko.

— Nic z nim nie zrobisz — rzekł podoficer — już Wilhelm próbował wszystkiego z tym Ślązakiem i wszystko nie zdało się na nic. Taka kanalia zostanie zawsze kanalią.

— Tak, tak!... Tylko bić, kija usłucha, ale nie głosu... — dodawali huzarzy.

Jasiek, usłyszawszy drwiące przewisko, nadane koniowi przez Wilhelma, spojrzal z pewnem współczuciem na »Pioruna«, przypomniawszy sobie znęcania się i bicia stosowane przez Wilhelma. Już chociażby dlatego, aby nie iść śladami swego wroga, postanowił nie tknąć batem konia, ani używać sznurów i pasów.

Wiedząc, że koń lubi chleb, sam zbierał i prosił Fryderyka, by porzucone kawałki chleba przy obiedzie lub w sali przy kolacyi, zachowywał dla niego.

Już po tygodniu cierpliwej pracy doprowadził do tego, że mógł się bezkarnie zbliżyć do »Pioruna« z obrokiem lub chlebem, a nawet w czasie jedzenia pozwalał się głaaskać.

Rotmistrz, przyszedłszy niespodziewanie do stajni, spytał Jaśka:

— Co słyhać z »Piorunem«?

— Zaczyna się przyzwyczajając — odpowiedział trochę zaniepokojony.

— Hm... zobaczą... Idź do niego!

— Natychmiast panie rotmistrzu! — i szybko podszedł do skrzynki stajennej, pochwycił kawałek chleba, podszedł przez pustą klatkę z lewej strony do głowy konia, wołając z cicha:

— Kosiu! Kosiu! — i pokazał chleb.

»Piorun« zastrzygł uszyna i w przyjacielski sposób wyciągnął lew w stronę kromki. Rzucił mu Jaśko część do żłobu, sam po pod drażek wlażł do jego klatki, klepał po szyi, gładził grzywę, a gdy koń poczał się niecierpliwie, rzucił mu resztę chleba i poklepawszy po krzyżach, wyszedł jego klatką.

— No, no, to ładnie — uśmiechnął się rotmistrz zadowolony. — Hm... a co chwyciłeś idąc do niego?

— Chleb, panie rotmistrzu.

— Więc przyswajasz go chlebem?

— Obrokiem i chlebem.

— No, obrok dostajesz dla niego, a bochenek chleba każe ci wydawać dla »Pioruna« co dzień dni.

— Wedle rozkazu pana rotmistrza.

— Słuchaj Stiglitz, jeśli mi zrobisz z tego konia niespodziankę, nie pożałujesz tego.

— Dziękuję panu rotmistrzowi, sam pragnę jak najbardziej oduczyć go fanaberyi i złości, ale na to potrzeba dłuższego czasu.

— No tak, zapewne... byleś konia przypro-wadził do porządku.

Po chwili podszedł bliżej i rzekł z naganą w głosie:

— Stiglitz!... Koń nie jest wcale czysty... cały zmierzwiony!

— Teraz jest jeszcze dziki... Próbowałem czyścić go szczotką... ani pozwolił się zbliżyć... to bardzo chimerny koń.

— Na przyszłość wymagam i rozkazuję, aby mi koń był czysty... a nie daje się, wziąć go na pasy.

— Panie rotmistrzu, »Piorun« za jaki tydzień, za dziesięć dni będzie czysty... muszę go przyzwyczaić do zgrzebła i szczotki.

— No, daję ci dziesięć dni.

Gdy przyszedł czas rozdawania obroków, Jaśko ośmielony próbą zrobioną w obecności rotmistrza stanął z torbą przed klatką i potrząsając obrokiem, zawołał pieszczotliwie na konia.

»Piorun« obejrzał się, gniewne oczy zlagodniały i wyciągając łeb w kierunku stojącego Jaśka, cokolwiek usunął się na bok.

Uderzy albo nie uderzy, pomyślał Jaśko i szybko wszedł do klatki, wsypał obrok do żłobu, trochę się usunął i zachęcał konia do żarcia.

»Piorun« zdaje się sam zdziwił się tą śmiałością, ale pod wpływem głodu i znanego już sobie głosu, nastawił skulone uszy i jadł.

Jaśko gładził grzywę, klepał szyję i zwolna

przesuwał rękę ku krzyżom. Gdy dotknął końca karku, koń drgnął, odsunął się i wierzgnął zadnią nogą. Jaśko szybko odjął rękę z drażniącego miejsca i przeszedł na krzyż. Lecz gdy zbliżał się ku ogonowi, koń obejrzał się raz i drugi niespokojnie i parsknął gniewny.

Jaśko zadowolony z próby wyszedł z klatki. Przez kilka dni przyzwyczajał konia do znoszenia dotknięcia ręką i przekonał się, że »Piorun« jest bardzo lechliwy na karku, w przegubach przednich łopatek i przy ogonie.

Jednego dnia, gdy inne konie kończyły prawie obroki, a »Piorun« oglądał się zaniepokojony, Jaśko zawołał na niego z pewnego oddalenia. Koń zarżał na znany sobie głos, a Jaśko mając to za dobry znak, prócz obroku wziął ze sobą do klatki zgrzebło i szczotkę. I w czasie jedzenia począł czyścić, unikając starannie miejsc drażliwych.

Ku wielkiemu zdziwieniu innych huzarów, »Piorun« nie tylko nie rzucił się gniewnie, ale z widoczną przyjemnością poddawał się tej operacji, tylko gdy zgrzebło zbliżało się do miejsc lechliwych, nasłuchiwał z uszami stulonemi, gotując się do ataku, lecz po ominięciu jadł dalej spokojnie i pod wpływem łagodnych słów ustępował na żadaną stronę.

— No, no, ten Stiglitz zna się jednak na koniach — pochwalił go podoficer.

— Każdy z nas potrafiłby to samo — odezwał się jeden ze zazdrosnych.

— Niewielka to sztuka — rzekł inny z lekceważeniem.

Wieczorem w kantynie rozprawiano w ożywieniu o tym wypadku i objaśniano go rozmaicie. Kilku było tego zdania, że osiągnięty rezultat przypisać należy łagodnemu postępowaniu z koniem.

— A Wilhelm, który jeszcze liże się w lazarecie, czy nie postępował łagodnie? — zawołał jeden z przyjaciół nieobecnego, — sam byłem świadkiem, jak czule dogadywał.

— I ja!... To prawda!... Coś w tem jest nieczystego!

Wśród chwilowego milczenia odezwał się huzar Franc, góral z urodzenia:

— Powiadam wam nic innego, tylko Stiglitz umie zaklinać.

— Tak... tak... To możliwe...

— U nas, — mówił Franc dalej, — są tacy, którzy zaklęciem wyprowadzają szczury z młyna... albo zaklnie drogę, że i najlepsze konie nie przejdą tego miejsca.

— A wówczas co robicie? — spytał któryś z zaciekawionych.

— Albo trzeba daleko objeżdżać... albo odczynieć uroki.

Posypały się liczne opowiadania na temat ta-

jemniczych sił, które stają wpoprzek zwyklemu biegowi rzeczy.

Wreszcie mniej lub więcej wyraźnie zgodzono się, że Jaśko używa jakiegoś zaklęcia zwłaszcza, że przemawia do konia w języku niezrozumiałym, gdyż z »Piorunem«, ani stajenni von Haasfelda, ani Wilhelm poradzić sobie nie mogli, a porucznik, najlepszy znawca koni w szwadronie głośno się wyraził po wypadku z Wilhelmem, iż rotmistrz powinien odżalować zapłacone pieniądze, i koniowi w leb strzelić.

Na Jaśka, który regularnie przychodził na obiad do koszar zaczęto spoglądać podejrzliwie, bojaźliwsi a raczej zabobonni odsuwali się od niego; byli jednak i tacy, którzy pragnęli pojąć sekret ujarznienia koni.

Gdy po dwóch tygodniach pilnowania »Pioruna« zaszedł Jaśko do kantyny, stał się przedmiotem ogólnej ciekawości, a jeden z towarzyszy plutonu spytał go:

— Stiglitz, powiedz prawdę, jakim sposobem ujarzmiłeś konia?

— Jakim? — i przez sekundę spojrział w stronę stołu podoficerów, przy którym siedział Meineck, podoficer uczący rekrutów, a znany ze surowości, czego Jaśko doświadczył na sobie: — nie wymyślałem, nie kłamię, nie poszturkiwałem, ani...

— Nie pakowałeś do aresztu! — zaśmiał się Fryderyk.

Huzarzy zaśmiali się głośno, patrząc na Meinecka, który spostrzegłszy to, krzyknął groźnie:

— Co ten drab tam gada?

Jasiek udął, że nie słyszy pytania i podniósłszy głos, mówił:

— Nie białem, nie katowałem, nie używałem przymusowych środków i kar, a jednak wyuczyłem...

Huzarzy rozbawieni i ucieszeni tymi przytykami do nielubianego Meinecka, przerwali Jaśkowi, wołając:

— Rekrutów!

Tego było za wiele podoficerowi, wstał z krzesła i przystąpiwszy do Jaśka, spytał wyniośle:

— O kim pozwalasz sobie mówić?

Jaśko spojrzał mu śmiało w oczy i z uśmiechem na ustach, z udaną naiwnością odpowiedział:

— O »Piorunie« pana rotmistrza, a pan podoficer myślał, że o kim?

Te słowa wywołały śmiech wśród huzarów, podoficer spojrzał na nich surowo i rzekł do Jaśka:

— Ostrzegam cię, unikaj dwuznaczników, bo będzie źle.

— Dobrze panie podoficerze.

A gdy ten usiadł na dawnym miejscu, Jaśko

na dalsze dopytywanie się mówił, a huzarzy uciszyli się, nawet podoficerowie umilkli, nasłuchując.

— Unikałem kar, wymyślań, poszturkiwań...

A po każdym słowie huzarzy patrzyli z drwiącym uśmiechem na Meinecka.

— Łagodnością, dobrocią, wyrozumiałością łatwiej nauczyć człowieka lub konia, aniżeli złością i znęcaniem się.

— Tego mi za dużo! — krzyknął Meineck, uderzając pięścią w stół. — Za brak uszanowania podaję cię do kary.

— Czy względem »Pioruna«? — odpowiedział Jaśko w postawie wojskowej — bo ja o nim tylko mówilem.

I odpowiedź i posłyszane śmiechy podnieciły Meinecka, zerwał się z miejsca, zbliżył się szybko do Jaśka, już gotował się do uderzenia, ale pochwycił go za rękę inny podoficer, mówiąc z naciskiem:

— To ordynans rotmistrza!

— A kanalia! — syknął Meineck przez zęby — idę do wachmistrza.

Zadowoleni huzarzy otoczyli Jaśka kołem, mówiąc:

— Ależ mu dosoliłeś!

— Doskonale zrobileś!

— Zobaczył się w lustrze!

— Możesz jednak posiedzieć w areszcie za ten żart — przemówił jeden.

— Nic mu nie będzie — uśmiechnął się Fryderyk — bo kto dopilnuje »Pioruna« bez Stiglitz.

— Prawda... powiedz nam szczerze, jakiego zakłęcia użyłeś na konia?

— Ja?... Zakłęcia? — zdziwił się.

— Nie wypieraj się, wszyscy wiemy, że zawsze przemawiasz do konia jakimiś niezrozumiałymi słowami.

— Tak!? — śmiał się Jaśko szczerze — ależ to po śląsku... mówię pieszczotliwie do niego.

— Dlaczego nie po niemiecku?

— Dlaczego? hm... hm... bo widzisz, byłoby mi dziwnie, abym z pieszczotą mówił po niemiecku.

— No, no, Ślązak pozostanie Ślązakiem.

— Jak Hanowerczyk Hanowerczykiem! — zawołał Fryderyk nie bez goryczy.

— Albo my Alzateczycy — mruknął inny.

— Więc ty Stiglitz naprawdę nie używałeś zakłęcia?

— Nie... »Pioruna« przyzwyczajałem tylko łagodnością.

— Hm... to każdy z nas potrafiłby zrobić... a tak dziwią się tobie.

— Ja jednak prawdę mówiąc nie dowierzam »Piorunowi«, często spogląda tak złemi i dzi-

kiemi oczami, iż lada chwila oczekuję napadu wściekłości.

— Tchórz jesteś — zaśmiał się drwiąco gruby, rosły Brandenburczyk Hans.

— To wejdź do klatki, kiedyś taki śmiały — zadrwił Fryderyk.

— Myślisz, że się boję... chcesz trzymać zakład ze mną?

— O co?

— Ówiartkę piwa dla nas jak stoimy.

— Ostrzegam cię, bo »Piorun« nie żartuje.

— Kpię sobie z twych ostrzeżeń Ślązaku.

— Zakład przyjmuję — wyciągnął rękę Fryderyk.

— Dobrze... zobaczymy jutro.

— Jutro nie pozwolę ci wejść — zawołał Jaśko — dopiero po wizycie pana rotmistrza.

— O czym wy rozmawiacie? — spytał podoficer, zbliżając się do nich.

— Hans poszedł o zakład, że wejdzie do klatki »Pioruna«.

— Zazdrościsz Wilhelmowi? — zaśmiał się z ironią.

— Nic mi nie będzie, a upokorzę dumnego Ślązaka — mruknął Hans.

— Bez pozwolenia wachmistrza nie wolno ci wejść — rzekł podoficer.

— Właśnie idzie — wskazał na wchodzącego wachmistrza z Meinekiem — zaraz zapytam.

W tej chwili zbliżył się wachmistrz i zawołał surowo:

— Johann Stiglitz, ty ubliżyłeś podoficerowi Meineckowi, krytykowałeś jego czynności służbowe.

— Melduję pokornie panu wachmistrzowi — odpowiedział Jaśko wyprostowany — że mówiłem tylko o mojem postępowaniu z »Piorunem«, co mogą wszyscy poświadczyć.

— Tak, tak!... Prawda! — zawołano.

— Cicho! — krzyknął wachmistrz — nie pytam was, tylko Stiglitz.

— Panie wachmistrzu — rzekł Meineck — huzar Johann Stiglitz opowiadając robił złośliwe aluzje do moich czynności służbowych, co pobudzało innych do śmiechu.

— Stiglitz, a to co nowego? — gromił wachmistrz, patrząc surowo na innych.

— To już nie moja wina, że pan podoficer Meineck brał do siebie moje słowa.

— Pamiętaj Stiglitz, żeby to była ostatnia skarga, bo będzie źle z tobą... Przepróż natychmiast pana podoficera Meinecka.

Jaśko w postawie wojskowej salutował i rzekł tonem służbisty:

— Przepraszam pokornie pana podoficera Meinecka, że mówiłem nieostrożnie o »Piorunie«.

I wachmistrz i huzarzy uśmiechnęli się, a Meineck z pasyą mruknął:

— Dostanę cię kiedyś!

Wtem wystąpił Hans, mówiąc:

— Panie wachmistrzu, proszę o pozwolenie wejścia do klatki »Pioruna«.

— Ty? A to poco?

Stiglitz natrząsał się z nas... Przyjąłem zakład o ćwiartkę piwa, że wejdę sam.

— Huzar powinien mieć odwagę — nauczał wachmistrz — ale nie powinien narażać się bez potrzeby, to głupota.

— Prosiłbym jednak o pozwolenie, tu idzie o honor... Ślżak nie może przecież tryumfować nad nami.

— Hm... honor?... Pomyślę jeszcze, ale bez mego pozwolenia nie wolno, słyszysz?

— Wedle rozkazu pana wachmistrza — salutował Hans i cofnąwszy się pomiędzy kolegów, dodał: — Wygrałem zakład!

— Dlaczego nakłamałeś o Stiglitzu? — zgaśnił Fryderyk.

— Musiałem, bo spotkałbym się z odmową, a jak idzie o butę śląską, i wachmistrz i rotmistrz pozwolą.

W kilka dni później komendant szwadronu wizytując stajnię, stanął wraz z oficerami przed klatką »Pioruna«, a widząc go lśniącem, rzekł z miną tryumfującą do porucznika:

— Czy i teraz w leb mu strzelić?

— Hm... mojem zdaniem, koń będzie tylko

tak długo spokojny, póki go będzie obsługiwał ten sam ordynans.

— A ja jestem innego zdania — zaśmiał się podporucznik — sam wejść do klatki, byłem widział, jak idzie ordynans.

— Hej, Stiglitz! Wejść do konia! — zawołał rotmistrz.

»Piorun«, słysząc za sobą głośnie rozmowę, począł się niepokoić i kręcił się w tę i ową stronę.

Jaśko widząc to, zanim wszedł, zawołał po swojemu:

— Kosiu! Koś, koś, kosiu! Cyt!

Na te słowa koń z lekka usunął się do ściany i pozwolił dojść do żłobu i wziął z ręki Jaśka chleb ze solą.

— Widzicie!? — zawołał uradowany rotmistrz — hej, Stiglitz, chodź tutaj!

Zawołany przyszedł, a podporucznik mówił z uśmiechem:

— Daj mi kawałek chleba... Teraz ja sam wejść.

— Naucz się pan przemawiać — rzekł nadporucznik.

— Prawda... Ordynans, jak mówisz, powtórz...
Jaśko stał zmieszany i milczał.

— Gadaj! — rozkazał podporucznik.

Wezwany powtórzył swe przemówienie do konia z ociąganiem.

— A to co za słowa? — zdziwił się nadporucznik. — Ordynansie, w jakim to języku?

— Po śląsku.

Wszyscy spojrzeli po sobie, a porucznik rzekł z ironią:

— Czy nie mówiłem? Póki on na służbie, koń będzie dobry.

— Jak śmiałeś tu w szwadronowej stajni używać innego języka? — zawołał rotmistrz.

— Myślałem, że do konia... — bąknął Jaśko.

W innym wypadku byłby winny niechybnie ukarany, ale tu był »Piorun« w grze, więc rotmistrz zadowolił się naganą:

— Stajnia czy koszary, kościół czy dom, nigdzie nie wolno mówić ci inaczej, tylko po niemiecku... Konia musisz przyzwyczaić do dźwięków naszych, niemieckich... Zrozumiałeś?

— Wedle rozkazu pana rotmistrza — salutował Jaśko.

— Cóż, panie podporuczniku, nie wejdiesz pan do klatki? — zaśmiał się porucznik.

— Nie mogę przecież belkotać tym dyalektem — odpowiedział zapytany z obrzydzeniem na twarzy.

— No tak, to zrozumiałe — przyznał porucznik — ale ręczę panom, że nikt inny prócz ordynansa nie może bezpiecznie wejść do tego konia.

— Ja wejść, skoro ordynans nauczy się

przemawiać do niego po niemiecku — upewniał podporucznik.

— Bardzo wątpię — uśmiechnął się porucznik — koń słucha głosu nie słów.

— Hej, Stiglitz! Przemów po niemiecku i wejdź! — rozkazał rotmistrz.

— *Kleiner* — powtórzył kilka razy.

»Piorun« zastrzygł uszami, ale poznawszy Jaśka, pozwolił mu wejść, oczekując łakotki. Zawiódłszy się, spojrział zdziwiony i położył uszy. Jaśko udał, że coś wrzucił do żłobu i z nim koń zrozumiał oszukaństwo, wyszedł.

— Może teraz pan wejdzie panie podporuczniku — zadrwił porucznik — koń umie po niemiecku.

Zanim podporucznik odpowiedział, rzekł rotmistrz:

— Wiecie panowie, huzar Hans poszedł o zakład, że wejdzie do »Pioruna«, zrobimy próbę... Hej, warta, zawołać tu huzara Hansa!

Po chwili zjawił się Hans, a usłyszawszy pozwolenie, uśmiechnął się uradowany.

— Naucz się słów śląskich — upomniał go żartem porucznik.

— Niemiecki koń, zrozumie Niemca.

Odpowiedź ta podobała się bardzo i oficerowie z przyjemnością patrzali na rozrosłą postać Brandenburczyka.

Hans stanął przed klatką i zawołał grubym, ale dość łagodnym głosem:

— *Na, Liebchen!... abtreten!*

»Piorun« wstrząsnął się, bo głos Hansa przypominał brzmieniem głos Wilhelma; położył uszy po sobie i ukradkiem śledził chwilę wejścia. Za ledwie Hans zbliżył się i wyciągnął rękę, by poklepać zad konia, »Piorun« wierzgnął i tylko dzięki przytomności Jaśka, który w sam czas potrafił na bok Hansa, uniknął ten uderzenia kopytem.

Niebezpieczeństwo było tak bliskie i widoczne, że rotmistrz zakazał surowo wszelkich prób, tylko jeden Jaśko miał obsługiwać i dozorować konia.

Hans przegrał zakład, a gdy koledzy, pijąc piwo, żartowali z niego, odezwał się z gniewem:

— Niech który z was spróbuje zmierzyć się z tą bestyą.

— A jednak Stiglitz — zaczął inny.

— Zobaczymy, czy dorachuje swych kości, gdy przyjdzie do ujeżdżania — przerwał mu Hans z uśmiechem złośliwym.

Wrócił i Wilhelm do szwadronu ze szpitala, a w nagrodę za stratowanie mianował go rotmistrz gefrajterem.

Gdy świeżo mianowany przełożony dowiedział się o powodzeniu Jaśka, zabłysły mu oczy i rzekł do kolegów z uśmiechem złośliwej radości:

— Ręczę wam, że ten podły Ślązak pójdzie do szpitala... zagryzie go koń...

A na dopytywania odpowiedział z uśmiechem zagadkowym:

— To moja rzecz, jak zrobię.

Jednego dnia, gdy Jaśko czyścił »Pioruna«, Wilhelm podszedł do klatki i krzyknął:

— *Ach du Bestie, wird's gleich Priegel kriegen!*

Koń rzucił się w bok, począł wierzgać, kwiczeć, skakać, że Jaśko z wielkim trudem uniknął uderzenia.

Podoficer, który to widział przypadkowo, surowo zgromił Wilhelma i zagroził karą.

Wobec możliwej degradacji i kary, ucichł Wilhelm, obiecując sobie w inny, w mniej głośny sposób rozdrażnić konia, gdy nienawistny Ślązak będzie w klatce.

.....

Z rozkazu rotmistrza miał Jaśko ujeżdżać »Pioruna«, który wzdragał się nosić ciężar na sobie.

Po namyśle i naradzie wspólnej zaczął Jaśko bardzo stopniowo przyzwyczajać konia do ciężaru. Rozpoczął od derki, złożonej we czworo i przy usilnych staraniach doszedł do tego, że koń wprawdzie z gniewem i niecierpliwem wzdraniem się, ale znosił na krótką chwilę cięższą poduszkę na sobie.

Wtem przyjechał na wizytację szwadronu generał z pułkownikiem i swoim sztabem.

Po regulaminowych przeglądach, ćwiczeniach pieszych i konnych, generał w towarzystwie oficerów wyższych zwiedzał stajnie.

Gdy zobaczył lśniącego »Pioruna«, zatrzymał się i spytał:

— Do kogo należy ten koń?

— To moja prywatna własność — odpowiedział rotmistrz.

— Ładny... rasowy... każ go pan przeprowadzić do maneżu.

Rotmistrz wydał Jaśkowi stosowny rozkaz i wszyscy oficerowie przeszli do maneżu, obszernego placu okolonego baryerą.

Jaśko chcąc się pochwalić »Piorunem«, nałożył mu ładną trzęzłą, nakarmiwszy poprzednio chlebem solonym.

Wprowadził go do maneżu.

Było południe, a jasne promienie majowego słońca ozłociły kasztanowaty włos konia, zapalały go złotawymi błyskami.

»Piorun«, poczuwszy powiew świeży, zarżał i stapał dumny, piękny, wyginając smukłą szyję, podrzucił kształtną głowę, spoglądając bystro wokół.

— Śliczne zwierzę... gdzie go pan kupiłeś, panie rotmistrzu? — odezwał się generał.

— Na jarmarku, od szlachcica von Haasfeld, koń półkrwi, ma metrykę.

— I drogo? — spytał pułkownik.

— Nie bardzo, gdyż był znarowiony i nie dawał przystępu do siebie.

— Czy jest na sprzedaż? — zapytał adjutant generała.

— Tak jest, lecz uprzedzam, iż nie jest ujeżdżony, potrzebuje nauki.

— Kupiłbym go... ile pan chcesz?

Rotmistrz zawahał się, lecz generał rzekł z laskawym uśmiechem:

— Kończcie interes, a nam jako świadkom postawicie śniadanie.

— Zatem ile panie rotmistrzu? — przyna-
glał młody adjutant.

— Dwa tysiące marek.

— Za drogo... dam tysiąc pięćset.

— Nie mogę.

Generał, patrząc na stojącego »Pioruna«, który grzebał ziemię przednią nogą, odezwał się:

— Widać w nim rasę... koń na wojnę.

— Dam tysiąc ośmset — rzekł adjutant —
cóż?

— Zgoda, ale jeszcze raz uprzedzam pana,
że niewyjeżdżony.

— To dziwne — przemówił generał — wy-
gląda tak wesoło, łagodnie... Hej, huzar! — za-
wołał na Jaśka — na koń! i jazda.

Jaśko stał niezdecydowany, patrząc na swego
rotmistrza.

— Siadaj! — rozkazał.

Posłuszny zebrał cugle i wskoczył na nie-
osiadlanego.

»Piorun najpierw stał oszołomiony, następnie
począł wierzgać, stawać dęba, a gdy nie mógł
pozbyć się niezwykłego ciężaru, rzucił się, jak
strzała wypuszczona z łuku, przeskoczył z łatwo-
ścią baryerę stosunkowo wysoką i pognął w pole.

— Jeśli wrócą szczęśliwie — uśmiechnął się
generał — koń wart ceny, huzar nagrody.

Rotmistrz zmusił się do uprzejmego uśmie-
chu i rzekł:

— Zanim powrócą, pan generał i panowie
raczycie zaszczycić mnie przyjęciem skromnego
śniadania.

— Idziemy panowie — zawołał wesoło ge-
nerał — dawno nie czulem takiego apetytu,
jeśli i panowie jesteście głodni, zjemy wszystkie
zapasy rotmistrza.

Idąc ku mieszkaniu komendanta szwadronu,
posłyszeli gwar w koszarach, to huzarzy śle-
dzili jazdę Jaśka i wypowiadali swe uwagi.

— Chłopcy się bawią — uśmiechnął się ge-
nerał laskawie.

— Nie dziwię się im wcale — dodał pułko-
wnik — mnie samego zaciekawia rezultat próby.

— I mnie także, — rzekł podpułkownik.

— Jednak szkoda byłoby konia, gdyby mu się trafił przypadek — westchnął adjutant — panie rotmistrzu, a ten huzar dobry jeździec?

— Jeden z lepszych — odparł chmurny, bo znając »Pioruna«, obawiał się nieszczęścia dla konia.

Przy śniadaniu nadporucznik opowiedział adjutantowi historię »Pioruna« od czasu, gdy został postawiony w stajni szwadronowej.

Adjutant zamiast ostygnąć w swych zapachach, zawołał:

— Lubię takie nieposkromione bestye; koń mojem zdaniem powinien być przywiązany do swego pana.

— W takim razie trzeba samemu dawać mu obrok, czyścić, pochlebiać — zaśmiał się porucznik.

— I to zrobię, byle mieć w nim przyjaciela.

— Panie adjutancie, dowiedz się pan w takim razie sekretu od ordynansa, jakim sposobem przywiązał konia do siebie — radził porucznik,

— Jeśli nie jest niemową — zaśmiał się adjutant — mam zawsze klucz — i uderzył się po bocznej kieszeni, gdzie chował pugilares.

Następnie zwrócił się do gospodarza, mówiąc:

— Panie rotmistrzu, zatem cena stoi... o ile koń wróci cały.

— Nie tak nagle — przemówił generał ostrze-

gajaco — jeśli koń wróci zdrow, ten sam taki sprytny ordynans musi go wyjeździć.

— Ale... — zaczął adjutant.

— Niema ale, — rzekł generał surowszym tonem — bez ujeżdżenia nie pozwolę panu jeździć na nim w mojem towarzystwie. Rzecz skończona... Panie rotmistrzu, pan znasz lepiej konia i człowieka; ile czasu trzeba na ujeżdżenie tego konia?

— Myślę, że miesiąc wystarczy.

— Zatem możesz pan teraz, jeśli wróca szczęśliwie, zapłacić za konia... ale odbierzesz za miesiąc.

— Wedle rozkazu pana generała — skłonił się adjutant.

Wśród chwilowego milczenia rzekł generał:

— Panie rotmistrzu, wyslij pan kogo na zwiady.

— Natychmiast — zawołał rotmistrz, gdyż to polecenie odpowiadało w zupełności jego pragnieniu dowiedzenia się o przebiegu wypadku i uratowania konia w danym razie.

Tymczasem »Piorun« przeskoczywszy baryerę manieżową, pędził na oślep przed siebie w pole.

Jaśko zrozumiał, że mając tylko treźlę w rękę, słabe wędzidło, jak na takiego konia, jest na łasce losu i kaprysu »Pioruna«; postanowił też nie używać wędzidła, chyba w osta-

tecznym razie, gdy koń, chcąc pozbyć się ciężaru wpadnie pomiędzy drzewa rozrzuconych gajów i tarcie o drzewa zmusi jeźdźca do zeskoczenia.

»Piorun« gnał bez opamiętania, przesadzał rowy, przeskakiwał ploty, a Jaśko puściwszy mu cugle wolno, po każdym skoku klepał go po szyi, przemawiał czule, jak gdyby pochwalał jego dzielność.

Koń wpadł na bity gościniec, a poczuwszy twardey grunt pod kopytami, gnał po nim cwalem.

Z daleka dojrzał i koń i jeździec nadjeżdżający wóz frachtowy.

W jednej chwili »Piorun« uskoczył nagle w bok, tak, że Jaśko przechylił się i z trudem odzyskał równowagę. Koń zrozumiałwszy skuteczność skoku, co chwila dawał szczupaki to w lewo, to w prawo, i leciał wprost do gęsto porośniętego gaju.

— Ostatnia moja godzina — pomyślał Jaśko i tuż przed drzewami szarpnął konia w bok; ten jednak pędził dalej w tym kierunku, więc Jaśko znając z praktyki skuteczność uderzenia między uszy, całą siłą palnął kulakiem w to miejsce.

Koń zachwiał się i padł, dysząc ciężko. Jeździec zeskoczył nie puszczając cugli z ręki, i jał przemawiać czule do leżącego. Nagle do-

strzegł Jaśko ruch powstawania i zanim ten stanął na czterech nogach, już znów siedział.

Rozpoczęła się szalona jazda, a »Piorun« to stawał dęba, znów wierzgał, dawał szczupaki stawał nagle, tak, że Jaśko tylko pochwyceniem grzywy lub szyi chronił się od upadku... a gdy na nic zdały się używane wybiegi, koń sypiąc mydłem, stopniowo się uspokajał.

Wówczas Jaśko, który zawsze miał w kieszeni kawałek chleba, wyciągnął i zbliżył kromkę do nozdrz konia. Tylko szybkemu cofnięciu zawdzięczał Jaśko ochronienie ręki od ugryzienia. Nie przestawał jednak przemawiać łagodnie, pieścić ręką i doprowadził wreszcie do klusa.

Rozejrzał się po okolicy, lecz nie wiedział, w której stronie jest Langendorf. Spytał spotkanego chłopa i skierował zachowując wszelkie ostrożności konia w tę stronę.

Znów spróbował pokusy z chlebem. Tym razem »Piorun« nie rzucił się na rękę, lecz zwrócił głowę na siedzącego, a poznawszy głos Jaśka, zwolnił jeszcze bardziej kroku, biegnąc truchtem.

Jaśko przechyliwszy się dał mu chleb do pyska. Zgryzł i obrócił głowę, jak gdyby żądał więcej.

— W domu kosiu... W domu — i głaskał go po szyi.

Cmoknął, koń ruszył klusem i po chwili dał się wstrzymać bez szarpania wędzidłem. Teraz

dopiero poczuł się Jaśko panem »Pioruna« i z umiechem zadowolenia rozpamiętywał szczególności swej szalonej jazdy.

— Ty pewno z naszych stron, kiedy rozumiesz nas język — szepnął i poklepał konia.

Z daleka widniały zabudowania koszar i stajni. Poznał je i koń, bo zarżał i puścił się klusem.

Jaśko spostrzegł dopiero teraz, że wjeżdża do Langendorf ze strony przeciwnej aniżeli wyjechał i wprawdzie musi minąć dom mieszkalny rotmistrza, zanim dostanie się do stajni.

Jeszcze kilkaset kroków dzieliło go od domu komendanta, gdy ujrzał na drodze grono oficerów z generałem na czele, którzy mu się bacznie przypatrywali.

Puścił więc konia w galop, chcąc się pochwalić, a zbliżywszy się, jechał stępa.

— Z konia! — zakomenderował generał rozweselony nie tylko winem, ale dzielnością huzara i gdy Jaśko stał wyprostowany przy »Piorunie«, generał wyjął papierek dziesięciu marek i zawołał wesoło: — Panowie, huzar wart nagrody a koń ceny, zróbmy składkę.

Usłużny adjutant podał swój kołpak i każdy z oficerów rzucił papierową monetę po pięć marek.

— Huzar! Przystąp do mnie z koniem!

Jaśko byłby nadzwyczaj chętnie posłuchał

rozkazu, ale »Piorun« ociągał się, strzygł uszami, parskał; dopiero czule przemówienie skłoniło konia do ustępstwa. Zrobił kilka kroków i stanął, a po naprężeniu nóg widać było, że bierze na upór.

Zrozumiał to generał i skinąwszy na służącego, rzekł:

— Oddaj to huzarowi.

Zaledwie ten zbliżył się do Jaśka z kołpakiem adjutanta w rękę, gdy »Piorun« szarpnął się w kierunku nadchodzącego i wyszczerzył zęby, gotów do kąsania.

Cofnął się szybko służący, a Jaśko z pewnym trudem uspokoił konia.

— Pyszny! Doskonały! — zawołał zachwycony adjutant — taki nie da tknąć swego pana, wierny jak pies.

Jaśko zarumieniony z radości, tak z powodu pieniędzy, jak i pochwał dla »Pioruna«, popuścił śmiało cugle, trzymane dotychczas blisko pyska i podstawił swój kołpak, w który mu służący wsypał zebraną składkę.

— Huzar, a jazda była dobra? — zaśmiał się generał.

— Szalona... rów nie rów, płot nie płot.

Generał lekko się nachmurzył i spytał rotmistrza:

— Jakiej on narodowości? To nie Niemiec.

— Ślązak, panie generale.

— Zawsze jednak dobry huzar rotmistrzowi? — powiedział tonem swobodnym, aby nie dać poznać podwładnym, że zważa na różnice narodowościowe.

— Tak jest panie generale, a jeździec doskonaly, czego dziś dał dowód.

— Na koń! Marsz! — komenderował generał. Jaśko skoczył na »Pioruna«. W pierwszej chwili koń wstrząsł się i zębami starał się pochwycić nogę jeźdźca, ugłaskał go głos i ruszył stępa. Przypatrywali się oficerowie, nagle zawołał generał:

— Klusem!

A po krótkim klusowaniu:

— Galop!

I tę komendę wykonał Jaśko.

— Tak, tak — westchnął generał — oni wszyscy są urodzonymi kawalerzystami.

— I nasi nie są gorsi — dorzucił pułkownik. Generał pominął milczeniem tę uwagę, i idąc na ganek domu spytał:

— Cóż panie adjutancie, kupujesz konia?

— Naturalnie... cena umówiona... ale koń idzie tak posłuszenie..

— Że miesiąc pozostanie tu do nauki — zaśmiał się generał, a inni mu wtórowali, — a panie rotmistrzowi odpowiadasz za konia.

— Tak jest, panie generale.

Jaśko wjeżdżał na plac przed stajnią jak

tryumfator. Cały jego pluton wyszedł na powitanie i wielu huzarów z innych plutonów.

— Wiwat Stiglitz... Ten nasz!... My górą!...

— Wiwat Ślżak! — zawołał Fryderyk, a ten okrzyk najmilszy był Jaśkowi, i odpowiedział:

— Dziękuję koledzy... i tobie Fryderyku.

Wilhelm, który jako gefrajter służył przy innym plutonie, znalazł się jednak przed stajnią, bo miłość i nienawiść zarówno ciągną w pobliże przedmiotu uczucia, a widząc tryumf Jaśka zawrzał zemstą i znając już wrażliwość konia krzyknął:

— *Ich hau' dich tot du Hallunke!*

»Piorun« rzucił się gwałtownie, omal że nie potratował huzarów, a wachmistrz, który był w pobliżu przyskoczył do Kruga i zawołał z gniewem:

— Oduczę ja ciebie tych żartów głupich... a teraz precz... do koszar.

Wilhelm nachmurzony poszedł, słysząc za sobą odgróźki, kłątwy i złorzeczenia huzarów, zgorszonych jego zachowaniem, w takiej chwili.

Na drugi dzień przy parolu otrzymał gefrajter Wilhelm Krug tydzień obostrzonego więzienia.

Teraz zaczęła się dla Jaśka najszcześniejsza epoka w jego życiu wojskowym.

Rotmistrz dał mu dwadzieścia pięć marek nagrody za konia.

Koledzy i przełożeni lubili go, chwalili się nim, a on tę życzliwość odpłacał częstym poczęstunkiem, gdyż prócz resztek swoich pieniędzy, otrzymał czterdzieści pięć marek ze składki oficerów i podarunek rotmistrza, nie licząc żołdu, w każdą dekadę po dwie marki dwadzieścia dwa fenigi.

Wilhelm po odbyciu kary unikał Jaśka starannie.

A Jaśko, zwolniony z ćwiczeń, marszów, manewrów, po obowiązkowym ćwiczeniu w maneużu, wyjeżdżał na »Piorunie« z polecenia rotmistrza na dalekie spacerki.

Napawał się rosnącym zbożem, kwitnącymi koniczami, zbiorem siana, robotami polnemi, marząc swobodnie o swym Śląsku i ciesząc się powrotem niedalekim.

Skończyły się jednak po miesiącu te swobodne dni.

Przyjechał adjutant po konia, a zawoławszy Jaśka do siebie rzekł tonem łagodnym:

— Stajennego masz u mnie pięć marek, powiedz jak obchodzić się z »Piorunem«?

— Łagodnie, spokojnie, panie adjutancie.

— Hm... dostaniesz jeszcze dwadzieścia marek... powiedz jakie ma wady?

— Wady?... Wady?..

— Oto masz — dał mu w rękę dwadzieścia pięć marek — gadaj mi prawdę.

— »Piorun« jest bardzo lechtliwy w karku, przegubach przednich łopatek i przy ogonie... nie można inaczej, tylko zmywać zimną wodą.

— Dziękuję ci... Już wiem.

Jaśko zajął swe dawne łóżko w mrocznej sali, w której tyle ciężkich chwil przeżył i przebolewał.

Zrazu służba wydawała mu się ciężką i trudną, ale po kilku dniach przywyknął, zwłaszcza, że i przełożeni, i koledzy zachowywali się względem niego przyjaźnie, nie będąc podnieceni przeciw niemu przez Wilhelma Kruga, przydzielonego jako gefrajter do innego plutonu.

Po powrocie z wielkich manewrów pod Paderbornem, szwadron otrzymał rozkaz udania się do Bochum, miejscowości fabrycznej i przemysłowej prowincyi Westfalii.

Wielka radość zapanowała w całym szwadronie, opuszczają bowiem wieś nudną i jednostajną, a przyjdą do miasta, w którem łatwiej o miłe znajomości i zabawę.

Ale już najbardziej cieszył się Jaśko, gdyż wiedział, że w kopalniach i po fabrykach dużo jest swojaków, i jak mu Marysia pisała w Bochum jest i Tekla Marczakówna z Leszczyniec.

Jeszcze dwa miesiące dzieli go od opuszczenia wojska, a w Bochum, pomiędzy swojakami będzie miał możność rozmówienia się po śląsku, otrząśnie się z niemieczczyzny i zawiezie pomie-

dzy swoich wiadomości nowe o Ślązakach bochumskich.

Po skończonych przygotowaniach do wymarszu, rozeszła się wiadomość niewiadomo skąd i jak, że do Bochum odkomenderowano trzy szwadrony, gdyż zachodzi obawa strejków robotniczych, więc celem uspokojenia ludności i stłumienia możliwych wybryków robotniczych, przeznaczono huzarów.

Wesoło ze śpiewami i muzyką weszli do Bochum, witani okrzykami radości przez dzieci, oglądani z ciekawością przez kobiety.

W kilka dni po ukończeniu służby dziennej wyszedł Jaśko na miasto by poszukać swojaków. Długo błądził ulicami, nasłuchiwał rozmów, ale nie posłyszał słowa śląskiego, i zniechęcony wszedł do ustronnej piwiarni.

Siedział przy szklance piwa rozmyślając, jakim sposobem wywiedziałby się o Ślązakach, gdy uszu jego doleciały dobrze mu znane dźwięki.

Spojrzał w tę stronę. Przy małym stoliku siedziało dwóch z miejska ubranych i rozmawiali półgłosem.

Nie dowierzał Jaśko swemu słuchowi i pod pozorem, że czegoś szuka, podszedł do stolika.

Nasłuchiwał, i teraz już nie wątpił, przystąpił do nich śmiało mówiąc:

— Dobry wieczór!

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, i starszy

z wygoloną twarzą odrzucił w tył szpakowate włosy i rzekł:

— Dobry wieczór... Swojak?

— Ślązak z pod Opola.

— Hm... toś nasz, bo ja z pod Bytomia, a ten — wskazał na bruneta lat średnich — z Mysłowic... Paweł Kociuba, a ja Piotr Mudroń... zaś tobie jak?

— Jan Szczygieł, tylko przerobili mnie w wojsku na Stiglitzę, ale nie długie ich panowanie, jesienią wolnym jest, i odzyskam swoje rodowe nazwisko.

— O te pludry szwabskie — syknął starszy — wszystko przerabiają na swoje kopyto, ale niedoczekanie ich!

— Połamię sobie zębca na Ślązakach i nie szkodliwą będzie żmija — zaśmiał się Kociuba.

— Siadaj przy nas, boś nasz — zapraszał Mudroń.

— Zaś tego i chcę — zawołał Jaśko i wkrótce przyniósł swój kufel z piwem, i przysunawszy krzesło usiadł.

— A wiecie wy swojacy, że od kilku godzin lażę po mieście i żadnego z naszych nie spotkałem.

— Jakżeś chciał — uśmiechnął się starszy — zaś my tu nie na spacer, ani zabawy przyjechali. Pracuję ciężko, od rana do nocy, a znów jak wypadnie szychta w nocy, to przez dzień trzeba wypocząć, pogadać z dziećmi, ze żoną...

— Już też takie świątobliwe życie nie zawsze prowadzim — zaśmiał się Kociuba — mamy swoje śląskie gospody i tam się zabawiamy, radzimy, no i swoich żegnamy albo witamy.

— Okrutnie chciałbym być tam z wami, w gospodzie naszej, bo mi się strasznie uprzykrzyła służba niemiecka — rzekł Jaśko, spoglądając na obydwa.

— To znów nie jest tak trudno... ale tobie nie wolno z nami, jako jesteś wojak — powiedział Mudroń, patrząc na mundur.

— Zaś nie wolno — przerwał żywo Kociuba — toć i nam dużo rzeczy nie wolno, ani czytelnicy, ani śpiewów, ani towarzystw, jednak są... Co nie miałyby być wolno i Szczygłowi?

— Hm... wojskowy jest, srogie prawo nad nim, poco ma cierpieć? — tłumaczył starszy.

— Ii, co mi tam cierpienie — rzekł Jaśko weselo — posadzą do aresztu.

— A jakże ci było w wojsku?

— Zaś powiem sprawiedliwie wam ojczyste Mudroniu, że możnaby wytrzymać, gdyby to nie byli Niemcy.

— Ba, wiadome rzeczy — westchnął — a oni co?

— Dokuczają, wymyślają, a zawsze im na paskudnym języku tylko Ślązak. A był ci jeden psi syn Wilhelm Krug, niemiecki Ślązak, ten

najgorszy, ścierwo takie niemieckie, dojadł mi do żywego.

— No, a starsi? podoficerowie i inni?

— Oni są tylko od karania — uśmiechnął się z goryczą — taki słucha donosu i bez sądu, przesłuchania, ukarze.

— Hm... siedziałeś w dziurze?

— O, i ile razy! A zawsze niewinnie, dla mnie areszt to niby drugie koszary.

— I za co? — spytał zaciekawiony Kociuba.

— O byle co... a już najbardziej za śląski język... Czy uwierzycie, że za spowiedź śląską siedziałem trzy dni... no, nie było mi żal, bo za świętą rzecz, ale miarkujecie jacy oni?!

— Za spowiedź?! — zawołał z niedowierzaniem Mudroń — chyba szklisz?

— Jak mi Boga, tak prawdę mówię. Ukaranano mnie i drugiego z Prus, Michała Grudę, dobrego chłopca, żeśmy w Paderbornie spowiedzi dali się po śląsku.

— O subraty — zacisnął pięście Kociuba — toż to grzech śmiertelny, podsłuchiwać świętej spowiedzi.

— Ba, czy luter dba o grzech?

— To był katolik ten podoficer, co doniósł wachmistrzowi — objaśniał Jaśko — ale podwiódł go ten podły luter, Wilhelm.

— Oj zbytkują te Niemcy, zbytkują, ale przyjdzie im na smutny koniec.

— Daj to Panie Boże doczekać... Amen! —
dodał Kociuba.

Po chwili milczenia, odezwał się Jaśko:

— Gdzież te śląskie gospody?

— Jak wyjdziemy, to ci pokażem... ale nie idź od frontu, tylko od podwórza, mamy zawsze izbę swoją, żadnemu Niemcowi zajrzeć tam nie wolno.

— Dlaczegoż tak skrycie?... Czyż i wam, cywilom, nie wolno się gromadzić?

— Hm... wolność, wolność... ale przyjdzie taki z policyi — objaśniał Mudroń — i w te pędy sprawdza, czy wszyscy zebrani tutejsi, zabrania mowy śląskiej, wszelkich składek, chociażby na wdowy i sieroty... A nie usłuchamy, zaraz każe rozchodzić się... no, i po całej zabawie.

— No, i często was nachodzą?

— Hm... często, nie często, chyba, że ktoś donos zrobi...

— Z naszych? — spytał Jaśko.

— A niechże Pan Bóg broni — oburzył się Kociuba — co też tobie w głowie!? Ot, posłyszysz jaki Niemiec, dostrzeże policyant, i zaraz gwałt, skweres, pisanina...

— Okrutnie te Niemcy tchórzliwe — uśmiechnął się Mudroń — byle nas kilku się zebrało, zaraz gwałt podnoszą, że dybiemy na całość niemiecką.

— Zaś proszę was — odezwał się Jaśko,

częstując nowych znajomych cygarami — czy nie znana wam Tekla Marczakówna?

— Cóż ci ona? Znajoma? Narzeczona?

— Zaś prawie z mojej wsi, bo Leszczyńce i Radonie, niby moja wieś, to jedna parafia i szkoła. Wiem, że ona tu jest, ale jak się wywiem gdzie?

— Czy to dziewczka?

— Tak jest.

— Hm... ojcze Piotrze... a może ona u Religa we fabryce, tam ich kupują...

— Może i tam, a może i nie... należałoby się przepytać... to powiadasz, że ona zwie się?

— Tekla Marczakówna.

— Zaś nie przepomnę... kiedyż masz czas wolny?

— Ja?... a chociażby jutro wieczorem.

— Hm... to mi się nie składa... Jutro idę na szychcę... a dopiero przepytam tych i owych... za tydzień dam ci wiadomość.

— O, długo czekać — westchnął Jaśko.

— Czekales bez mała trzy lata, zaczekasz i tydzień — zaśmiał się Kociuba — nie ubędzie ciebie.

— Prawda, to i zaczekam.

Zapłacili za piwo gospodarzowi, wyszli na ulicę, a Jaśko spojrzął na zegarek i zawołał:

— Oho, na mnie już czas! Za piętnaście mi-

nut capstrzyk... muszę już do koszar, a którądy mi droga?

— Podprowadzimy ciebie... chodź.

— Kiedyż was obaczę i gdzie?

— Ano, niema czasu na pokazanie gospody... przyjdź za cztery dni do tej samej piwiarni, zastaniesz nas.

— A twoja droga na prawo — wskazał mu Mudroń.

— Jakże zwie się piwiarnia?

— Pod Górnikiem!

— Już wiem... bywajcie!

— Do widzenia, za cztery dni.

W czasie oznaczonym na spotkanie został Jaśko odkomenderowany na wartę w zastępstwie słabego towarzysza.

I napróżno przez kilka dni chodził następnie do piwiarni, nie zastał znajomych z pierwszego spotkania.

Wreszcie jednego wieczoru wszedł swoim zwyczajem do tej piwiarni, i dostrzegł siedzącego przy stoliku Mudronia.

Uradowany, zbliżył się, mówiąc podniesionym głosem:

— Zaś was szukałem tyle dni po próźnicy!

— Czemuż nie przyszedłeś w on dzień?

— Wypadła mi służba.

Usiadł przy Mudroniu, i zażądał kufel piwa, a rozpatrując się po sali, spotkał się ze złośli-

wym spojrzeniem Wilhelma. Nachylił się do sąsiada szepcząc:

— Ten huzar na prawo... właśnie ów podły Niemiec, Wilhelm Krug, o którym wam wspominałem.

— Niechaj go... piwiarnia dla wszystkich.

— Zawsze to szpieg i donosiciel.

— To i pójdźmy do naszej gospody.

Wstali i wyszli.

Tylko zniknęli za drzwiami zerwał się Wilhelm, zapłacił szybko, i poszedł w ślad za nimi, kryjąc się za węglami, wstępując do bram domów, a śledząc pilnie idących.

Mudroń przystanął na ulicy, a wskazując na szklane drzwi rzekł:

— To nasza gospoda!

Jaśko obejrzał ją uważnie. Po trzech schodkach wchodziło się do głównych drzwi oszklonych, nad którymi widniał szyld w niemieckim języku: »Pod Ślązakiem«.

Tu mamy naszą izbę oddzielną.. Nie wchodzi jednak frontowymi drzwiami, boś wojskowy... pójdziemy przez podwórze.

Była to narożna kamienica i miała dwa wejścia. Mudroń poprowadził go przez bramę bocznej ulicy, i zapukał w drzwi w umówiony sposób, ktoś z wnętrza otworzył i wpuścił ich do sali dość obszernej, oświetlonej trzema oknami,

przysłoniętemi w tej chwili okiennicami drewnianymi.

W kilka chwil później wszedł tą samą bramą Wilhelm, rozejrzał się bacznie w zabudowanym podwórzu, spostrzegł drugą bramę od głównej ulicy, wybiegł nią, śledził ulicę i znów wrócił na podwórze.

Stał jak pies myśliwski, który zgubił trop, węszył... Próbował w tę i ową stronę, a że mu się zdawało, iż Jaśko przemawiał po śląsku do znajomego w piwiarni, dopytywał się służby, czy nie mieszka tu jaki Ślązak, nikt jednak o tem nie wiedział.

Zawiedziony, zły na siebie, że dał się wywieźć w pole, wszedł do gospody i odpoczywał przy piwie, po bezowocnym śledzeniu.

Po pewnym czasie zauważył, że usługujący nosił często piwo i przekąski poza drzwi, łączące drugą izbę z dalszem mieszkaniem. To obudziło jego podejrzliwość.

Śmiało podszedł do zamkniętych drzwi.

— Tu nie wolno — wzbronił mu usługujący.

— Restauracya... wszędzie mi wolno — odparł butnie i usuwał chłopca.

Nadbiegł sam gospodarz oznajmiając:

— Tam zamknięte towarzystwo... wstęp obcym wzbroniony.

— Cóż to za towarzystwo? — zaśmiał się drwiąco — czy nie Ślązaków?

— A chociażby i tak.. wejście wzbronione.

— No, no, pan pozwalasz sobie zanadto, u nas na Śląsku, byłby pan ukarany.

— Ale nie w Westfalii — zaśmiał się gospodarz.

Inni goście, którzy zwrócili uwagę na ten spór, przemawiali głośno:

— Gospodarz ma rację!

— Zamknięte towarzystwo!

— Pfui, wdzierać się przemocą!

Krug czując, że wszyscy zebrani staną po stronie gospodarza, cofnął się na swe miejsce, ale postanowił pozostać tu w restauracyi i w pobliżu do chwili, gdy zabrzmi capstrzyk.

Stał po przeciwnej stronie domu i obserwował. Wreszcie przed godziną dziewiątą zobaczył z radością Jaśka, wychodzącego z tego domu.

Szybko zanotował ulicę i numer domu, a wyprzedzając Jaśka, pobiegł zameldować wachmiistrzowi o przestępstwie.

A Jaśko wracał z uśmiechem szczęścia do koszar huzarskich, przypominając sobie chwile spędzone wśród swojaków. Zastał ich w obszernej izbie ze trzydziestu. Jeden z nich bardzo gorąco przemawiał przeciw małżeństwu mieszanym, wskazując na żywych przykładach, iż byle Ślązak z Niemką się ożenił, już dzieci są niemieckie, i drwią, i kpią sobie z ojca Ślązaka.

Inny znów przedstawił smutny los i przyszłość sierot śląskich na obczyźnie, które wyrosną na wrogów śląskich, a przemawiał tak do serca, że Jaśko dał na składkę jedną markę, aby ich odesłać do rodziny, na Śląsk.

Ale już najmiłsze było spotkanie z Teklą Marczakówną, która pod koniec posiedzenia weszła z innymi dziewczętami do izby.

Naturalnie nie poznała go, i dopiero się zdziwiła, gdy jej przypomniał szkolne czasy i przyjaźń z Marysią. Obiecał jej, że za tydzień będzie u niej, gdzie mają się zejść dziewczęta i chłopcy na zabawę.

Dopieroż się ubawi!

I kołysany przyjemnymi wrażeniami, wszedł do koszar i usnął.

Na drugi dzień Wilhelm Krug wyczekiwał z wielką niecierpliwością parolu popołudniowego, ciesząc się naprzód z ukarania Jaśka, za uczęszczanie w towarzystwa niedozwolone.

Śluchał... parol się skończył, o Jaśku nie było wzmianki. Podeszedł w stosownej chwili do wachmistrza i salutując rzekł:

— Proszę pokornie o wyjaśnienie, jaki skutek miało moje wczorajsze zażalenie na Johanna Stiglitza?

— Pan rotmistrz za samo podejrzenie nie może karać... a zresztą gefrajter Krug usłyszy.

Po chwili trąbka sygnalizowała apel. Huza-

rzy wybiegli z koszar na plac i ustawili się w poczwórnym szeregu, a wachmistrz czytał rozkaz z kancelaryi pułkownika:

— Zwraca się baczną uwagę huzarów trzeciego szwadronu wszelkich stopni, na przepis, iż huzarom jest surowo wzbronione przebywać w towarzystwach tak prywatnych, jak i publicznych jakiegokolwiek innej narodowości, prócz czysto niemieckich, a to pod karą przewidzianą w przepisie i rozporządzeniu wojskowym.

Wachmistrz złożył papier i przemówił:

— Rozkaz ten dotyczy szczególnie Ślązaków, a winny przestępstwa będzie surowo ukarany. Zabrania się uczęszczania i brania udziału w zabawach tak prywatnych, jak i publicznych, w zebraniach wszelkich, i używania jakiegokolwiek języka, prócz niemieckiego, ten jeden tylko odpowiada godności huzara, inne języki plamią i bezczeszczą mundur huzarski. Jest też obowiązkiem honorowym każdego huzara, nie tylko samemu przestrzegać ścisłego wykonania rozkazu, ale dać znać natychmiast swej bezpośredniej władzy, o przestępstwie innych... Apel skończony... Szwadron! Dwójkami marsz!

Jaśko wysłuchał rozkazu spokojnie, ani się zmartwił, ani zaniepokoił. Znal ten przepis, za przekroczenie został ukarany aresztem, postanowił jednak unikać starannie wszelkiego zbliżania się do Ślązaków w miejscach publicznych,

wynagradzając sobie to powstrzymanie w kółkach ścisłych, zamkniętych, zwłaszcza, że spostrzegł złośliwe i szpiegujące spojrzenie Wilhelma.

— Stiglitz ty pilnuj się Kruga — ostrzegł Fryderyk — on szpieguje ciebie.

— Będę i ja ostrożny — mruknął Jaśko.

— Wychodź z kolegami na miasto, zawsze to bezpieczniej.

— Dziękuję ci za radę... posłucham jej.

Przez trzy dni z rzędu chodził Jaśko z kolegami po mieście, i wszyscy wstępowali tylko do niemieckich restauracji i piwiarni.

Wilhelm spostrzegłszy, że Jaśko wystrzega się śląskich towarzystw, śledził mniej starannie swego nieprzyjaciela.

Skorzystał z tego Jaśko, i w oznaczonym dniu, przecznicami i zaułkami, dostał się do mieszkania Tekli.

Przyszedł trochę zawczasie, i zastał nie liczne na razie zebranie, a Tekla wraz z kilku dziewczętami i młodymi ludźmi, krzatali się by przysposobić pokój do tańca, i przygotować jedzenie i piwo, kupione za pieniądze składkowe. Wziął i Jaśko udział w tych porządkach, prekomarzając się z dziewczętami, gdy weszli Kociuba i Mudroń, obaj jacyś chmurni i nadęci. Obstąpiono ich, a Tekla dosyć ładna blondynka zawołała:

— Ojczy Piotrze, cóż, będziemy mieli śląskiego księdza?

— Nie wiadomo dokładnie — odpowiedział Mudroń. — Sekretarz księdza biskupa powiedział, że ksiądz biskup może rozmawiać z delegacją, a nie z prywatnymi.

— To i wybierzmy! — zawołali ci i owi.

Stopniowo dowiedział się Jaśko, że chwilowo bawi w Bochum biskup, a liczni robotnicy i robotnice śląskie umyślili prosić go o przysłanie księdza śląskiego, obiecując dawać roczną składkę na jego utrzymanie. Dziś poszli do kancelaryi biskupa na zwiady Mudroń, Kociuba i kilku innych. Sekretarz przyjął ich dość niechętnie, mówił, że mają i tak dosyć księży niemieckich w Bochum, wreszcie po naleganiach zażądał przysłania delegatów.

Dla Ślązaków przebywających na obczyźnie, w otoczeniu niechętniej im ludności, przy ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalniach i po fabrykach, ksiądz śląski jest uosobieniem pomocy i pociechy moralnej, opiekunem i doradcą w ciężkich chwilach życia, najsilniejszym łącznikiem z krajem rodzinnym. Pożądali też i pragnęli księdza na równi z chlebem codziennym.

Zdawało się im, że teraz przyszła stosowna chwila wyblągania u księdza biskupa tej łaski, i gdy sekretarz zażądał delegacji, zabawa składkowa zesłała na plan drugi, a szło o wy-

bór delegacyi i wysłanie jej chociażby jutro do biskupa.

Jaśko przez trzy lata w wojsku przebyte zrozumiał i oceniał należycie całą doniosłość i szczęście posiadania księdza śląskiego i brał żywy udział w usiłowaniu Ślązaków bochumskich.

— Ej, nie mieszaj ty się w te sprawy — ostrzegał go Mudroń — wojskowe prawa nie pozwalają na to.

— Alboż mu nie wolno prosić o księdza, jako nam wszystkim? — zdziwiła się Tekla.

— Nie wolno, bo on cesarski i ma swego kapelana wojskowego.

— A cóż w tem złego, że prosi za swoimi? — upierała się Tekla.

— Otóż wiedz dziewczyno — nauczał ją Mudroń — że nie wolno mu przestawać z nami, ani się zabawiać, a nawet mówić swoim językiem... Nie wierzysz mi, spytaj go sama.

Tekla zwróciła na Jaśka swe oczy, a on rzekł:

— Zaś to, co mówią ojciec Piotr, prawdą jest... a jednak z kamratem Grudą nawet w koszarach rozmawiamy po śląsku i biedy nie było.

— A nie siedziałeś w areszcie? — zrobił uwagę Mudroń.

— To za spowiedź.

— O lutry bezbożne! — oburzyła się Tekla —

to jakby ciebie tu spotkali, byłbyś także karany?

— Posiedziałbym w areszcie kilka dni — uśmiechnął się.

Mudroń, Kociuba i starsi szukali czapek, by iść na zebranie w umówionej gospodzie, celem wybrania delegatów. Chciał i Jaśko iść z nimi, ale Mudroń mu wzbronił, mówiąc:

— Ty baw się, tańczuj... Nam nic nie pomożesz, a sobie możesz zaszkodzić.

Po wyjściu poważniejszych rozpoczęła się zabawa i tańce, a że dzień, chociaż wrześnieowy, był gorący, więc otwarto okna. Na razie Jasiak wstrzymywał się od tańca, aby go nie dostrzeżono z ulicy, ale jak zagrano dobrze mu znany taniec, pamiętny ze Śląska, nie wytrzymał i wziął udział w kole tanecznem.

W jakiś czas wszedł do pokoju człowiek lat średnich, nie zważano tak bardzo na niego, sądząc, że to jakiś swojak. On patrzył, słuchał, wreszcie zbliżył się do odpoczywającego po tańcu Jaśka i spytał go po niemiecku.

— Jak nazwisko pana?

Zdziwił się Jaśko, że słyszy pomiędzy swoimi niemiecki język i odpowiedział dość opryskliwie:

— A panu co do mego nazwiska?

Tę wymianę słów spostrzegli i inni, zbliżyli się, a pomiędzy nimi i Tekla.

— Co mi do tego, to rzecz inna, ale panu

jako wojskowemu nie wolno być w takim towarzystwie.

— Wolno, nie wolno, to moja sprawa.

— Jeszcze raz proszę o nazwisko, bo numer pulku i szwadronu widzę już na guzikach. A chce pan wiedzieć, jakim prawem pytam pana?... patrz pan! — odchylił surdut i pokazał znak urzędowy.

— Agent policyjny! Agent! — zaszeptano wokół.

Wobec tego powiedział Jaśko swe nazwisko wojskowe.

— Hm... nie dowierzam panu — mówił agent, zapisując nazwisko w książeczce — proszę o numer pałasza.

Jaśko chmurny pokazał mu numer, a agent rzekł uprzejmie:

— Dlaczego pan tu przyszedłeś? Przecież pan słyszał rozkaz pułkownika.

Zanim Jaśko zdążył odpowiedzieć, Tekla poczuwając się, iż z jej winy, gdyż go usilnie zapraszała, będzie Jaśko karany, szybko zbliżyła się i powiedziała zarumieniona:

— Proszę pana komisarza, to mój narzeczony — wskazała na huzara — i zmusiłam go, aby tu przyszedł.

— Hm... to okoliczność łagodząca, i ładną ma pan narzeczoną... ale nie wolno mi zataić przed władzą przestępstwa pana.

— Daruj mu pan ten raz, panie komisarzu — prosili inni.

— Panowie! Sam rozumiem, co to znaczy rozkaz kochanki... co przywiązanie do swej mowy... ale nie mogę — i wyszedł z pokoju.

Zaczęto radzić, jak pomódz Jaśkowi, ci to, inni owo mówili, aż znalazł się wysłużony żołnierz i rzekł:

— Najlepszą rzecz zrobisz, jeśli sam zameldujesz wachmistrzowi o tym wypadku... A gdy Tekla wyznała, iż ciebie jako narzeczonego tu sprowadziła, może unikniesz kary.

— Hm... chyba tak zrobię — spojrział na zegarek, była za trzydzieści minut godzina dziewiąta — już na mnie czas.

— A daj mi znać Jaśku, co się z tobą stało i jaką masz karę — odezwała się Tekla.

— Jakimże sposobem? Sam ciekaw jestem, co zrobią delegaci u biskupa, ale nie wiem, gdzie i kiedy spotkam się z tobą?

— Wiesz Jaśku — przemówił wysłużony żołnierz — jeśli cię ukarzą, to za pierwszym razem na trzy dni aresztu, ja to wiem, bo sam praktykowałem... Możesz widzieć się z Teklą za cztery dni.

— Ale gdzie? — spytał, zabierając się do odejścia.

— Zaś możemy zejść się pod wieczór »Pod

górnikiem«, wiesz, gdzieśmy się po raz pierwszy spotkali — odpowiedziała Tekla.

— Dobrze... będę, a wywiedz się o delegatach naszych.

— Tylko uważaj Jaśku, aby cię nie złapali — upomniała Tekla.

— Nie bój się, to żadna przyjemność siedzieć w areszcie, kiedy ma się swojaków pod bokiem.

Stosownie do udzielonej rady zameldował Jaśko wachmistrzowi o wypadku z agentem policyjnym.

— Hm... hm... zła twoja sprawa — rzekł mu przełożony — rozkaz był świeży...

— To wina narzeczonej.

— No, tak, zapewne, ta okoliczność łagodzi cokolwiek przestępstwo... ano, rozstrzygnie rotmistrz i pułkownik.

Dzięki ujeżdżeniu »Pioruna« był Jaśko w łaskach u rotmistrza i podczas czytania parolu Jaśko ku wielkiej swej radości nie został skazany na karę.

Natomiast przy apelu, wobec całego szwadronu otrzymał publiczną nagane.

Jaśko oczekiwał z wielką niecierpliwością dnia schadzki z Teklą i skoro go zwolniono ze służby, poszedł do gospody »Pod górnikiem«, a w ślad za nim Wilhelm, który dowiedziawszy się z nagany udzielonej Jaśkowi, że wdawał się ze Ślązakami, podejrzywał, iż każdego wieczoru

zabawiał się jego nieprzyjaciel w towarzystwie śląskiem.

Wilhelm podpatrzył, że Jaśko spotkał się z dziewczyną i znów oboje zniknęli mu w podwórzu. Tym razem Wilhelm nauczony doświadczeniem, domyślił się, iż Jaśko przebywa w sali niedostępnej dla innych gości gospody i bez wahania poszedł na policję.

Tymczasem Jaśko, opowiedziawszy Tekli następstwa spotkania się z agentem policyjnym, spytał:

— A co zrobili delegaci u biskupa?

— Nie dopuszczono ich wcale i dzisiaj jest tu »Pod górnikiem« narada, co teraz począć.

— Pójdę i ja! — zawołał Jaśko.

— Ee... co ci po tem, a złapią cię, to cię kara nie minie.

— Wszystko jedno, chcę wiedzieć, co poczną.

— To i chodź ze mną.

Sala była przepelniona. Przemawiano bardzo gorąco i wymownie, iż ksiądz śląski jest potrzebny... że biskup pozwoliłby, gdyby tylko sekretarz dopuścił był delegację, ale jako on Niemiec umyślnie nie dopuszcza i zwleka.

Wśród rozmaitych zdań i rad co począć, odezwał się Kociuba:

— Chcecie posłuchać mojej rady, to i posłuchajcie, a proszę o spokój i ciszę, bo i ja nikomu nie przeszkadzałem.

Umilkł, a gwar cichł z wolna, wtedy on zaczął:

— Nie dopuszczają nas przed oblicze księdza biskupa, delegatów odpędzili, nam głos odbierają, a wiecie dlaczego? No, bośmy są Ślązacy!

— Prawda!... Święta prawda! — odezwały się głosy w sali.

— My Ślązacy, ale i katolicy, więc mamy prawo, aby nas pasterz całej diecezji wysłuchał i dał nam księdza śląskiego, jako on się nam należy słusznie i sprawiedliwie... Ma sekretarz swoje sposoby, aby nas nie dopuścić do biskupa, mamy i my nasze... Zbierzmy się całą kupą, niech się zgromadzi siła narodu, wszyscy pójdziemy do biskupa, a kiedy on ujrawszy tyle narodu, spyta: kto oni? my mu powiemy, żeśmy wierni synowie Kościoła katolickiego, a pragnąc spełniać wiernie obowiązki religijne, potrzebujemy koniecznie księdza Ślązaka.

Wszczął się ogromny hałas i gwar, chwyląc radę Kociuby, a Jaśkowi podobały się okrutnie słowa mówcy i był jednym z pierwszych, gardlujących za tą radą.

Mudroń, który siedział opodal Jaśka, rzekł mu zgryźliwie:

— Czego się tak drzesz? Łakniesz krwi? — a gdy zganiony umilkł, Mudroń zadzwonił w szklanekę i przemówił:

— Rada Kociuby byłaby dobrą, ale nie teraz, gdy huzarzy stoją w Bochumie... Niech się tylko zbierzemy, wypuszczą na nas żołnierzy, skopią nas, potratują, pobiją i tyle zyskamy, że utoczą nam krwi...

Ale słuchacze, zachęceni wymową Kociuby, zaczęli przedrwiwać Mudronia:

— Stary jest!... Boi się o swe kości!... Nie idź, nikt cię nie prosi!... Co tam słuchać krakania!

I podniosła się taka wrzawa głosów, że Mudroń machnął ręką, usiadł, mówiąc:

— Ostrzegłem, a nie chcecie, wasza wola.

Wtem zapukano do drzwi i dał się słyszeć głos niemiecki:

— W imieniu prawa otwórzcie!

Stropili się zebrani, lecz wkrótce wszyscy spojrzeli na Jaśka i poszedł pomruk:

— Co z nim zrobić?

— Jest sypialny gospodarstwa — szepnęła Tekla, wskazując na dalsze drzwi — tam go schowamy.

I pociągnąwszy go za rękaw, poszła z nim szybko do drugiego pokoju.

Otworzono komisarzowi policyi, który wszedł w towarzystwie Wilhelma.

Urzędnik począł się pytać, w jakim celu zeszlisi się? nad czem radzili?

— Zabawialiśmy się po robocie — odpowiedział Mudroń.

Komisarz uśmiechnął się drwiąco i zaczął spisywać obecnych.

Wilhelm stał rozczerzowany; był pewny, że złapie Jaśka, i znów wymknął się. Wtem spostrzegł drzwi i szedł prosto do nich, pytając:

— A tam co jest?

— Mieszkanie prywatne.

— Nie szkodzi zajrzeć — i silnie pchnął drzwi do pokoju.

Ujrzał Jaśka, siedzącego z Teklą przy stole oświetlonym lampą.

— Jest tu ptaszek! — zawołał uradowany. — Panie komisarzy, oto Stiglitz.

Urzędnik podszedł i spytał:

— Co pan tu robi?

— Jestem u znajomych.

— Hm... u Słazaków?

— Nie wiem.

— A ta panna? — wskazał na Tekle.

— Jestem narzeczoną jego — skłoniła się uprzejmie.

— To kłamstwo! — zawołał Wilhelm.

— Panie gefrajterze, nie pytam pana... A jak nazwisko pani? — i zapisawszy zwrócił się do Jaśka; — a pana?

Po usłyszaney odpowiedzi rzekł:

— W tej chwili opuści pan ten dom i zamelduje się wachmistrzowi.

Jaśko bez słowa odpowiedzi wyszedł, a na drugi dzień otrzymał tydzień obostrzonego aresztu.

W dziesięć dni później znajomi Słazacy odprowadzali Jaśka, odjeżdżającego do domu koleją żelazną.

KONIEC.



77011